

peta

± 0

1

Marian Czesław Sokołowski

Rozdział 1

Na zamku w Tucznie dnia 2 lipca 1979 roku o godzinie piątej rano...



Zamek SARP w Tucznie.

Stworzył tedy Bóg człowieka na wyobrażenie swoje; na wyobrażenie Boże stworzył go; mężczyznę i niewiastę stworzył je.

1 Moj. 1.27

Biel ściany znajdująca się przed oczami uczyniła, że dopiero po chwili zorientowałem się, że już nie śpię. Otwarte oczy, ale jeszcze niespełniające poprawnie swej powinności, z wolna zaczęły kierować się w górę. W pewnym momencie natrafiły na ciemną ramkę. Tu już musiały zacząć działać normalnie, tym bardziej, że postanowiłem, nie unosząc głowy z łóżka, odczytać napis znajdujący się poniżej maleńkiego sztychu. Zresztą napis, zajmujący większą część ryciny, w zamierzeniu rytownika wyraźnie miał być najważniejszy.

Les Chasseurs

De la Galerie du Palais Royal

Ecole de Lombardie

VIIe TABLEAU D'ANNIBAL CARRACHE

Reszta napisu była zbyt mała, aby z tej odległości dało się ją przeczytać. Wzrok mój powędrował dalej w górę komnaty – do narożnika – potem wzdłuż krawędzi sufitu już ją mierząc (około pięciu metrów), potem w dół (znów około pięciu metrów) – biały sześcian komnaty... a na stoliku przy łóżku leżał sześcian granitu...



Byłem sam. Wypoczęty. Ciekaw wszystkiego. Pogodny. A z sufitu na dwóch potężnych prętach zwisała trampolina żelaznego żyrandola, na której siedziały dwie olbrzymie szklane białe kule. A okno było obramione dwiema potężnymi okiennicami z ciemnego dębu zawieszonymi na delikatnie rozkutyh zawiasach...

I jasne drewno futryn okiennych, a w nich siatka małych kwadracików witraża... Te bardziej matowe szybki miały w sobie coś z różu; te ciekawsze – coś z zieleni; a te, przez które najzabawniej łamał się rysunek drzew za oknem, chyba nie miały swej barwy.

Prawe skrzydło witraża przecinał pień – nie za gruby, ale żadnych konarów czy gałęzi. Lewe skrzydło nakładało się na drugi witraż z zielonych liści innego wiązu... A dalej biel nieba... I wzrok mój przeniknął i ten szklany witraż, i ten zielony też, i pomknął w tę biel niezatrzymany, i mknął tak, choć nic nie świadczyło o tym. I nie wiem, czy zrobił większą drogę w czasie czy w przestrzeni...

Biel nadal była, tylko zmniejszyła się, aż dałaby się zmieścić w garści, ale nie starczyło dwóch maleńkich rączek dziecka...

Dotykałem go często; poszukiwanie go, a następnie trzymanie w rękach sprawiało mi przyjemność. Był biały, gładki i na tyle miękki, na ile potrafi być miękka porcelana. Miał kształt gruszki ściętej od góry, ale i to porównanie jest niezręczne... gdyż nawet zaokrąglenia krawędzi otworu w żadnym wypadku nie miały nic wspólnego ze ścięciem – była to raczej jedna, idealnie obiegająca krąg wargą. O kształcie przedmiotu tego dziś może powiedziałbym, że miał linię bioder kobiety w białym trykocie...

Był to maleńki, porcelanowy kufel do piwa. Raczej reklamowy przedmiot. Z przodu miał geometryczny rysunek niebieskich liter. Nie ciekawiły mnie one. Za to z tyłu w dosyć śmiesznym miejscu był na nim dziwny punkcik – jakby brązowy pieprzyk na ciele, obrzeże miał jaśniejsze, zaś owal jego w jednym miejscu był wyraźnie wklęsnięty i tu był najciekawszy. To właśnie ten brązowy pieprzyk najbardziej przyciągał mój wzrok i stale koncentrował moje myśli.

Tym razem kufelek wypełniony był jakimś ciemnym płynem.

— Maniuś, nie wstydź się. Wsadź do tego. To tylko herbata. Ulży ci. Nikt przecież nie widzi.

A po chwili:

– O! Jaki on zaczerwieniony. Czy bardzo boli?

– Nie; tylko okropnie swędzi.

Zapadło milczenie. We mnie wciąż pulsowała niezrozumiałym zawinieniem wczorajsza scena, gdy mamusia wykrzykiwała do mojej babci:

– Ja nie mogę pokazać się z tym dzieckiem na ulicy. Przecież ludzie się za nami oglądają. Ile on ma? – Cztery lata?... – Dlaczego ciągle się „tam” trzyma ręką?

Tymczasem ciepło herbaty niosło we mnie przyjemne ukojenie. Dotychczasowe wielorakie cierpienie okazało się być czymś, co nie musi stale trwać i tak dotkliwie dokuczać. Mogło być zastąpione spokojem i odrobiną przyjemności.

Przychyłny otwór kufelka...

Było to w Sosnowcu w roku 1937 lub 1938.

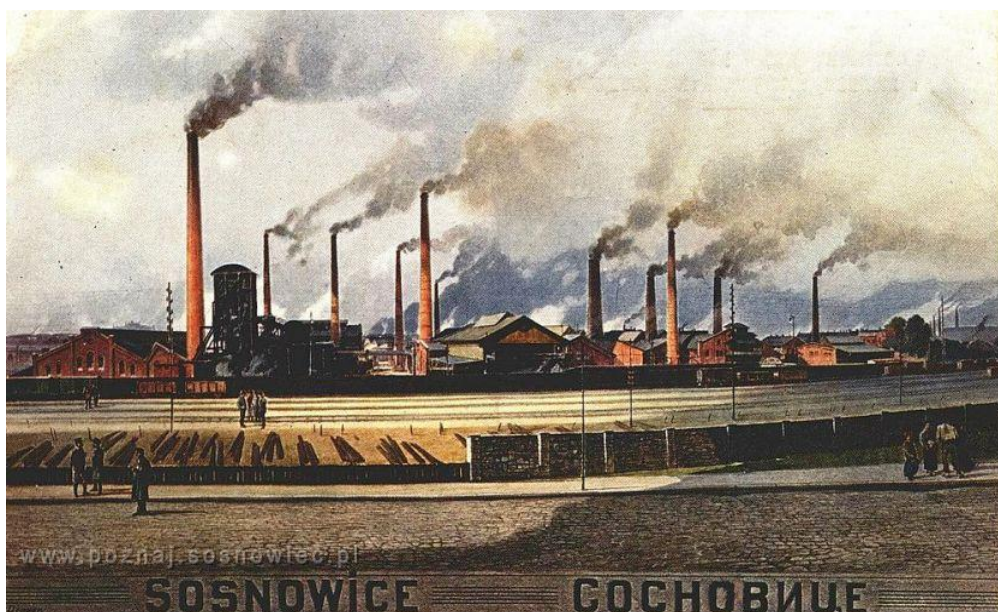


2014-02-18

Po z górą siedemdziesięciu latach muszę dodać o paradoksach ówczesnej higieny, która, owszem, była powszechnie propagowana, ale sprowadzała się do sprawdzania przez nauczycieli w szkołach, czy uszy i szyja są czyste, reszta ciała była nieistotna. Mieliśmy wówczas w kuchni za parawanem miskę zwaną miednicą i mieliśmy wiadro z wodą przyniesioną z podwórka, ale jakoś nikt nie pomyślał, że należało mnie porządnie umyć i często myć całego. A swoją drogą obrzezanie załatwiłoby mój problem raz na zawsze. Męczyłem się tak przez kilka lat, świadczą o tym kolejne zdjęcia. Mój penis był w stanie permanentnej infekcji i musiałem podczas chodzenia odciągać ręką spodnie, aby nie zwiększały bólu. Nikt nie zauważył, że trzeba mi pomóc.

Znane już wówczas były umywalki, wanny, a nawet bidety, ale na naszym sosnowieckim „Wygwizdowie” na Pogoni z pewnością nie było ani jednego takiego urządzenia. Dopiero po paru latach, gdy ojciec stał się w pełni blacharzem, zrobił z blachy cynkowej nasiadówkę – była to stożkowata duża miska z podwyższonym oparciem, w której człowiek mógł się zanurzyć od ud po piersi, a nogi, ręce i głowa wystawały na zewnątrz.

*



Tak wyglądał Sosnowiec przed pierwszą wojną światową, ale też i przed drugą wojną światową.

Właściwie przebywałem cały czas z moją babcią: spałem z nią w kuchni, jadłem z nią, dużo rozmawialiśmy, chodziliśmy na zakupy do Libermana na Grochową. A Libermana, jak i innych sklepikarzy pilnowała konna policja, aby zamykał sklep o oznaczonej porze. Jednak zawsze można było wejść od tyłu przez mieszkanie Libermana i kupić potrzebne artykuły spożywcze. Jakoś wszędzie kupowało się na kredyt, sklepikarz zapisywał tylko w zeszycie, a potem płaciło się co jakiś czas. Było obopólne zaufanie.

Uzupełnienie 2014-11-10

Wnikliwy czytelnik, Pan Janusz Szalecki z Sosnowca udowodnił mi, gdzie dokładnie był sklep Libermana:

„Sądzę, że **Liberman Cylek** miał sklep na początku ulicy Spółdzielcza 2 (dawniej ul. Dzika) – (ale dzisiaj ten budynek nie istnieje) ulica Dzika „wchodziła” w ulicę Grochową – moje info zapamiętane z rozmów w domu oraz z książki tel. rok 1938

Cytuję ze spisu telef. **”Liberman Cylka** sklep kolonialno – spożywczy i wyroby tytoniowe ulica **Dzika 2** tel. 6 28 61”

Samo kupowanie też było inne. Wszystkie produkty kupowało się na wagę. Sklepikarz z papieru, nierzadko ze starej gazety zwijał taki lejek, raczej stożek, taka torebka zwana była „tytka”. Do tytki wsypywał produkty sypkie tak zwaną szufelką, kładł tytkę na jednej szalce wagi, na drugiej odważniki, gdy było za mało, to dosypywał, gdy było za dużo, to odejmował. Masło i temu podobne artykuły kroił nożem, znów ważył... O cenę można było się targować i targowaliśmy się całkiem skutecznie.

Było całkiem dużym przestępstwem pójście do innego sklepikarza. Gdy sklepikarz zauważył, że kupiło się coś nie u niego, to się bardzo awanturował. Zresztą kupowanie na kredyt wymagało wierność jednemu sklepikarzowi. Natomiast przed świętami Bożego Narodzenia sklepikarz dawał prezenty wszystkim stałym klientom. Bywało, że ci dużo kupujący dostawali na przykład porcelanowy serwis do herbaty.

A pisano wówczas o takim sklepikarzu, który żalił się: – Co to za handel? Całe szczęście, że mam w niedzielę zamknięte, bo nie miałbym już, z czego dokładać.

Opowiadano również, jak to przychodzi ktoś do sklepu i pyta, po ile są śledzie, a śledzie były w dużej beczce, zalane jakąś słoną zalewą, gdy usłyszał cenę, to pytał: – A sos? – Sos jest za darmo. – To poproszę samego sosu.

Inna klientka znów życzyła sobie: – Poproszę pięć deko kaszanki dla pieska, tylko nietłustej, bo ja nie lubię.



Ulica Grochowa na Pogoni, gdzieś tu mieścił się sklep Libermana. Ten zielony samochód to amerykański Dodge przysłany do Polski w 1945 roku w ramach dużej pomocy amerykańskiej zwanej UNNRA. Aż dziw, że się uchował do 1975 roku, bo dary Unry były programowo likwidowane, zacierano tę hańbę dla komunistycznej Polski. (Foto 1975.05.01)



Na Pogoni czas stanął w miejscu, ta sama Grochowa po następnych czterdziestu latach.



Na Pogoni czas stanął w miejscu, dom Cyplińskiego na Orlej, najpiękniejszy dom na Pogoni, ale po osiemdziesięciu latach nadal nieotynkowany.



Róg ulic Mariackiej i Nowopogońskiej. Widoczna kupa gruzu, która pozostała w 1975 roku z opisywanego przedwojennego zakładu pogrzebowego i sklepu ze wszystkim. (Foto 1975.05.01)

Miałem wówczas kilka lat zaledwie. Do nas sprowadziła się babcia, kochała mnie i ja ją bardzo kochałem. Babcia sprzedała swoje gospodarstwo na wsi w Krzepinie i po powrocie do Sosnowca dała mi na własność banknot stużłotowy, dla mnie to było coś z drzewkiem na odwrocie. Była to olbrzymia kwota, na jaką tatuś musiał pracować trzy miesiące. Było to 100 złotych przedwojennych. Pochwaliłem się mamusi, ta bardzo zaskoczona, a może i zgorziona zaproponowała mi schowanie tego banknotu w kredensie, w specjalnym miejscu. Po paru dniach, gdy tam zajrzałem, banknotu nie było. Zabrano mi go. Babcia popłakiwała, a mamusia wpadała w zdenerwowanie i nie chciała odpowiedzieć, kto zabrał te moje pieniądze. Wybuchła wojna. Do tego pytania wracałem potem przez lata, aż wreszcie, już po śmierci babci, usłyszałem, że przecież czymś trzeba było opłacić moje leczenie, gdy zapadłem na zapalenie płuc, a i kuracja w Soli koło Zwardonia została opłacona tymi pieniędzmi. Niewiele mi to wyjaśniło, dlaczego znikły pieniądze dane mi przez ukochaną babcie.



Gdy szliśmy z babcią na ulicę Nowopogońską, to na rogu naszej Mariackiej mijaliśmy zakład pogrzebowy, gdzie na wystawie były różne nagrobki, był metalowy krzyż pomalowany na czarno, był aniołek wykuty w kamieniu, były i inne... Były to interesujące dla mnie przedmioty. Za którymś oglądaniem powiedziałem do babci: – Jak babcia umrze, to kupię babci taki krzyż.

Babcia odrzekła: – Dobrze Maniuś, a jak ty umrzesz, to ja ci kupię takiego aniołka.
– Ja nie chcę! – Krzyknąłem oburzony.

Ale był też obok sklep, na którego wystawie widniała wywieszka o treści – „Czego nie ma na wystawie, wejdź, a znajdziesz w sklepie”.

*

2014-03-07

Śledź z beczki był zasadniczym pokarmem biedoty, był najtańszy i beczka ze śledziami stała w każdym sklepiku. Krążące dowcipy były równie prymitywne jak my wszyscy. Dla nas małych filatelistów trójkątny znaczek był nieosiągalną legendą. A Sosnowiec go miał! – o czym dowiedziałem się po latach. Termin „przed wojną” był jednoznaczny i powszechny, a dotyczył drugiej wojny światowej, która była w latach 1939 do 1945. Te pięć lat wojny stanowiły całą epokę.



Znaczek z 1916 roku

Rozdział 2

*I błogosławił im Bóg, i rzekł do nich Bóg:
Rozradzajcie się, i rozmnażajcie się, i napelniajcie ziemię...
1 Moj. 1.28*

W naszym domu na Pogoni obok okna wisało na ścianie ciemne drewniane pudełko do trzymania w nim grzebieni. Pudełko miało fantazyjnie wyciętą i z góralską rzeźbioną ściankę. W pudełku tym między grzebieniami – no, bądźmy szczerzy – niezbyt czystymi, znajdowały się dwa dziwne przedmioty. Zawsze tam były. Zawsze, dokąd moja pamięć dziecięca sięgała.

Często podejmowałem ponowne oglądanie tych przedmiotów, lecz moja wiedza o nich zupełnie nie chciała wzrosnąć. Były to ciemne, bardzo niekształtne, jakby kościane patyczki. Ba! Ale patyk, to jest patyk! A to było coś niewiarygodnie niewiadomego. I jeszcze na dodatek ta stwardniała kościstość była splątana bardzo silnie zaciśniętymi supłami z kiedyś białych pasków płótna. Wciąż analizowałem je, a nie posuwałem się w swej świadomości ani o jotę. Pewnego dnia moja babcia zauważyła, że je oglądam, choć wydawało mi się, że czynię to ukradkiem i że w niczym nie zdradzam swego dziwnego zainteresowania.

Babcia tylko rzekła:

– Wiesz co, Maniusz? – Rozwiąż ty sobie to.

Powiedzieć łatwo. Nie dość, że miałem nierozwiązany mój monstrualny problem z ustaleniem, co to jest, to jeszcze proponuje mi się, abym rozwiązał te straszliwe supły i sploty tkaniny, których nigdy sam nie posądziłbym o to, że dadzą się rozwiązać.

Mamusia wprawdzie obecna w kuchni, ale najwyraźniej dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę z doniosłości odbywającego się misterium, bo trzepnęła mnie po rękach i ucięła mój kontakt z tym tajemniczym przedmiotem. A do mojej babci ostro rzekła:

– Co też mama! Jak mama może? Muszę spalić wreszcie te pępowiny.

Nadal nic z tego nie rozumiałem. Jednak cicho wypowiedziane przez moją babcię zdanie:

– Przecież wiesz, że od pradziadów tak bywało... – spowodowało, że następnego dnia, już w zupełnej tajemnicy rozwiązałem... – z dużym trudem, przy użyciu nożyczek i innych dostępnych mi narzędzi – i rozwiązałem na wszelki wypadek oba te przedmioty, bo w dniu tym już nie umiałem ustalić, który z nich wczoraj miałem w rękach.

Minęło wiele, wiele lat. Dziś już nikt nie odpowie, jakaż to mroczna tradycja kryła się za słowami mojej babci.

A ja – cóż – może jestem ostatnim, który rozwiązał?

*



Herb miasta Sosnowiec ustanowiony w 1905 roku.

Ojciec pracował, mówiło się – terminował u blacharza Hessego na ulicy Orlej w Sosnowcu. Tam też mieszkaliśmy i tam się urodziłem. Dziwnie pamiętam jakieś dechy ścian naszego mieszkania – mieszkaliśmy nawet nie na poddaszu, bo był to strych. Jak mogliśmy tak mieszkać? Pamiętam jeszcze, a była to zima, prawdopodobnie niedziela – ojciec sprzątnął duży śnieg na podwórku, a potem dla kilkorga dzieci zrobił kulig z saneczek i ciągnął je wokół podwórka. Ja opatulony po szyję w chustkę mamusi jechałem na ostatnich sankach. Na zakręcie sanki się przewróciły i wpadłem głową w dół w pryzmę śniegu.



Dom Adama Hessego (przed remontem) na ulicy Orlej 11 na Pogoni.
Tu się urodziłem.



Warsztat blacharski Adama Hessego około 1935 roku.
(Ojciec stoi z bańką).



Ulica Pszenna. Tu pod dziesiątym mieszkaliśmy na piętrze.
(Foto 1975.05.01)



Ta sama ulica Pszenna w roku 2014. Pogoń, jak i wiele polskich miast zatrzymała się w rozwoju.

Właściciel domu, Pan Hesse, postanowił go przebudować i unowocześnić. Musieliśmy szukać nowego mieszkania. W dniu 5 stycznia 1936 roku przeprowadziliśmy się na ulicę Pszenną 10. Było to nadal bardzo nędzne lokum. Z tego okresu pamiętam, a miałem trzy lata, że któregoś dnia zostawiono mnie na stole, który stał przy otwartym oknie, a było to na piętrze. Zapytałem – Czy mogę sobie tam wyjść? Wprawdzie z kuchni dobiegły słowa mamusi – Wyjdź sobie. – ale dramat się rozegrał, gdy z drugiej strony szyby zapukałem do matki.

Opowiadano wówczas, że synek pytał – Mamysi, co to isi? Matka odpowiadała – Sobota dzisiaj. Synek dalej pytał – Ukuć sobotę? – Ukuj synku. I tak synek rozbił wiszącą na ścianie lampę naftową.

Również synek pytał – Mamysi, czy borówki są czerwone? – Tak synku. – Odpowiedziała matka z drugiego pokoju. A synek dalej indagował – Mamysi, czy borówki chodzą po ścianie? (Tu przekleństwa mamusi i) – Toś ty pluskwę zjadł!

Zaświadczenia o stosunku najmu pracy (służbowym)					pracodawcy i wysokości zarobków ubezpieczonego*)			
Kiedy ubezpieczony rozpoczął pracę (dzień, miesiąc i rok)	Ile wynosi faktyczny zarobek ubezpieczonego (art. 14, 15 ust. 4 i 16 ust. 4 ustawy o ubezpie. społ.)		Czy stosunek najmu pracy (służbowy) trwa nadal (tak-nie)	Czy ubezpieczonemu wypowiedziano umowę o pracę (tak-nie)	Jeżeli z ubezpieczonym zawarto umowę o pracę na czas określony, względnie wypowiedziano mu ją lub też zwolniono go z pracy, – podać datę ustania pracy	Nr. konta pracodawcy w Ubezpieczalni Społecznej	Nazwisko i imię (firma) oraz adres pracodawcy (pieczęć)	Data zaświadczenia i podpis pracodawcy
	dzienny, tygodniowy lub miesięczny**)	kwota zarobku						
1	zł	gr	3	4	5			
dn. 0.16 1935r.	określony	6	tak	nie		31	PRZEDSIĘBIEMSTWO Robót Blacharsko-Oskarskich ADAM HESSE Sosnowiec, ul. Orła 11.	27 GRUD. 1935
dn. 19 r.							<i>Bersobalcy</i> 11226/35 Sosnowiec	27 GRUD. 1935
dn.								

Choć u Hessego ojciec dostawał tylko sześć złotych za dniówkę, to i tak od 27 grudnia 1937 roku został bezrobotnym. Wcześniej, bo 15 kwietnia 1937 roku przeprowadziliśmy się na ulicę Mariacką 3, nadal na Pogoni. Nieopodal na ulicy Średniej 9 na podwórku ojciec wynajął małe lokum i tu stał się panem samego siebie, miał własny zakład blacharsko dekarcki. Był bardzo ambitny i przedsiębiorczy. Czasami zatrudniał jakiegoś pomocnika. Obstał wózek drewniany, na który nakładał materiały i sam pchał wózek (o dwóch dużych kołach) gdzieś na robotę na dachu. Któregoś dnia Żyd z Będzina niepytany, przysłał rolwagę (wóz konny o płaskiej skrzyni) i zrzucił przy warsztacie ojca wiele arkuszy blachy. Ojciec oponował – Nie zamawiałem, nie mam czym zapłacić. Żyd po swojemu tłumaczył – Przyda się. Jak będzie pan miał, to pan zapłaci. Po co ten rwetes?

Tak było przed wojną, a dziś w 2014 roku Urząd Skarbowy zniszczyłby i jednego, i drugiego za takie praktyki. Dziś zaufanie do przedsiębiorcy jest bardzo ograniczone.

Interes się rozwijał nadszpiewanie. Gdy dostał zlecenie na wykonanie instalacji wentylacyjnej w jakimś obiekcie wojskowym, to kupił dużą prasę (sztanczynę). Tak postępował przez całe życie – zawsze wzbogacał swój warsztat, podejmował się najtrudniejszych zleceń.

*



Sztanca ojca – ta sama po 75 latach (Foto 2010.08.20).

Dom na Mariackiej 3 był dla nas szczególnym domem. Wszyscy zwaliśmy go betlejemską – tak był nędzny. Wprawdzie ściany były murowane, ale wszystkie stropy i schody były drewniane, a w sieni oglądaliśmy parter przez szpary w deskach. Dom miał jedno piętro i dobudowane dwie części parterowe: sklep mięsny od ulicy Mariackiej i rzeźnię od ulicy Średniej.

Właścicielką była pani Wosińska, która prowadziła ten sklep mięsny i mieszkała w kuchence za tym sklepem. Miała dorosłych dwóch synów, absolutne przeciwieństwa. Młodszy, Józek, bardzo rubaszny choć szczery, był rzeźnikiem w tej swojej rzeźni. Zgodnie ze swoją psychiką żył na kocią łapę z Polką (chyba Leopolda), a mieszkali na poddaszu w małej klitce. Matka

nie pozwoliła nam tam wchodzić, bo deski na stropie nawet nie były poprzybijane. Starszy syn, dostojny, inteligent z postawy, też kawaler, zajmował duży pokój na parterze z oknami od ulicy Średniej. Nie zadawał się z resztą mieszkańców. Pracował w drukarni na Nowopogońskiej. Na parterze Żyd Paluch miał zakład krawiecki, do którego wchodziło się z narożnika ulic Mariackiej i Średniej, a za zakładem w jednej izbie mieszkał z żoną i córką Gitlą, potem urodziły im się bliźniaki – syn Abram i córka Ewcia.

My mieszkaliśmy w pokoju z kuchnią na piętrze dokładnie nad Paluchem. Nad pokojem starszego syna Wosińskiej na piętrze w jednej izbie mieszkali Gintrowie z trzema dorosłymi córkami i dorastającym synem Gutkiem. Ginter był tokarzem i miał swój warsztat w piwnicy. Miał tam potężny silnik elektryczny i pasy transmisyjne biegnące pod sufit, którymi napędzał tokarnię i inne maszyny. Silnik cały czas pracował, a maszynę wyłączało się zrzucając pas z jej koła napędowego. Ten bieg pasów do maszyny i pod sufit był to widok imponujący. Na jednej ścianie były jednak jeszcze drzwiczki do pieca piekarskiego, bo wcześniej miał tu swą piekarnię Kiepurra, ojciec śpiewaka Jana Kiepurra – tak twierdziła właścicielka domu.

Jedyny klozet był na podwórku i spłukiwało się go zużytą wodą z mieszkań. Jedyny kran z wodą bieżącą był również na podwórku. Tu było też parę komórek lokatorskich.



Mariacka, ta lepsza, nadal jak przed wojną, tylko około roku 1970 szyny tramwajowe się pojawiły.
Przez 80 lat bez zmian. (Foto 2014.07.25)



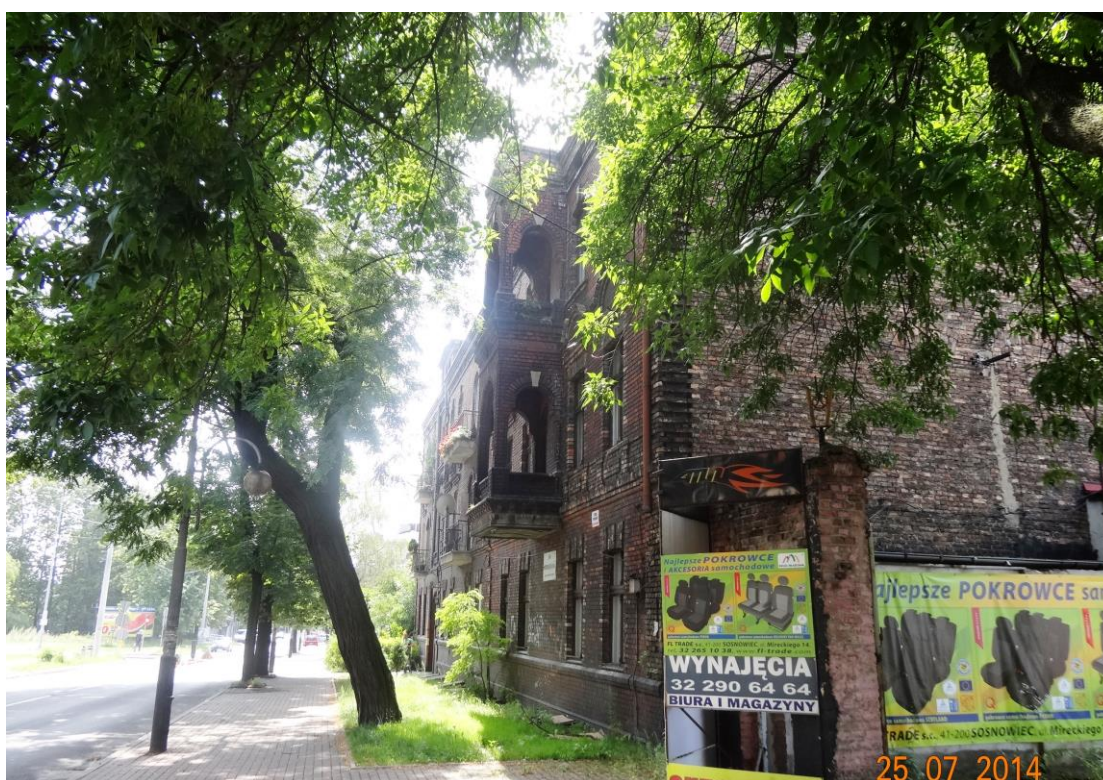
Pogoń, widok z Orlej. Przez 80 lat bez zmian. (Foto 2014.07.25).



Pogoń, Bracka, po prawej nasza szkoła z czasów okupacji (Foto 2014.07.25).



Pogoń, Grochowa od ulicy Marii Curie Skłodowskiej. Przez 80 lat bez zmian. (Foto 2014.07.25).



Stary Sosnowiec, Aleja Józefa Mireckiego 14 (Foto 2014.07.25).

Józef Anastazy Mirecki ps. *Montwill*, *Grzegorz*, *Bronisław* (ur. 27 lutego 1879 w Klonówku, zm. 9 października 1908 w Warszawie) – polski socjalista, jeden z przywódców Organizacji Bojowej PPS i członek jej Wydziału Bojowego. Organizator i uczestnik wielu zamachów. Zginął powieszony na stokach Cytadeli. W okresie II Rzeczypospolitej odznaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami.

*

Rozdział 3

*zbudował Pan Bóg z żebra onego, które wyjął z Adama, niewiastę, i przywiódł ją do Adama.
1 Moj. 2.22*

„...jedzie, jedzie na kasztance,
na kasztance,
siwy strzelca strój.
Marsz, marsz, Komendancie,
miły wodzu mój...”

A potem:

„...nikt nam nie zrobi nic,
bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły Rydz!”

Oraz:

„Morze, nasze morze!
Wiernie ciebie będziemy strzec.
Mamy rozkaz cię utrzymać,
albo na dnie z honorem lec.
Albo na dnie z honorem lec!”

I jeszcze:

„Wojenko, wojenko!
Cóżes ty za pani,
że za tobą idą,
że za tobą idą
chłopcy malowani?”



Kolonia Limanowskiego w Sosnowcu – za drzewami po lewej na parterze była nasza ochronka. (Foto 1975.05.01)

Bolesław Łukasz Tadeusz Limanowski, pseudonim: Janko Pokań (ur. 18 października 1835 w Podgórzu w Łatgalii, zm. 15 lutego 1935 w Warszawie) – polski historyk, socjolog, polityk, działacz socjalistyczny i niepodległościowy.

To wszystko odśpiewały dzieci i nasza pani zarządziła tańce. Miałem szpiczasty kotylion na głowie i byłem wyraźnie podekscytowany. A może nawet perspektywa tańczenia tak samo prze-

rosła moje oczekiwania, jak i przerosła moje odruchy instynktu samozachowawczego. Zamarłem.

Tymczasem już wszyscy tańczyli za wyjątkiem nas dwojga najmłodszych. Toteż pani włożyła moje ręce w rączki dziewczynki z bardzo kręjącymi się włosami i w podobnie szpiczastym kotylionie na głowie. Tak została skojarzona ostatnia para w ochronce i tak zaczęło się we mnie to nieuchronne na całe życie.



I zabawa się skończyła, i wróciliśmy do domu... I choć mamusia wyspiewywała:

„Allons, enfants de la patrie.

Le jour de gloire est arrivé!...” (Marsylianka)

na zmianę z:

„Był to chłopak piękny, młody. (Uliczna pieśń o Stefanie Okrzei)

Wyście o tym nie wiedzieli.

A że rzucił w cyrkuł bombę, (cyrkuł – posterunek carskiej żandarmerii)

Dostał się do cytadeli.

W cytadeli długo siedział.

Mścili nad nim się katowie.

Ciało mu na ogniu piekli.

Myśleli, że im co powie”.

to moje myśli, a zwłaszcza cała maleńka osobowość kołatały tym pozornie banalnym epizodem – pierwszym tańcem z dziewczyną. Dopiero teraz – choć już tylko w myślach – oglądałem jej włosy, oczy, nos i usta – i rozpamiętywałem to piękno, które tak niedawno było przy mnie. Wiadac robiłem to szalenie serio, skoro do dziś nadal widzę w pamięci niezatarte tamte rysy.

Ona zapewne nawet tyle nie wyniosła z tego tańca, bo zdawała się być przerażona znacznie bardziej niż ja. Więcej jej nie spotkałem. Przestaliśmy chodzić do ochronki. Dorośli coś mówili, że będzie wojna.



Mur kościelny na ul. Mariackiej przed naszymi oknami – miejsce naszych wszelkich zabaw. (Foto 1975.05.01)

My dzieci tymczasem spędzaliśmy całe dnie na ulicy. Właśnie jednego takiego dnia, gdy rysowałem sobie coś patykami na wydeptanej ziemi, przybiegł do mnie Jędrzek i wyszeptał:

– Chodź szybko! Gitla coś nam powie. Tylko chce wszystkim na raz powiedzieć.

Pognaliśmy więc szybko pod zabita deskami bramę kościelną, gdzie Gitla – Żydówka, córka naszej sąsiadki – niańczyła swą małą siostrę Ewcię. Na razie nikt nic nie mówił. Potem przyszedł jeszcze jeden malec. I wreszcie nie wytrzymał, ten który mnie sprowadził, zażądał:

– No, powiedz nam wreszcie, skąd się biorą dzieci.

Gitla jeszcze zrobiła dostatecznie długą przerwę, ale ściszym głosem, cedząc słowo po słowie, powiedziała:

– Tu gdzie żona sika – kładzie jej się mąż... – no i już!

Mój towarzysz tylko parsknął:

– Jak to, w ubraniu?!

– Nago! Głupku! Nic wam więcej nie powiem. Za mali jesteście.

Mój towarzysz widać nie miał więcej problemów, bo rozbiegliśmy się do poprzednich zabaw. Ja jednak nic z tego nie rozumiałem. Nie przejąłem się tym jednak. Właściwie nie zależało mi na rozstrzygnięciu tego problemu. Moje dziecięce zabawy były przecież o tyle ciekawsze.

Jakąż niewspółmiernie większą satysfakcję dawało puszczenie małego patyczka w wartki, kręty strumyk płynący rynsztokiem wśród topniejącego śniegu. A potem trzeba było iść za tym patyczkiem i przesuwać go z mielizn czy zastojów wodnych na głębszy nurt.

Nie dano mi szansy rozwiązania wątpliwości i ustalenia dalszych szczegółów problemu pochodzenia dzieci. Niewspółmiernie bardziej nie dano szansy Gitli odkrycia przede mną tajemnicy życia. Nagle zniknęła wraz z rodziną z naszego domu. Jeszcze któregoś dnia, gdy rano poszedłem bawić się na chasie (wysypisko żużla hutniczego), zauważyłem ją wśród wypętlających z wykrotów Żydów, którzy tu szukali nocnego spokoju przed hitlerowcami. Znacznie później dotarło do mnie, że mieszkała, a właściwie ukrywała się na ulicy Modrzejowskiej, gdy po nich przyszli. Oknem z trzeciego piętra wyskoczyła najpierw ona, potem jej matka z najmłodszym dzieckiem.

Tak.



2014-04-17

Książkę tę, jak i inne umieściłem w Internecie. W nieoczekiwany i bardzo skomplikowany sposób trafiła na nią w sierpniu 2000 roku Ida, to jest dawna Ewcia Paluch, która obecnie przebywa w USA. Udało jej się skontaktować ze mną, wysłaliśmy do siebie wzajemnie wiele listów elektronicznych, a i tych tradycyjnych, przeprowadziliśmy szereg rozmów telefonicznych i nawet Ida przyjechała do Warszawy, spotkaliśmy się. Więc Ida przeżyła. Ukrywała się w Częstochowie jako córka obcych ludzi. Jej ojciec w 1939 roku poszedł na wojnę jako polski żołnierz, przedostał się do ZSRR i po wojnie wrócił do Polski, odnalazł Ewę i razem wyjechali najpierw do Izraela, a potem do USA. Matka rzeczywiście wyskoczyła oknem na Modrzejowskiej w czasie łapanki na Żydów. Losów pozostałych nie udało się jednoznacznie ustalić. Ktoś podobno widział Gitlę w jednym z hitlerowskich obozów zagłady. Brat Ewy bliźniak Abram pojawił się po wojnie w lubelskim sierocińcu. Jako dziecko o nieznanym pochodzeniu wyrósł do pełnoletności, ożenił się. Przeżył już 50 lat, gdy po roku 1990 uparta Ida odnalazła go, zidentyfikowała po zdjęciach wujka i wywiozła do USA. Nie udało się jednak udowodnić, że to może być jej brat Abram.

*

Rozdział 4

*Przeżoż opuści człowiek ojca swego i matkę swoją,
a przyłączy się do żony swojej, i będą jednym ciałem.
1 Moj. 2.24*



Kościół św. Tomasza od ul. Mariackiej – w miejscu prawej latarni stał nasz dom, taki mieliśmy widok z okna.
(Foto 1975.05.01)

Lipy, które były na placu kościelnym tuż za murem kościelnym, miały swój spokojny urok, zwłaszcza latem.

Pod jedną z nich krąg jeszcze nie wyrostków podziwiał niewiarygodne wyczyny Tadka, który z absolutną wyższością demonstrował coś, do czego żaden z nas nie był zdolny. Ba! Ukazywał naszym oczom coś, czego byśmy nigdy nawet nie podejrzewali, że jest to możliwe. Rozpiął rozporek i zademonstrował, że gdy nim poruszał, nazywał to fachowo „brandzłowaniem”, to stało się to coś u niego niespodziewanie sztywne. Następnie zapewnił nas, że tego, co on teraz dokona, nie zdoła dokonać żaden z nas – i z pewnym skrzywieniem twarzy ściągnął skórę tak, że ukazał się różowy pączek męskiej godności. Tryumf odniósł niepodzielny. Byliśmy gotowi oddać mu hołd. Wyrzedził nas o całe lata. Już nawet nie była istotna trzecia i ostatnia część jego wykładu, w którym w prawdzie nie udowodnił, ale autorytatywnie zapewnił nas, że gdyby teraz długo brandzłował, to na koniec na końcu pojawiłaby się kropla logru. Nie robi tego jednak, bo idzie łapać robaki. Jednak zobowiązał się pokazać swój wyczyn każdemu z nas i za każdym razem, gdy któryś z nas przyjdzie do niego do domu. I rzeczywiście. Zdołał swój pokaz wykonać aż kilka razy, zanim któregoś dnia, gdy weszliśmy do jego domu, zatrzymała nas w kuchni jego matka i wytłumaczyła z wielką powagą, że mamy więcej nie przychodzić, bo Tadzik będzie księdzem i na dowód uchyliła drzwi do ciemnego tym razem pokoju, gdzie paliła się świeca, a Tadzik w prawdziwej czarnej sutannie klęczał i modlił się.

Zostaliśmy dla naszego urwisowania ulicznego i nie mieliśmy mu wcale za złe, że odszedł od nas na księdza. Przecież tak bardzo nas wyprzedzał.

Miejsca naszych zabaw były przedziwne. Na placu kościelnym, tylko sporadycznie mogliśmy gościć, bo pędzono nas, gdy nas zauważono. Plac kościelny był stale dostępny od tej lepszej strony, od ulicy Orlej – tam były bogate domy. Od naszej strony, tej zdecydowanie wyklętej, tylko w niedziele w czasie mszy otwierano jedyną furtkę.

Największy plac zabaw stanowiła górka u zbiegu ulic Średniej, Przechodniej i Piaskowej, więc tu najczęściej dzieci się bawiły.



Górka u zbiegu ulic Średniej, Przechodniej (odchodzi obok żółtych drzwi) i Piaskowej. (Foto 1975.05.01)

Również lubiliśmy przebywać na ulicy Nowopogońskiej. Tu często przesiadywał Raźniok, inwalida z wojny rosyjsko – japońskiej. Miał na sobie jakieś resztki munduru i był bardzo nerwowo.

Jednak starsi chłopcy ryzykowali i wołali:

– Raźnioku, opowiedzcie coś o Aponiji!

Ten jednak odkrzykiwał:

– O dupie ci opowiem, a nie o Aponiji!

Zdarzało się jednak, że był w lepszym nastroju i wówczas zasępnął się i snuł wspomnienia:

– Co tam Aponija. Hameryka, ta to mo ze sto okrętów...



Róg ulicy Nowopogońskiej i Majowej. Tu, jak te zielone drzwi po lewej, na stopniu przesiadywał Raźniok. Za tymi zielonymi drzwiami mieściła się kiedyś podobno piekarnia ojca Jana Kieपुरy. (Foto 1975.05.01)

Była tu jeszcze inna atrakcja budząca podniecenie. Dom poniżej flagi był własnością Kieपुरy i tu urodził się Jan Kieपुरa (Dla najmłodszych wyjaśniam, że Jan Kieपुरa był to rewelacyjny tenor, idol tamtych lat, o światowej sławie). Jeszcze w początkach kariery złośliwi chcieli mu tu umieścić tablicę pamiątkową. Podobno słono się wykupił.

Snuliśmy się bądź przebiegaliśmy wszystkie sąsiednie ulice, każde miejsce było dobre do dalszej zabawy.



Nasza Floriańska. (Foto 1975.05.01)



Nasza Piaskowa. (Foto 1975.05.01)

Bywało, że zapuszczaliśmy się w bardziej odległe rewiry po frontowej stronie kościoła. Wówczas przechodziliśmy od ulicy Mariackiej do ulicy Orlej przez ulicę Cichą, a potem znacznie dalej.



Ulica Cicha od Mariackiej, w głębi ulica Orła. (Foto 1975.05.01)



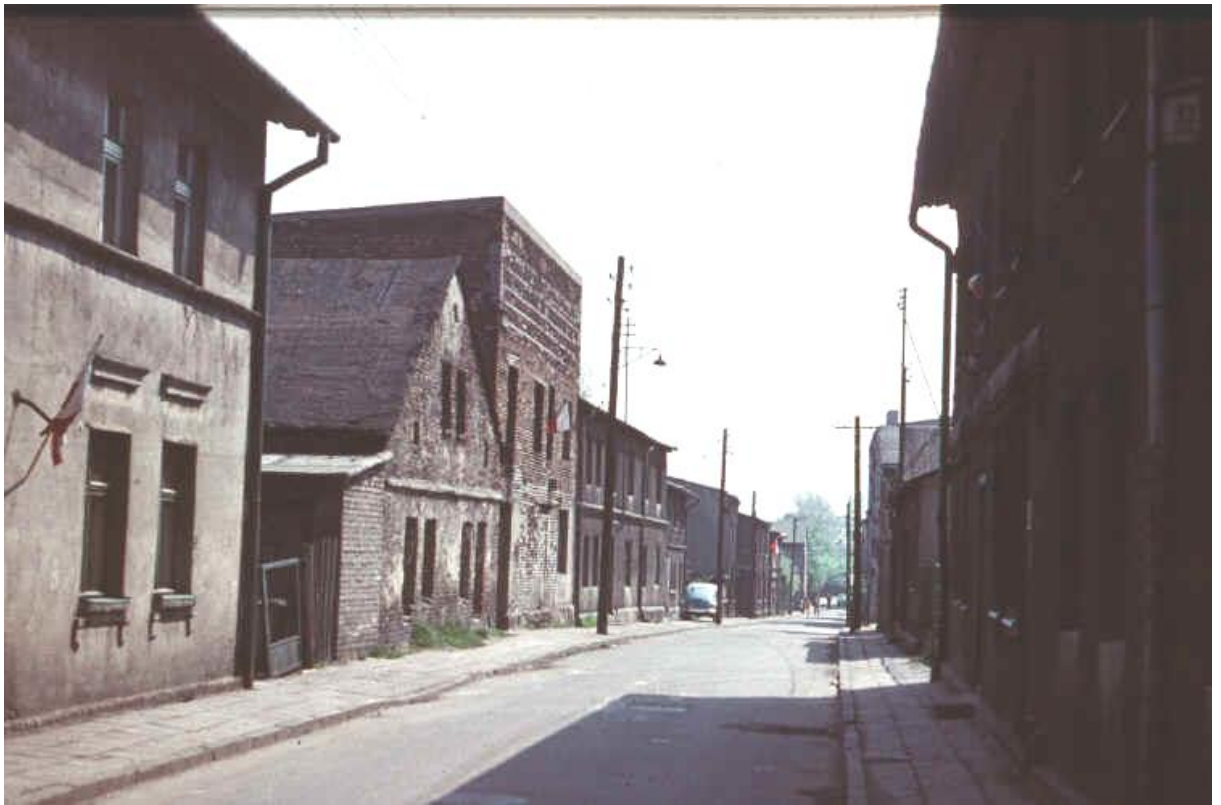
Ta sama ulica Cicha po kolejnych czterdziestu latach. (Foto 2014.07.25)



Ulica Bracka, widok od ulicy Żytniej do Orlej. (Foto 1975.05.01)



W ciągu kolejnych czterdziestu lat na kościele przybyły wieże. (Foto 2014.07.25)



Ul. Wielka. (Foto 1975.05.01)



Ta lepsza strona Pogoni – róg Żytniej i Reymonta. (Foto 1975.05.01)



Dom Hessego (po przebudowie) przy ulicy Orlej 11. (Foto 1975.05.01)

*

Coś dla oka.



kwiatki Zosi Sokółowskiej - Haarlem - 2005.1.18

Rozdział 5

*A byli oboje nadzy, Adam i żona jego; a nie wstydzieli się.
1 Moj. 2.25*

Dla dzieci zabawa, to jest zabawa. Poza nią nie potrzeba dziecku nic więcej... – no, przynajmniej, dopóki się bawi. A że bawić się można stale, stąd nawet o jedzeniu można zapomnieć, bądź można usnąć zaraz w następnej chwili po skończonej zabawie. Dziecko nie szuka zabaw pouczających lub takich, które coś dają. Bardzo często jest to naśladowanie dorosłych. Zabawa musi być po prostu i jedynie ciekawa. I jest bardzo ciekawa. Dlaczego tylko tak często zachodzi ta wyraźna różnica poglądów między dorosłymi a dziećmi w przedmiocie danej zabawy? Dla dziecka zachwycające, a rodzice ganią... ba, żeby tylko.

Bo czyż nie jest wspaniałą ślizgawka? A jakież wspaniałości można znaleźć w mrocznych zakamarkach strychu?

Inwencja zabawy jest nieograniczona. Bawić się można we wszystko i wszędzie. Bardzo trudno tylko udaje się zabawa samemu. I jeżeli uda się taka samotna zabawa, to wówczas na ogół brak widzów lub współtowarzyszy zabawy wnoszących zawsze swoje pomysły, musi być rekompensowany szczególnością zabawy – zbyt często posuniętą do granic wytłumaczenia i usprawiedliwienia.

Każde pokolenie ma swoje zabawy.



Ul. Średnia – miejsce naszego urwisowania. – Nasz dom zaczynał się w miejscu chodnika po lewej, po prawej wzdłuż ulicy był mur Huty Hulczyńskiego. Od lewej dom Kaszyckiej, następny Bańskiego. W domu na końcu przegradzającym ulicę mieszkał na parterze Jędrzek Bryła. (Foto 1975.05.01)

Czyż nie wspaniale jest jeżdżenie kółkiem? To znaczy tak: bierze się fajerkę od pieca (Węglowe piece kuchenne miały w górnej płycie otwory, aby garnek stykał się bezpośrednio z ogniem. Garnki mają różne średnice, więc i otwór musiał być różny. Był więc system żeliwnych pierścieni wzajemnie opierających się na sobie. To były fajerki. W zależności od potrzeby podkładało się taką ilość coraz mniejszych fajerek, aż otwór był właściwy). ...więc bierze się fajerkę z pieca – im mniejsza, tym wyższa szkoła jazdy; z grubego drutu wygina się hamulec: z jednego końca musi być tak zagięty, aby stanowiło to rodzaj rączki do trzymania, a z drugiego końca, w płaszczyźnie prostopadłej do osi drutu wygina się koniec po trzech krawędziach kwadratu. Precyzyjnie opisać tak trudno, a wykonać potrafiło to każde dziecko. Musiało potrafić, bo mogło liczyć tylko na siebie, jeżeli chciało się bawić, a bawić bardzo się chciało i to tym bardziej, im więcej dzieci tak właśnie się bawiło.

2014-05-20

Musiało minąć tyle lat, abym zdecydował się wyjaśnić kształt tego nieszczęsnego hamulca. Może to zdjęcie coś wyjaśni:



A więc wkładało się kółko w hamulec i pędziło po chodnikach co sił w piętach. Kółko mogło być również całkiem duże – rafka (obwód) od roweru. Ale wówczas napędzane było krótkim patykiem – nierzadko przygotowanym na rozpałkę do pieca.

A jakież wspaniale było puszczenie bąków! Bat zrobić mógł każdy z dowolnego patyka i sznurka konopnego. Same zaś bąki dostarczał sklepikarz. Bajecznie kolorowe, wytoczone z drewna. Od góry, nazwijmy to, stożka był rodzaj głęboko wklęsłej miseczki, boczna powierzchnia stożka była wytoczona w kilka wyżłobień, koniec już był gładki i na czubku koniecznie dokładnie koncentrycznie wbity gwóźdź z kulistym łebkiem – na nim kręcił się bąk. Bąki były smukłe, dla tych, którzy osiągnęli mistrzostwo; grube, przysadziste dla początkujących. Chociaż ci ostatni woleli być uważani raczej za amatorów właśnie tego typu bąka. Koniec sznurka bata należało przyłożyć do boku bąka i cały sznurek nań nawinać. Teraz trzymając prawą ręką za patyk, lewą ręką stawiało się bąka na ziemi i mocno pociągało bat, aby rozwijający się sznurek spowodował wirowanie bąka. Natychmiast po puszczeniu należało intensywnie podcinać batem bąka. Bąk teraz zaczynał pięknie wirować, po każdym podcięciu kokietyrnie przechyliwszy się zataczał niewielki, ale piękny łuk. Teraz nawet można było ograniczyć częstotliwość podcinania i chłonąć samą rozkosz zjawiska.



Klipa to była osobna epoka. Kawałek drewna o przekroju kwadratowym 2x2cm, długości około 12cm, musiał mieć końce szpiczasto ścięte. Na czterech bokach klipy wycinało się rzymskie cyfry: I, III, V i X. Grać w klipę trzeba było we dwóch. Do kompletu potrzebny był jeszcze gruby kij. Jeden z grających rysował na ziemi koło średnicy około 1m. W to koło wrzucał klipę, a następnie tym kijem uderzał silnie w koniec klipy, a że końce były ścięte, więc klipa podskakiwała do góry. Teraz trzeba było szybko uderzyć kijem w unoszącą się klipę, tak aby poleciała jak najdalej. Drugi zawodnik musiał ją schwycić. Jeśli nie schwycił, to patrzyło się, jaka cyfra jest na wierzchu klipy i tyle punktów zyskiwał rozgrywający. Natomiast jeśli drugi zawodnik zdołał schwycić klipę w powietrzu, to z tego miejsca usiłował ją wrzucić do narysowanego koła. Teraz rozgrywający mógł swoim kijem wybić klipę, ale tylko gdy znajdowała się w powietrzu. Jeśli nie wybił i klipa spadła do koła, to ten zwycięski zawodnik stawał się rozgrywającym, czyli otrzymywał kij i on dyktował grę.



Ta klipa jest okrągła, a nasza miała przekrój kwadratowy.

A zabawa w złodziei i policjantów? Nigdy nie wiedziało się, kim się chce być – czy policjantem, czy złodziejem. Policjanci nacierali hurmem, nie kryli się; występowali z całą krzykliwością prawa. Może nawet łatwiej było zostać policjantem, bo im ich było więcej, tym lepsza zabawa. Ale jakże się chciało odczuć dreszczyk bezprawia i mimo nieuniknionej przegranej chciało się zademonstrować swój stopień pogardy dla tryumfującego ładu, dla zalegalizowanej przemocy.

Tak. Każde pokolenie ma swoje zabawy. Są i zabawy, w które bawimy się od wieków; w które bawiło się każde dziecko, na każdym kontynencie.

Ale bawiło się! Nic ponadto.



Sosnowiec, ulica Średnia 9. Tu na podwórku mieścił się warsztat ojca i tu w ogródku był opisywany niżej kurnik. Aż wierzyć się nie chce, że po osiemdziesięciu latach nic się nie zmieniło. Zdjęcie z Google maps (2014.05.21)

Zabawa w lekarza

Był cudowny majowy ranek. Rodzice rozeszli się do swoich zajęć. Dzieci hasały już od dłuższego czasu po ulicy i sąsiednich podwórkach. Nawet te trochę starsze dzieci gdzieś znikły. Został tylko jeden kaliber – takich kilkulatków. Mieliśmy za sobą już szereg zabaw tego ranka. Przyszła i kolej na krycie się. Za którymś razem ja z trzema dziewczynkami skryłem się w drewnianym kurniku, który stał w ogródku. Dla nas było to bardzo ciekawe pomieszczenie: na uboczu, tak niskie, że nawet nam trzeba było się schylać. Przez szerokie szpary w deskach wdzierало się rozgrzewające słońce. Zamiast kur były tam jakieś stare deski. Siedzieliśmy na tych deskach milcząc, sytuacja się przedłużała. Szukającego nie było ani widać, ani słyszeć. Wreszcie naturalnym rozwojem spraw, nic sobie nie robiąc z nieudanego zakończenia poprzedniej zabawy, przeszliśmy do następnej – w lekarza. Poprawiliśmy deski, Marysi ściągaliśmy sukienkę, bo ona pierwsza chciała być chorą i położyłem ją na desce. Dotykałem, obmacywałem, oglądałem – chyba nigdy prawdziwy lekarz nie dostrzegał mniej cech fizycznych badanej pacjentki, niż to było w mojej sytuacji. Ale bo i jakież miałem szanse. Klatka piersiowa była równie błada i chudziutka jak moja i niczym się nie różniąca, a majtek jej przecież nie zdjąłem, bo po co?

Perfidna rasa dorosłych – wszystko, co nie trzeba, wypatrzy. Przez płot rozległ się krzyk: – Marysia! Natychmiast do domu!

Poszła. My się jeszcze trochę w coś pobawiliśmy, ale już bardzo nieskładnie. Wreszcie rozeszliśmy się do domów, chyba gnani głodem.

Żebym się choć spodziewał, co zastanę w domu. Jak na wytrzymałość moich kilku lat było to istne piekło. Indagacje, krzyki obojga rodziców – i mej matki, i jej ojca. Patrząc mogłem zewnętrznie wyglądać na rozdeptanego, ale ja po raz pierwszy w życiu odczułem dojmujący wstyd zawiniony brakiem dostatecznego ukrycia i zabezpieczenia się przed ingerencją dorosłych. Już drugi raz w życiu tego błędu nie popełniłem. Ale to mogę stwierdzić dopiero teraz. Wówczas zakonotowałem sobie w swej łepetynce dwie palące prawdy:

Nigdy nie wolno mi tego robić!

Ale na Boga! Czego?

*

Wspomnienia po latach

Rok 1939 upływał pod narastającą presją zbliżającej się wojny. Dzieci po swojemu ją odbierały. My z bratem nawet byliśmy podekscytowani i cieszyliśmy się, że mieszkamy na piętrze, więc będziemy mogli z góry obserwować walki na ulicy pod oknem.

Zbliżający się wybuch wojny coraz bardziej był odczuwalny. Rodzice darli na wąskie pasy prześcieradła i naklejali te pasy na krzyż na każdej szybie w oknie. Miało to zabezpieczać szyby przed pękaniem i wylatywaniem. Matka poszyła z płótna maski, mówiło się „tampony”, były one wypełnione watą, zasłaniało się nimi usta oraz nos i miały chronić przed atakiem gazowym. Dla nas dzieci uszyła woreczki i powkładała do nich karteczki z danymi – imię, nazwisko, adres zamieszkania, data urodzenia. Te woreczki nosiliśmy odtąd zawieszane na szyi i włożone pod ubranie. Woreczki miały pomóc dzieciom w ustaleniu ich pochodzenia, gdyby się zagubiły w zawierusze wojennej. Mam swój woreczek do dziś. Były to zalecenia państwowe.

Ojciec dostał kartę mobilizacyjną, więc wsiadł na rower i pojechał gdzieś na miejsce zbiórki. Ale nie mógł przedrzeć się przez drogi wypełnione wozami i uciekinierami. Gdy dotarł na miejsce zbiórki, nikogo z wojskowych już tam nie było. Więc na swym rowerze jakoś wrócił do domu.

Matka popakowała toboły z dobytkiem i powrzucono je do piwniczki, znajdującej się pod kuchnią pani Wosińskiej. W krytycznym dniu wszyscy mieszkańcy domu wleźli do tej piwniczki i czekali na rozwój wypadków. Do piwniczki żadne odgłosy nie dochodziły. Matka wyszła na podwórko, ale i tu była absolutna cisza. Podwórko od ulicy oddzielał pełny drewniany płot i nic nie było widać. Ostrożnie odryglowała furtkę i wyjrzała na ulicę, a tu przerażenie – tuż przed furtką stał niemiecki żołnierz i celował z karabinu w matkę. Tak zaczęła się niemiecka okupacja dla Sosnowca. Jeszcze któregoś dnia widzieliśmy wysoko na niebie walczące samoloty, ale nie trwało to długo.

Wyjątkowo szybko Niemcy zaprowadzili swoje porządki. Wszyscy mieszkańcy musieli zgłaszać się do rejestracji. Tam wydawano im dokumenty, zwane przez nas palcówkami, bo był na nich odcisk palca. Nasza ulica zmieniła nazwę na Blumenstrasse (ulica kwiatowa). Wprowadzono marki niemieckie i fenigi. Zostaliśmy wcieleni do Rzeszy, gdzieś tam dalej z ziem polskich utworzono Generalne Gubernatorstwo. Wprowadzono kartki żywnościowe. W pierwszym miesiącu można było kupić na nie nawet ciasto, a potem raczej wyraźnie się zmniejszały. Pojawiła się marmolada z buraków, dziwne sery zwane „kejza”, dla nas paskudne, a ja je widziałem znów po kilkudziesięciu latach. Naśmiewaliśmy się z Niemek, które przychodziły do sklepu po marmoladę z nieumytymi słoikami, bo nic nie mogło się zmarnować.

Potem jednak wyznaczono sklepy dla Polaków i osobne dla Niemców. Również na tramwajach pojawiły się napisy: na pierwszym wozie **Nur für Deutsche** i na drugim wozie **Nur für Polen**.

Niemcy wprowadzili również inne swoje porządki.

Już na początku 1940 roku spędzono mieszkańców i pobliskie polskie szkoły na skwer u wylotu ulicy Wawel, gdzie wisiało powieszonych kilku Polaków. Musieliśmy wiedzieć, co czeka opornych.

Prowadzono wnikliwe rozpoznania ludności. Jeśli ktoś miał wśród przodków Niemca, to zapisywano go na listę rajsdojcz. Wszystkim innym proponowano wpisanie na listę folksdojczów.

Mój ojciec odmówił stania się folksdojczem, więc zabrano mu warsztat i zmuszono, by pracował u przybyłego z Niemiec Augusta Sokollika. Jemu dano maszyny z warsztatu ojca i z warsztatów kilku innych rzemieślników. W tym też czasie zabierano co lepsze mieszkania i dawano je Niemcom na ogół przybyłym z głębi Niemiec.



Ulica Wawel w Sosnowcu.

Dorośli starali się nie mówić o polityce przy dzieciach, ale my wiedzieliśmy dostatecznie dużo. Toteż któregoś dnia mój brat wziął potłuczonego gipsowego Piłsudskiego i na murze Huty Hulczyńskiego od strony ulicy Średniej wymalował dużymi literami napis – NIEMCY NIE WYGRAJĄ WOJNY. Sąsiadki z przerażeniem patrzyły przez okna, jak ten napis powstawał, a potem zaraz wraz z matką dokładnie go zmyły, zanim jakiś Niemiec go zobaczył.

Niemców było coraz więcej, nawet znani mi chłopcy z sąsiednich ulic zaczęli paradować w mundurach hitlerjugend (dosłownie: Hitler młody) – była to brunatna koszula i czarne krótkie spodnie z pasem i koalicijką, pod szyją czarna chusta, na rękawie była opaska czerwono-biało-czerwona ze swastyką po środku. Na piersi nosili oznakę, którą zwaliśmy hajotka. Tych chłopców wystrzegaliśmy się jak ognia.



Od przed wojny nasza szkoła powszechna mieściła się w budynkach Dytla. Było to kilka budynków mieszkalnych dla robotników Dytla, a jeden z nich był szkołą. Budynki te znajdowały się blisko torów kolejowych i to zdecydowało, że szkołę przeznaczono jako koszary dla przemieszczającego się wojska niemieckiego, a nas przeniesiono najpierw na krótko na ulicę Żytnią do szkoły Barańskiego, a potem na Bracką do szkoły Sokołowskiego.

Miałem skłonności do muzykowania. Najpierw wygrywałem na stołeczku, który zakładałem sobie na ramiona jak harmonię.



Sosnowiec – historyczny stołeczek-harmonia.

Rodzice zaobserwowali to i kupili mi dziecienną harmonię.



Po około dwóch latach muzykowania rodzice kupili mi, wprawdzie mały, ale już normalny akordeon.

Dotychczas wygrywałem z pamięci różne zasłyszane melodie. Więc ojciec zapisał mnie do jednego akordeonisty na naukę gry. Mieszkał on na Floriańskiej. Chodziłem do niego ze swoim akordeonem, a on zabierał mi akordeon, kazał przepisywać nuty, a sam z tym akordeonem szedł do drugiego pokoju. Uczyło się u niego kilku uczniów starszych ode mnie. Płacili mu za nauczanie kolejnego kawałka (melodii), a on pokazywał im, jak zagrać kolejne kilka dźwięków, oni to ćwiczyli i pokazywał dalsze dźwięki.

Była i dziwna historia, bo gdy któregoś dnia wszedłem u nas do drugiego pokoju, to zastałem bardzo speszonego ojca, który właśnie siedział przy rozebranym moim akordeonie. Potem wielokrotnie się śmialiśmy z ojca, że rozebrał akordeon, bo chciał zobaczyć, co jest tam w środku, a tam dosłownie nic nie było. Matka jednak była bardziej przenikliwa i zażądała przerwania tej nauki. Po wojnie dopiero dowiedziałem się, że ojciec wyjmował z akordeonu będącą tam tajną przesyłkę Armii Krajowej, a wkładał do akordeonu nową. Podobnie zachowywał się nauczyciel gry, a ze mnie zrobiono nieświadomego kuriera.



Jedne z wakacji z akordeonem u dziadka w Markowicach.

Któregoś lata wracaliśmy z kolejnych wakacji u dziadka w Markowicach. W kilka osób staliśmy na szosie na uświęconym, wszystkim znanym przystanku zwanym „pod gruszką”. Tu była górka i wszystkie ciężarowe samochody w tym miejscu bardzo wolno jechały, stąd łatwo było zatrzymać je na szczycie szosy i poprosić o przewiezienie do Będzina. Jeździło tam wiele samochodów ciężarowych, bo woziły węgiel do Częstochowy. Tym razem zatrzymał się samochód ciężarowy pełen żołnierzy niemieckich jadących na front. Pozwolili wsiąść, bagaże nasze powędrowały gdzieś w głąb. Po jakiejś godzinie wysiedliśmy w Małobądzu. Samochód szybko odjechał, a my dopiero po chwili zorientowaliśmy się, że Niemcy nie oddali akordeonu. Jadąca z nami wujenka Tola (siostra ojca) czuła się odpowiedzialna za tę stratę i potem kupiła mi buty na zimę. Tak skończyło się moje muzykowanie.

*

Coś dla oka.



Rozdział 6

Zatem otworzyły się oczy obojga, i poznali, że byli nagimi; i splekli liście figowe, a poczynili sobie zasłony.

1 Moj. 3.7

Tak jak pies podnosi nogę pod drzewkiem, tak każdy mężczyzna instynktownie wie, że trzeba po odlaniu się... nawet jest takie powiedzenie:

„Choćbyś strząsał dwa tygodnie,
to ostatnia kropla kapnie w spodnie”.

Jednak ja za to dostałem po łapach od mamusi i znów usłyszałem:

– Żebyś mi tego więcej nie robił!

No, jakże to tak? Przecież żadne lanie bez tego rytuału nie jest zakończone.

Coraz bardziej czułem, że czegoś muszę się dowiedzieć – czegoś, co dotyczy kobiety. Nawet rozmawiałem na ten temat z Jędrkiem. I nawet uzgodniliśmy, że trzeba tego doświadczyć i że najlepiej matka by się do tego nadawała. W ostatniej fazie porozumienia dwóch szczeniaków zaszła rozbieżność poglądów. Ja oświadczyłem:

– To porozmawiaj z twoją mamusią, może by się zgodziła?

– Nie. Porozmawiaj z twoją mamusią, może nam pozwoli.

Nie dogadaliśmy się.

Mieliśmy w domu książkę Karlika z Kocyndra. Tego, co wyśpiewywał:

„Ja postawię tam w Wrocławiu
Anty –Żeleźnioka, anty żeleźnioka”.

Dziś trzeba wyjaśnić, że miało to znaczyć, co też on i my tym Niemcom pokażemy. Lubiłem słuchać, gdy matka wyczytywała z tej książki różne wesołe opowieści. Choć z pamięci, ale cytuję:

Dorósł syn górnikowi i normalnym biegiem kolei losu nadszedł dzień, gdy razem poszli na szychcę. Ojciec zorientował się, że Gustlik nieźle fedruje tam na przodku, więc gdy wracali po robocie, ojciec rzekł:

– Wiesz co, Gustlik, jak już tak jednako obok siebie fedrujemy, to trzeba, żebyś mi mówił po imieniu.

Wypili jeszcze po drodze po piwie i już w dobrych humorach wrócili do domu na obiad; cały czas syn do ojca – Franek; ojciec do syna – Gustliczku. Zwróciła na to uwagę matka, zatrzęsła nią, więc rzekła:

– Ty, stary, a cóż to ci ten pieruński mamlas tak za ty pedo (mówi)? A praśnijże go po łbie.

Ojciec nie wiedział, co odpowiedzieć, ale wyratował go syn, który po namyśle oświadczył:

– Wiesz, Franek, jak jo by miał tako cholerno baba, to bym ją już downo za drzwi wyciepl.

Była i inna historyjka:

Rano w niedzielę – że nie idzie się do pracy – górnik z synkiem wylegiwali się w łóżku. A było im dobrze, że nie mogło być lepiej. Tyle że syn chciał się na dodatek bawić, a ojca ciągnęła gazeta, do której wreszcie mógł zajrzeć. Zabawili się więc tak – ojciec ustalił, że jak powie Rosja, to syn schowa się pod pierzynę, a jak powie Polska, to syn wystawi głowę na wierzch. I tak się zabawiali, aż za kolejną Rosją ojciec zaczytał się tak bardzo, że zapomniał o zabawie. Syn długo czekał, aż wreszcie spod pierzyny dobył się krzyk:

– Tato! A wołajcież Polska, bo tam w Rosyji taki luft, że nie można wytrzymać.

Tak. Takie to były historyjki. Ale i ja kiedyś w niedzielę rano, tyle że wcześniej, byłem z ojcem w łóżku. Otworzyłem oczy. Wokół cisza, spokój. Na łóżku obok mnie leżał ojciec nie przykryty pierzyną, nawet koszulę miał gdzieś pod brodą, a między nogami mu coś sterczało do góry, i te włosy w tym miejscu ciała. Koniecznie musiałem dotknąć palcem. Ostrożnie podpełzłem, lecz gdy tylko dotknąłem, ojciec skoczył, przekręcił się na bok i cały zniknął pod pierzyną. I tyle widziałem.

Innym razem, nad ranem, ale jeszcze nie było widno, coś mnie obudziło – coś się gwałtownie obok działo. Ojciec leżał na matce i całym swym ciałem walił w nią z pasją, a ona cicho mówiła: – Nie, już nie. Nagle zapanował spokój i już nic więcej się nie działo.

Przez całe miesiące, a może i lata z uwagą wsłuchiwałem się w rozmowy starszych. Rozmowy mężczyzn nie były ciekawe – nie, nie to – nie były odkrywcze. Natomiast zawsze było coś tajemniczego w wielogodzinnych zwierzeniach przyjaciółek mamusi. Raz było to coś takiego:

– Wiesz, ta stara jędza wszystkim naopowiadała i nawet jego żonie i mojemu, że widziała, a co ona mogła tam widzieć – sama wiesz najlepiej. Awantura była straszna. Cała kamienica się trzęsła od wieści. Mojego najbardziej rzuciło, gdy mu oświadczone, że ten syn nie jest jego. Tamten głupi znów oświadczył mojemu, że natychmiast każe lekarzowi zbadać krew dziecka i mojemu udowodni, że nie ma z tym nic wspólnego. Nie było wyjścia. Wyprowadziliśmy się. To drugie dziecko uspokoiło wszystko. Mój zajął się robotą; teraz nawet wieczorami pracuje. A tej wścibskiej małpie ja jeszcze pokażę.

Matka. Ta była stale z nami i wiele opowiadała. Ojciec – może nawet bardziej był z nami, ale jakoś wolał przebywać poza domem. Pracował – aby nas utrzymać. Ileż treści jest w tym słowie – utrzymać – nie wyżywić tylko, czy ubrać, ale mieć wbrew wszystkiemu i mimo wszystko.

*

Wspomnienia po latach

Była zima, wieczór, siedzieliśmy w kuchni w ciepłe przy żelaznym piecyku i było nam dobrze. Nagle łomot do drzwi, otwieramy przerażeni, a tu wpada patrol policji niemieckiej i wykrzykują coś po niemiecku. My nic nie rozumiemy, ale oni nie zwlekając wchodzą do pokoju i pokazują na okna. Ano tak. Okna w pokoju niezaciemnione, a złośliwością losu ktoś z nas zostawił tam zapalone światło. Nasze przerażenie wzrasta, bo za chwilę zauważą drugie, jeszcze większe przestępstwo. W pokoju przy piecu stoi duży baniak, w którym dojrzewa zacier na kolejną porcję samogonu. Wychodzą jednak nie zauważywszy. Światło w naszych oknach zobaczyli aż na ulicy Orlej i przedzierali się przez ogrodzenie kościoła, brnęli po głębokim śniegu na placu kościelnym, potem przeleźli przez mur od ulicy Mariackiej.

Podczas wojny obowiązywało bezwzględne zaciemnianie okien. Wprawdzie żadnych jeszcze nalotów nie było, ale Niemcy bardzo tego pilnowali. Zaciemnienie polegało na rozwijaniu wieczorem na każdym oknie rolet z czarnej tektury, która wisiała u góry okna. Rano się je zwijało. Nawet samochody miały zainstalowane specjalne światła na wypadek nalotów. Była to lampa w kształcie bardzo spłaszczonego hełmu, a pod nim była pozioma szczelina, przez którą wydostawało się na drogę trochę światła.

Jednego dnia lotem błyskawicy obiegła po domach wiadomość, że Niemcy prowadzą obławę na Pogoni i nie wolno nikomu wychodzić z domu. Czekaliśmy przerażeni. Wreszcie dotarli do naszego domu. Z krzykami – Wo zint di banditen?! – Brutalnie wygarnęli wszystkich z mieszkań na podwórko, ustawili rzędem pod murem starych, dorosłych i nawet dzieci i robili szczegółową rewizję w mieszkaniach. Potem oglądali każdego stojącego pod murem. Gdy dotarli do Józka Wosińskiego, tego rzeźnika, warknęli – Bandit? – Ten po swojemu odparł – Ja, ja. Już niejedną świnie zarzynałem. – Myślałem, że teraz nas wszystkich rozstrzelają. Jednak zastrzelili tylko tego okropnego psa łańcuchowego, bo strasznie na nich ujadał. Właściwie byłem im za to wdzięczny. O tym psie napisałem wszystko we wcześniejszej redakcji książki w jednym z następnych rozdziałów.

Obława przeniosła się do następnych domów, wreszcie rozległa się strzelanina. To polegli partyzanci, którzy się skryli w nieskończonym pustym domu na ulicy Przechodniej i nie pozwolili wziąć się żywcem.



Ulica Przechodnia na Pogoni w Sosnowcu.

Po lewej miejsce walki i tablica pamiątkowa. W głębi dach walcowni Huty Huczyńskiego. (Foto 1975.05.01)

Poniżej treść tablicy pamiątkowej.



W DNIU 14 MARCA 1944 R. ZGINĘLI W TYM MIEJSCU
W WALCE ZBROJNEJ Z OKUPANTEM HITLEROWSKIM
ŻOŁNIERZE ZAGŁĘBIOWSKIEJ BRYGADY GL-PPS AK
PARTYZANCI:

TADEUSZ BOLEK ps. „TADO”

STEFAN WAHANKA ps. „RUCZAJ”

JERZY GORZULA ps. „JASKÓŁKA”

BOGUSŁAW ZYCHLA ps. „BOGDAN”

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI

W ramach naszego urwisowania, któregoś dnia wybraliśmy się do niemieckiego kina, nie mówiąc nic rodzicom. Grali film pod tytułem *Du bist mein Glück* (*Jesteś moim szczęściem*). Przez cały film dwoje młodych zakochanych poszukuje się i na końcu odnajdują się, zderzając plecami na ulicy podczas wzajemnego wypatrywania.

Po filmie jednak przyznaliśmy się rodzicom. Ojciec biciem skutecznie zabronił chodzenia do kina, bo tak nakazywał mu patriotyzm. Myślę, że nie miał racji. Przez te pięć lat okupacji my dzieci mogliśmy się nauczyć niemieckiego, nie byłoby to zbrodnią. W pamięci pozostało na zawsze kilka podstawowych zwrotów, które i dziś wymawiam podobno bardzo poprawnie.



Budynek kina Zagłębie, który od przed wojny, przez okupację trwał do niedawna. (Ten z kolumnami. Jeden z ciekawszych budynków w Sosnowcu. Kto pozwolił go wyburzyć?).

W śródmieściu było jeszcze drugie kino na ulicy 3 Maja, chyba REX się zwało. Ono podobnie długo egzystowało jak kino Zagłębie. Po wojnie w tych dwóch kinach zawsze grano ten sam film, z przesunięciem o kilkadziesiąt minut. W związku z tym między tymi kinami stałe kursował goniec przenoszący kolejną szpulę taśmy z filmem.

Natomiast na Pogoni przed wojną były jeszcze dwa kina. Było kino Momus u zbiegu ulic Nowopogońskiej i Floriańskiej – bardzo prymitywne kino na kilkadziesiąt osób. Tu dzieci wpuszczano za darmo i sadzano na długiej ławce ustawionej pod ścianą sali kinowej. Było jeszcze kino w budynku związku na ulicy Mariackiej między naszym domem, a liceum Staszica.



Kino Momus róg Nowopogońskiej i Floriańskiej w Sosnowcu. (Foto Google 2012)



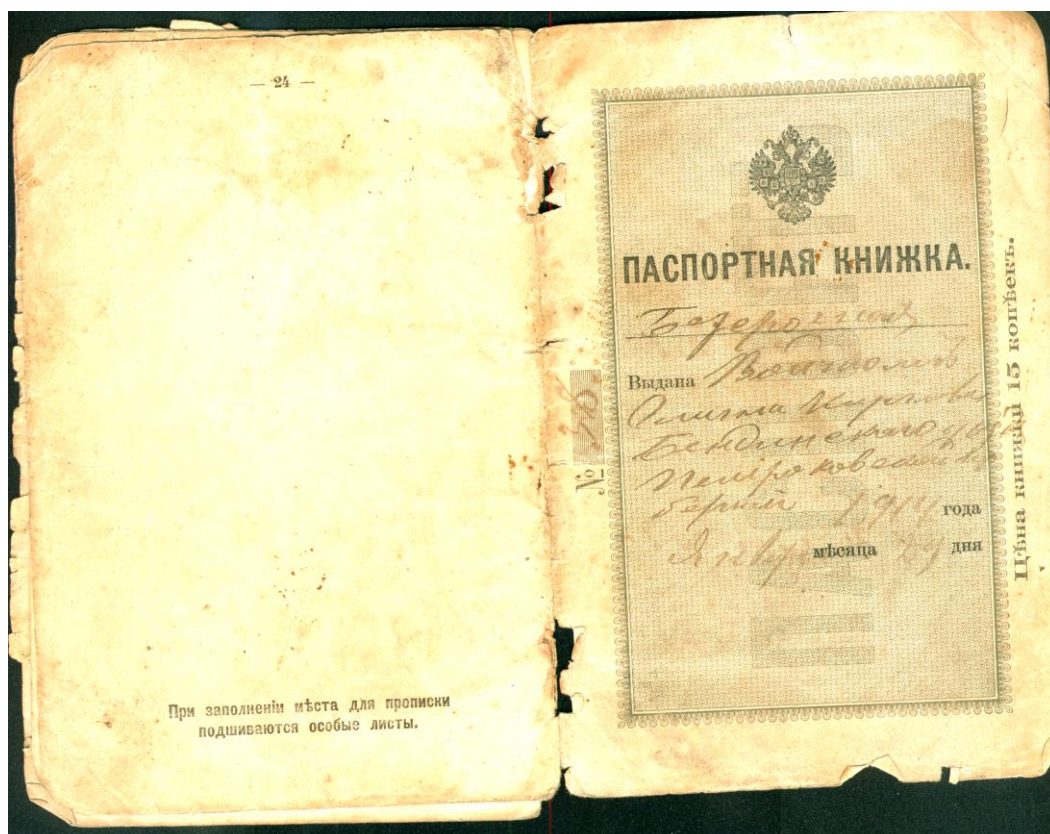
Kino Związkowe na Mariackiej w Sosnowcu. (Foto 2014.07.25)

Wiąże się z nim moja pamiętna przygoda. W kinie obowiązywała zasada, że dorośli mogli za darmo zabrać ze sobą dziecko. Młode sąsiadki Gintrowe zabrały mnie raz do kina. Przyszliśmy najwyraźniej zbyt późno, bo wepchnięto nas przez jakieś drzwi do ciemnej sali. A tam były wspaniałości: disnejowski pies Gufi w pięknych kolorach przyklejał się do kolejnej kartki leżącej na podłodze. Film się skończył, zapalono światła na przerwę i my spóźnialscy wyszliśmy i poszliśmy przez inne drzwi na swoje miejsce.

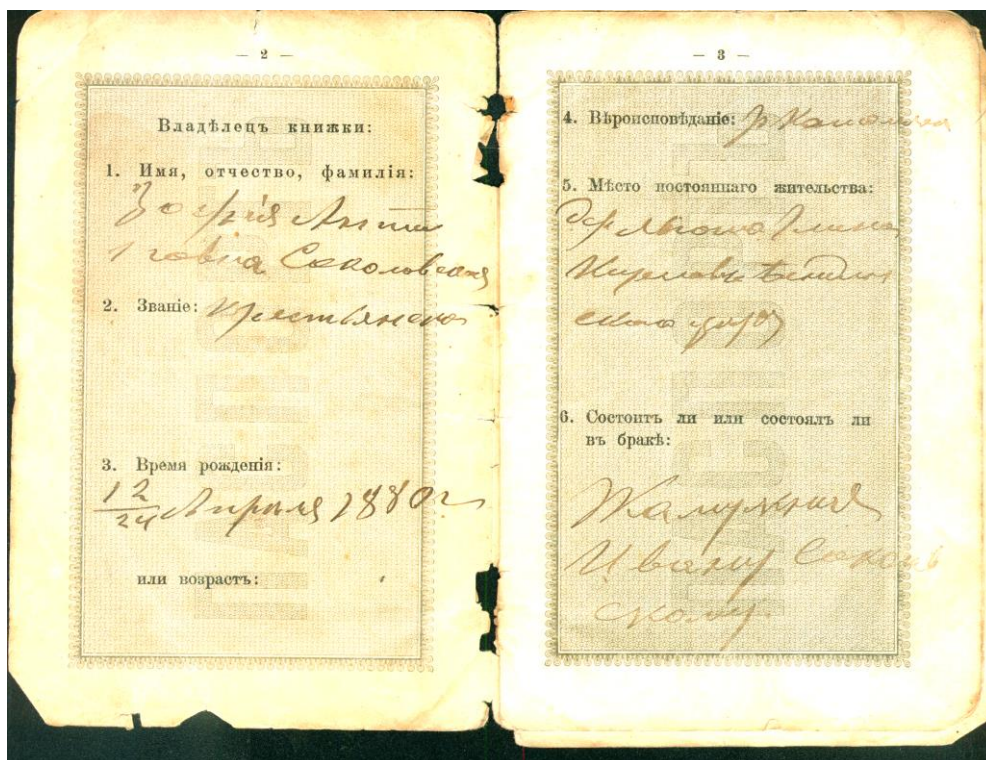
Po przerwie w filmie czarno białym wyświetlano sławny film z zatonięcia Tytanika. Okropne sceny wypełniły cały film, a ja widziałem jedynie te kotłujące się ciała w wodzie i te ogromne fale. Byłem bardzo oburzony na moje sąsiadki, bo przecież mogliśmy nadal być na tym wspaniałym disnejowskim filmie, tak kolorowym, tak śmiesznym. A one, nie wiedzieć czemu, opuściły tę salę i weszliśmy tam, gdzie były same okropności.

Ale wróćmy do czasów okupacji niemieckiej.

Moja babcia, którą bardzo kochałem, Zofia Anna Sokołowska, matka mojej matki, zaczęła chorować. Ja niewiele wówczas rozumiałem, wiedziałem tylko, że odjęto jej jedną pierś, potem drugą. Odtąd żyła na morfinie. Miała stałą receptę na morfinę, ale matka obawiała się morfiny i nie chciała jej kupować. Babcia mnie posyłała do apteki, tam dawano mi kolejną maleńką buteleczkę z jakimś mętnym płynem. Babcia ukradkiem prosiła, abym jej wlewał na łyżeczkę z wodą parę kropel więcej, bywało dwadzieścia. Gdy morfina przestawała działać, babcia coraz bardziej wyła z bólu. Nie wiem, w jakim stopniu ten ból był powodowany przez gwałtownie rozwijający się nowotwór, a w jakim stopniu był to głód narkotyczny.



Rosyjski paszport mojej babci z 1914 roku.



Babcię operowano w szpitalu na dalekim Pekinie. Któregoś dnia późnej jesieni poszliśmy wszyscy na Pekin odwiedzić babcię. Jednak do szpitala wpuszczono tylko matkę i ojca, a mnie z bratem kazano czekać na dworze. Było dotkliwie zimno. Nas matka wystroiła na wizytę, ale nie byliśmy ciepło ubrani. Z bratem przytulaliśmy się do drzwi portierni szukając trochę ciepła. Ja myślałem, że już się wcisnę w tę futrynę. Potem babcię wypisano ze szpitala. Ojciec na jej życzenie wynajął dorożkę i tak pojeździli po Sosnowcu żegnając się z ulicami i z życiem. Ci-chutko płakałem za firanką po jej śmierci. Taka to była miłość między wnuczką i babcią, bardziej niż dożgonna.



Moja babcia – Zofia Anna Sokołowska, z domu Śliwińska.

Wcześniej niż umarła babcia, narodził się mój brat Tosiek. Widziałem przecież, że matka ostatnio bardzo przytyła, ale w ogóle nie rozumiałem, do czego to zmierza. Był dzień, w którym mój starszy brat Witek miał iść do pierwszej komunii. Matka nam poprasowała jeszcze stroje, ale do kościoła wyprawiła z wujenką Tolą. Ceremonia w kościele była bardzo długa, ale nie dostatecznie długa jak na potrzebę chwili. Jeszcze tylko po mszy wujenka Tola dała Witkowi na pamiątkę srebrną niemiecką monetę, jako że była jego matką chrzestną. Nie zabrała nas jednak do domu, lecz kazała iść się gdzieś bawić, a sama wróciła do domu.

Moneta uruchomiła naszą wyobraźnię, a że zostawiono nas samym sobie, podjęliśmy działanie. Już od pewnego czasu przemyśliwaliśmy nad tym, ale teraz właśnie nadeszła ta chwila. Postanowiliśmy zahandlować. W sklepie za tę monetę sprzedano nam kolorowy papier glansowany, to jest z połyskiem. Kupiliśmy szpileczki, patyczki, dostaliśmy dużo reszty. Gdzieś w zakamarkach zrobiliśmy kilkadziesiąt wiatraczków, ponabijaliśmy je pięknie w kartofel, a ten wbiliśmy na duży patyk, wszystko jak widzieliśmy u innych sprzedawców i poszliśmy na ulicę Orlą sprzedawać te wiatraki. Nawet kilka ludzi kupili, ale z pozostałymi musieliśmy wrócić do domu, bo było dostatecznie późno. Przed okropną awanturą w domu wyratował nas nowy braciśzek, ale i tak wujenka miała żal za nieuszanowanie jej prezentu.

No, ale skąd mieliśmy wiedzieć.

Coraz trudniej było zdobywać produkty żywnościowe. Niezawodny ojciec zdobył młynek i trochę żyta. Odtąd bardzo często musieliśmy z bratem mleć to żyto, a było to bardzo ciężkie zajęcie i okropnie długo trwało. Gdy matka uznała, że mąki jest już dosyć, zagniatała z niej kluski. Ale mąka żytnia była oporna, dało się z niej lepić jedynie takie wałeczki. Wychodziły kluski brunatne i twarde. Mówiliśmy, że są to kule do karabinu.

Zaraz na początku wojny Niemcy kazali pod groźbą rozstrzelania zdawać wszystkie odbiorniki radiowe. Ojciec nie chciał się rozstawać ze swoim radiem, przecież je sam zrobił. Kupowało się zwyczajnie części, lampy i montowało według sprzedawanych pisemek dla majsterkowiczów. Nikt o tym nie wiedział, a radio ojca stało w sieni przez całą wojnę. W sieni stało obowiązkowe wiadro z piaskiem na wypadek pożaru. Tyle że piasku w nim było niewiele, a pod nim odpowiednio opakowane i zalane od góry lepikiem (twardniejąca czarna masa do lepienia papy na dachu) czekało na lepsze czasy ojca radio.

Zresztą i inne przedmioty trzeba było oddawać Niemcom. Tak na przykład pani Wosińska wolała obciąć czub jednej syna narty i nie oddała ich Niemcom.

Tak trwaliśmy, aż doczekaliśmy się, że Niemcy zaczęli uciekać. Zrazu nieznacznie, a potem gremialnie uciekali, uciekali, jak który potrafił. Szybko zabrakło samochodów, wozów, a nawet ręcznych wózków. August Sokollik, pracodawca ojca, zmusił mojego ojca grożąc mu pistoletem i ojciec niósł bardzo ciężkie walizy wypełnione cennieściami. Tak szli na piechotę kilkadziesiąt kilometrów na zachód. Ojciec uciekł Sokollikowi, gdy ten podjął targi z jakimś właścicielem samochodu.

Teraz głoszą, że zostali wypędzeni.

*

Rozdział 7

*A ona ciernie i oset rodzić będzie tobie; i będziesz
pożywał ziela polnego.*

1 Moj. 3.18

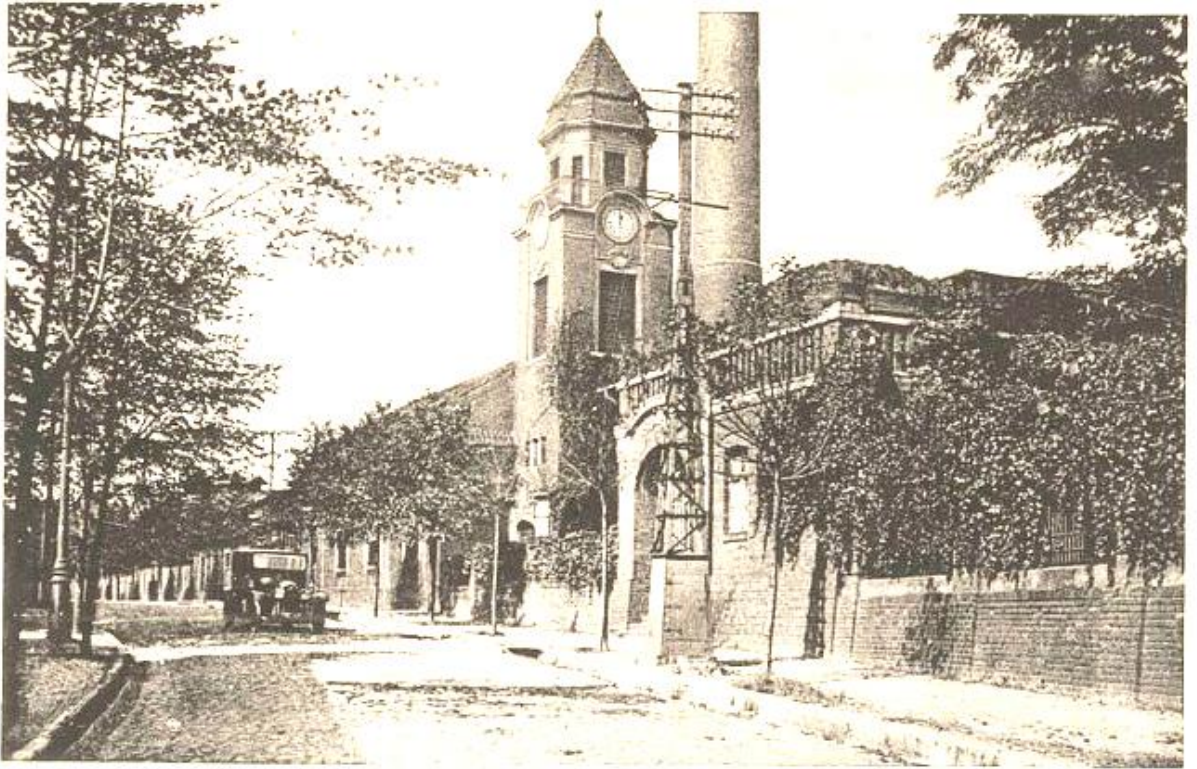
Z nazwisk, wśród których wyrastałem, było kilka szczególnych – stanowiły identyfikacyjne symbole i były na ustach wszystkich.

Hulczyński – upijając okolicznych chłopów, wykupił od nich liche piaszczyste ziemie i postawił na nich hutę. Po jednej stronie ulicy Średniej w Sosnowcu był nasz dom, a po drugiej stronie już był tylko mur, a za nim hala huty Hulczyńskiego. Gdy w niej jechała suwnica, to w naszym domu trzęsły się meble i dzwoniły szklanki. Nasz dom – w tym przypadku to pojęcie względne – w nim rodzice wynajmowali mieszkanie.



Gimnazjum Staszica na Mariackiej, obecnie Uniwersytet Śląski.

Dietel – to moja szkoła. Wprawdzie idąc do szkoły mijaliśmy najpierw Związek na Mariackiej, potem Liceum Staszica – szczyt ekskluzywności – Harvard Sosnowca – i zaraz, gdy skręcało się w lewo, było terytorium Niemca – Dytła. Tu ulicę stanowiły już tylko dwa wysokie mury. Jeden odgradzał od ulicy przędzalnię Dytła, a drugi jego park. Ulica ta była zakończona po jednej stronie prywatnym kościołem ewangelickim Dytła, a po drugiej stronie dwoma jego pałacami.



Ul. Żeromskiego – prywatny kościół ewangelicki Dietla.
Za moich czasów tu już jeździł tramwaj.



Ul. Żeromskiego – pałac Dietla.



Ul. Żeromskiego, drugi pałac Dietla.

Dalej szło się pod wiaduktem kolejowym i w prawo już po kilkuset metrach była nasza szkoła – też w budynkach Dytła.



Sosnowiec, ul. 3 Maja 46 – po prawej dawna szkoła powszechna nr 9 w budynkach Dietla.
Ostatni budynek po prawej (Foto 2014.07.25)

Naprzeciwko szkoły był olbrzymi ogród kwiatowo – warzywny Dytła. Za nim, za Przemszą, dużym starym parkiem zaczynało się terytorium hrabiego Renard'a – Francuza – właściciela kopalni i walcowni.



Walcownia „Hr. Renard”.

Jeżeli pogoda dopisywała, to wracaliśmy ze szkoły do domu nieco dłuższą drogą, wzdłuż kolei, tuż za którą był drugi skraj najpierw przędzalni Dyla, a potem huty Hulczyńskiego. Czasem przechodziliśmy aż przez mostek nad Przemszą – za nią była huta Katarzyna. Ale dla nas dzieci Katarzyną była olbrzymia biała hałda, bardzo regularnie usypywany stożek, jak dach ogromnego cyrku. Królowała nad Sosnowcem. Ze wszystkich miejsc było ją widać. Patrzyłem na nią z wielkim szacunkiem; tylko Fudzi-San jest może tak oglądany przez Japończyków. Mimo swej wszechobecności była niedosięglą; nasze wielokrotne wyprawy w jej kierunku nigdy nie dały nam uczucia, że jesteśmy choć trochę bliżej Katarzyny. Nie wiedziałem i dziś nie wiem, z jakich odpadów usypywano ją przez tych wiele lat. Była kremowo-biała. Dziś już jej nie ma. Została rozebrana, a szkoda – wszak była szczególnym dziełem człowieka, była Wieżą Eiffla dla Sosnowca.



Huta Katarzyna



Ul. Gampera i hałda Huty Katarzyna.



Powrót ze szkoły do domu przez ulicę Nowopogońską.

Znów w domu najczęściej powtarzało się nazwisko – Vianey. Nazwisko tego Francuza stale wracało w opowiadaniach matki.

Piaski – były własnością Wianeję. Od nas z Pogoni na Piaski szło się – chodziliśmy tam nawet kilka razy w tygodniu – do rodziny – obok wapienników, wzdłuż glinianek...

Właśnie. Tu koledzy żartowali: – ty masz krzywą, on ma krzywego, to będziecie do siebie pasowali. Tu koledzy nauczyli piosenki:

Poszedł stary na glinioki,
Urwoł..... rzucił w krzoki.
Gdy się staro dowiedziała,
Zaroz tyż tam przyleciała.
Oj, ty stary, coś ty zrobił?
Czym ty dzieci będziesz robił?

itd.

...za gliniankami po prawej pod górką była Brazylka, a za nią już Piaski. Nota bene – w innych krańcach Sosnowca była Abisynia, Pekin i może inne... Wszystko to było siedliskiem bud, tych których wieś wyrzuciła, nie mogąc ich wyżywić, których przemysł odrzucił, bo nawet swoich, których miał, nie potrafił zatrudnić, bo kryzys. Czasami tylko byli oni używani do łamania strajków, przeciw górnikom. Ci zresztą byli im największymi wrogami, bo górnicy organizowali się przeciw łamistrajkom.

Stąd z tych bud szła cała emigracja za chlebem i stąd te nazwy zapewne.

Na Piaskach byłem znów po wielu, wielu latach. Mała osada górnicza i choć później dużo wybudowano, Piaski z lat dwudziestych nie uległy do dziś zmianie. Patrząc okiem architekta, urbanisty, musimy dojść do wniosku, że te piaski dla Wianeja zagospodarował, rozplanował też urbanista, też architekt.

Małe, a o jakże przemyślanej urbanistyce. Główna droga do bramy kopalni prowadziła między murami kopalń, tej trochę starszej i tej niewiele młodszej. Na końcu tej drogi kościół w stylu francuskiej architektury późno romańskiej. Prostopadle dwie inne drogi – tu kilkanaście identycznych domów z cegły – dla górników. Osiedle zakończono dwoma trochę lepszymi budynkami dla sztygarów i urzędników. Za tym maleńki skwerek – gdzie co sobotą odbywały się tańce. Za tym dom Wianeja – właściwie biuro, bo dom znajdował się obok, nieco w głębi. Gdzieś sklep Wianeja do kupowania na kredyt. Jakaż prosta i czytelna funkcja urbanistyczna – niczym niezakłócona. Miejsce pracy. Miejsce spania. Modlitwa. Władza. Skwerek do kropli uciech i sklep zabierający wszystko, zanim się nawet zarobiło. I nic więcej. Ten ideał urbanistyczny sam się uzupełnił o Brazylkę – tam ci, którzy mają jeszcze gorzej, którzy nie przebijając w środkach, walczą o pracę na kopalni, o „mieszkanie” dla rodziny.



Piaski, ul. 3 Kwietnia. [Google 2012]

Szukam śladów opowiadania matki – tak często słyszanego.

Na skwerku stoi niewielki pomnik – wzniesiony po wojnie. Na pomniku nazwiska: Łachwa Wawrzyniec, Dziekan Piotr, Łaganowski Stanisław, Stelmasiński Jan, Romańczyk Izidor, Janson Leon.

Obok skwerku ulica nazwana „3 Kwietnia 1924r.” Tu na ścianie budynku wmurowana tablica pamiątkowa z czterema nazwiskami: Łaganowski, Stelmasiński, Romańczyk i Janson – tablica z tamtych dni.

Było to więc 3 kwietnia 1924 roku. Czwartek. Tłum robotników poszedł demonstrować pod biuro Wianeja. Na transparentach najczęściej mieli napisane: MY CHCEMY CHLEBA. Wianej wyszedł na schody i krzyknął:

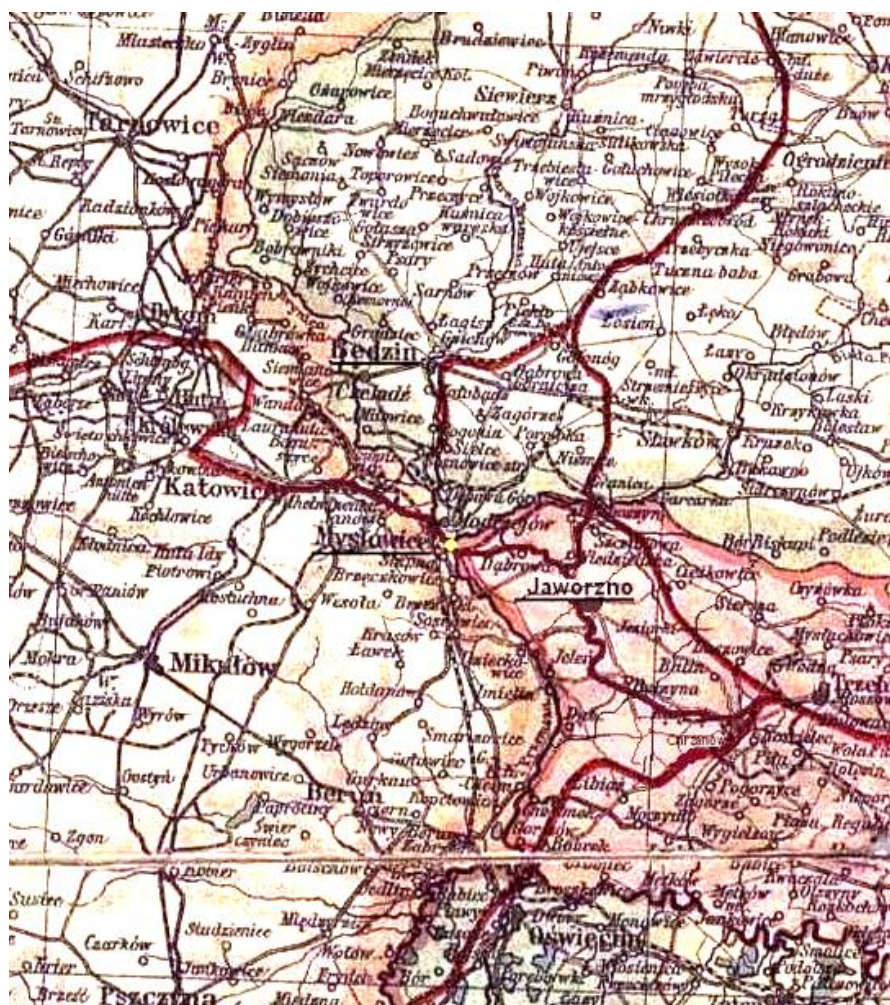
– Ludzie! Ja nie młynarz!

Teraz już zawrzało. Ręce nie zdzierżyły bezczynności. Wydrapywany brukowiec posypał się na biuro Wianeja. Tam jednak już byli przygotowani. Padły strzały z pomieszczeń biura, przez zamknięte okna, przez szyby. Robotnicy cofnęli się na skwerek. A w biurze najwyraźniej skorzystano z telefonu, bo po niedługim czasie z ulicy, która dziś się zwie – 3 Kwietnia 1924 roku – wypadło wielu policjantów na koniach – przybyli z Czeladzi. I to również zaskoczyło górników – policja zaatakowała ich od tyłu.

Zabici, ranni, koniec walki. Przewrzenie i zaciętość.

Historia tej części Kraju w zasadzie rozpoczęła się wraz z tworzeniem tam górnictwa, a następnie przemysłu. Bogactwa naturalne znajdujące się w ziemi, liczne zabiedzone wsie w Zagłębiu i wokół niego oraz całkowity marazm stały się najlepszą pożywką dla eksplozji przemysłu.

Z pewnym rodzajem chłuby powtarzaliśmy, że Sosnowiec jest tym punktem Polski, gdzie zbiegały się trzy zabory. Sam Sosnowiec leżał po stronie rosyjskiej, ale był już, wprawdzie w zależnym od Rosji, w Królestwie Polskim w latach 1815 – 1832. Południowo-zachodnią granicę Sosnowca stanowiła rzeka Brynica, a za nią zabór pruski. Natomiast na południowym cyplu Sosnowca, w miejscu, gdzie łączą swe wody rzeki Przemsza z Brynicą, tam, gdzie do dziś osada Jęzor – był zabór austriacki.



Po lewej zabór pruski, u góry po prawej zabór rosyjski, u dołu po prawej zabór austriacki.

Trójkąt trzech cesarzy to jednak nie paradoksalny przypadek graniczny ani tylko ciekawostka geograficzna. Jeśli zauważmy, że Zagłębie Dąbrowskie to było rewelacyjne odkrycie ostatnich dziesięcioleci, odkrycie w rejonie Dąbrowy, Sosnowca i sąsiednich miejscowości olbrzymich pokładów węgla kamiennego, to zrozumiemy sens trójkąta trzech cesarzy. W Zagłębiu Dąbrowskim eksplodowały kopalnie, za nimi przemysł, zwłaszcza huty, nawet przędzalnie. Nic więc dziwnego, że każdy z trzech cesarzy musiał mieć swój kawałek Zagłębia, że ich terytoria dotarły aż tutaj, że tu się spotkało trzech cesarzy.

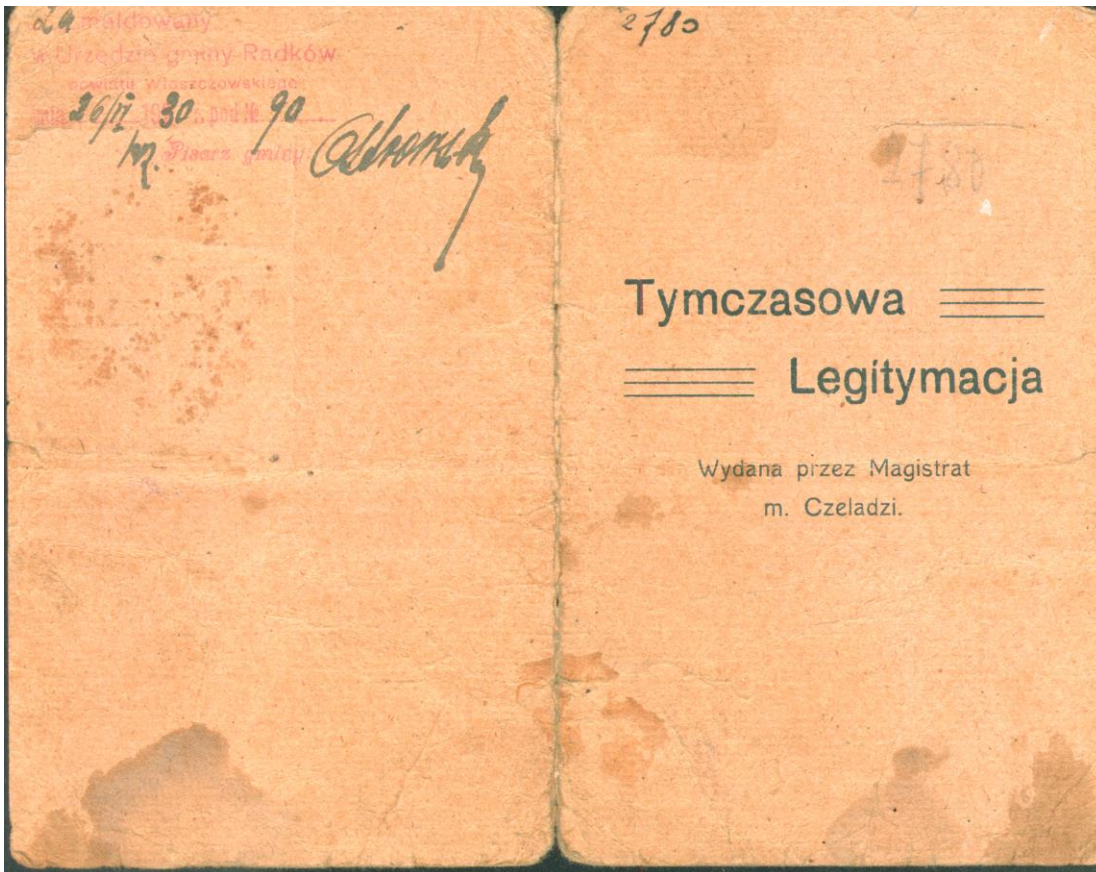


„trójkąt trzech cesarzy”

Dziadek mój trafił do górnictwa bardzo wcześnie. Nie miał jeszcze czternastu lat, gdy zaczął pracować na rudziance (kopalnia rudy). Nawet musiano sfałszować metrykę urodzenia, aby mógł być przyjęty do pracy. W czasie, gdy osiągnął wiek męski, stał się górnikiem kopalni węgla na Piaskach – doświadczonym górnikiem. Tacy sami chłopcy jak i on, których głód oderwał od roli, pracujący w górnictwie stanowili niemal całą ludność Zagłębia. Nigdzie na innych terenach Polski nie było tak mało inteligencji, kleru czy mieszczaństwa.

Czyż można się dziwić, że było tutaj tylu komunistów? Przecież na Piaskach na przykład inteligencja stanowiła zaledwie kilkadziesiąt osób i to o statusie niewiele wyższym od górników. Ich dzieci chodziły do tej samej szkoły, rodzice kupowali w tym samym sklepie.

W roku odzyskania niepodległości przez Polskę dziadek mój fizycznie był już wrakiem. Miał za sobą prawie trzydzieści lat fedrowania, choć lat życia nie tak znów dużo więcej. Najlepszym dowodem tego fizycznego zderzenia był fakt, że kopalnia przeniosła go do lżejszej pracy. Chodził więc odtąd samotnie po wyrobiskach kopalni, opuszczonych chodnikach oraz po starych szybach i sprawdzał, czy nie ma gdzieś gazu. Dysponował tylko nosem i karbidówką – więc czym sprawdzał? Sobą?! Musiało nigdzie nie być gazu, skoro dożył do emerytury.



Mój dziadek.

Imię i nazwisko *Józef Lorek-Lewicki*

Imiona rodziców *Fraucimk Kalanoga*

Zawód *Górnik*

Stan rodzinny *Żonaty*

Data urodzenia *18 1/3 roku.*

Miejsce urodzenia *Poznań*

Gm. przynależności *Korzętko*

RYSOPIS WŁAŚCICIELA
tymczasowej legitymacji

Włosy *Blond*

Oczy *Siwe*

Twarz *Pociągła*

Wzrost *160 cm*

Szczególne znamiona

Stosunek do wojskowości

Na jakiej zasadzie wydano dowód osobisty
Sierżant rezerwy gen. Korzętko Nr. 88.

No *262/489*

Czeladź, d. *Stawek* 1922 roku

Podpis własnoręczny *[Signature]*

Burmistrz *[Signature]*

Sekretarz *[Signature]*





Jan Sokołowski ojciec Czesławy Sokołowskiej -1922.04.05



Kopalnia węgla „Piaski” koło Sosnowca w 1905 roku (SBC)

RZECZPOSPOLITA POLSKA.

Województwo Kieleckie Powiat Włoszczański Gmina Radków
Do ksiąg ludności.

ŚWIADECTWO ŚMIERCI Nr aktu 9

Parafia Przym.-Kat. Bobelno

Nr księgi ludności	Miejsce śmierci	Imię i nazwisko zmarłego	Wiek	Data śmierci			Imiona i nazwiska rodziców
				Dzień	Miesiąc	Rok	
	<u>Krzepin</u>	<u>Jan Sokolomski</u>	<u>57</u>	<u>9</u>	<u>Marc</u>	<u>1937</u>	<u>Franciszek i Katarzyna z Pasków.</u>

dziesięć trzydziestego pierwszego roku.
Bobelno dnia 19 kwietnia 1937 r.

Proboszcz Ms. Józef Sieja

Drukarnia "Niedziela" w Warszawie 1935

Matka wspominała również, jak to pewnego dnia na dole na ulicy policja tłucze demonstrantów, kobiety z dziećmi siedzą same w domu, właśnie pora obiadowa, nagle wpada jakiś, rozgląda się, więc kamienie, z którymi wbiegł, pod pierzynę, wodziankę w talerz i gdy w chwilę później policja wtargnęła do mieszkania – już wszyscy jedli obiad. Obrazek przekonywujący, zajrzeli jednak do szafy, czy kogoś tam nie ma, pod pierzynę – znaleźli kamienie. Przytomność babci, bo odpowiedź: – A to dziewczyny sobie wieczorem nagrzone wkładają do łóżka, by im w nocy nogi nie marzły. – A ten kto? – pytają. – To kwaternik z nocnej zmiany. – Policjanci musieli uwierzyć, wyszli.

Przecież jeżeli gdzieś dało się wstawić łóżko, to natychmiast byli kwaternicy – po dwóch na jedno łóżko – gdy jeden spał, drugi pracował. Ba. Z nich rekrutowali się mężowie dla córek, wujkowie.

Wodzianka. Jeszcze ja ją jadałem. Bardzo smakowała mi ta zupa. Gdy byliśmy sami z babcią w domu, to często ją robiła. Trzeba było przysmażyć trochę cebuli na odrobinie tłuszczu, wlać to na zagotowaną wodę, osolić do smaku, dodać chleb pokrojony w kostkę i już się jadło.

Około roku 1927 dziadek mój po przepracowaniu 35 lat na kopalni dostał zegarek i poszedł na emeryturę – to znaczy przestał pracować, bo całą emeryturę stanowił ten zegarek. Wreszcie mógł zrealizować marzenie całego swego życia. Opuścił Piaski z żoną i najmłodszą córką – bo dwie starsze wyszły za górników i zostały na Piaskach, a jedyny syn wyemigrował do pracy we francuskich kopalniach. Dziadek osiadł we wsi Krzepin koło Secemina i podjął trud uratowania niewielkiej i bardzo zaniedbanej, ale rodzinnej, bo teściów gospodarki.

Jednak ani córka, ani żona, ani on, nie przywykli do pracy na roli, nie dawali rady, stąd częste swary. W trzecim roku dziadek rozgoryczony tym, że mu babcia odmówiła kupna upragnionego kożucha, poszedł na siarczysty mróz i tak się strasznie przeziębił, że po kilkunastu dniach zmarł. Miał lat 52. (Według dokumentów zmarł w wieku 58 lat, ale tu nadal mogła być sfalszowana data urodzenia). Babcia sprzedała gospodarzkę i wróciła do córek na Piaski. Najmłodsza córka, a moja matka też była za tym, bo narzeczony został w Sosnowcu. Szybko odbył się ślub, w jakiś czas potem wyprowadzili się z Piasków na Pogoń. Przyszły na świat dzieci. Ściągnęły z Piasków matkę...



1951 rok – chałupa Jana Sokołowskiego (ojca Czesławy Sokołowskiej) we wsi Krzepin, górnika, którą po emeryturze nie nacieszył się, gdyż zmarł w dwa lata później.

Pradziadowie byli jakoś spokrewnieni, tak że biskup dawał zgodę na ślub rodziców. Ojciec opowiadał o swym dziadku, że dwadzieścia lat był w armii carskiej. Pięć lat szli na front do Mandżurii. Po powrocie z wojska osiadł we wsi Markowice położonej w połowie drogi między Sosnowcem a Częstochową. Mój dziadek miał już tylko połowę gospodarki pradziadka, a dwie żony dały mu po czwórce dzieci. Ogromna nędza spowodowała, że mój ojciec, jako najstarszy musiał bardzo wcześnie opuścić dom. Pieszko udał się do Zagłębia. Tam ojciec chrzestny umieścił go u rzeźnika, a gdy po jakimś czasie ujrzał skutki terminowania we krwi i smrodzie, co prędzej przeniósł mojego ojca na naukę do blacharza.



Ludwik Sokołowski, rolnik, ojciec Stanisława Sokołowskiego. (Foto około 1946 roku)



Stanisław Sokołowski (ten po prawej na korzeniach) wieś Markowice koło Częstochowy około 1920 r.

Siły witalne dokonały swego, bo w parę lat po moim przyjściu na świat, mój ojciec już był samodzielnym rzemieślnikiem, miał własny warsztat. Ale na tym stanął; przez resztę życia miał być niszczone. Do tego jeszcze wrócę. Pod koniec życia odszukał w księgach kościelnych ślady przodków – właścicieli majątku ziemskiego gdzieś w ziemi radomskiej.

... i taki mam rodowód. Myślę, że każdemu z nas, poczynając chociażby od pradziadka, los nie dawał żadnego wyboru.

*

Rozdział 8

Aż, jeżeli dobrze czynić będziesz, nie będziesz wywyższon? a jeśli nie będziesz dobrze czynił, we drzwiach grzech leży; a do ciebie chuć jego będzie, a ty nad nim panować będziesz.

1 Moj. 4.7

Dzieci biły się zawsze i nie ma sposobu, żeby nadal tego nie robiły.

Grupa takich samych jak ja malców patrzyła i odbierała kolejną lekcję wychowania ulicznego. Pośrodku było się dwóch wyrostków, to znaczy starszych od nas o parę lat, przy czym jeden z nich był równie mały jak my, a drugi wyraźnie większy. Ten mniejszy skulony jak jeź leżał twarzą do ziemi, ten większy raz po raz usiłował go odwrócić, a że mu się to nie udawało, więc siadał na jego głowie i walił w plecy tamtego jak w bęben wołając: – to ja ci nerki odbiję.

Najłatwiej było się słabszych. Mieliśmy więc różne techniki obrony. Gdy próbowano nas bić, należało natychmiast podnieść głowę i do dowolnego okna w najbliższym budynku wrzeszczeć: mamusiu!

Zasłynął jeden z moich kolegów, który raz krzyczał: – Baba...! Babi...! Babu...!

Drugi sposób polegał na znalezieniu sobie mocnego opiekuna. Ja miałem takiego wyjątkowego oprycha. Wszyscy się go bali w szkole. Dawałem mu czasami odpisać, choć rzadko, bo nie przywiązywał wagi do odrabiania lekcji i powrót ze szkoły do domu miałem bezpieczny.

Dzieci biło się zawsze. Mnie bił ojciec, ojca dziadek, tego znów jego ojciec i tak od pokoleń.

Była to najmniej pracowita edukacja. Dziecko wiedziało po zwierzęcu, że nie wolno, a czego, to już wiedzieli rodzice. Wystarczyło o każdy ruch uprzednio zapytać albo siedzieć cicho i nie ruszać się.

Ojca biła szczególnie dotkliwie macocha. Głodnym, tym nie swoim dzieciom nie pozwoliła nawet zabrać ugotowanego dla świń kartofla w łupinie i biła, czym popadło. Ojciec bardzo często o tym opowiadał i nas też bił.

W naszym domu był okropny pies. U rzeźnika musiał być pies. Był uwiązany na łańcuchu na podwórku i szczekał na każdego i zawsze, a pyskiem sięgał do połowy drzwi wejściowych. Na mnie czekał przez wszystkie lata, jak mieszkaliśmy u tego rzeźnika. Wyjść się chciało do ubikacji, wyjść się chciało, aby polatać, a wszystko musiało być zaakceptowane tymi groźnymi zębami rzucającymi się do mnie przy straszliwym ogłuszającym huku – brak słowa – bo nie można nazwać tego ujadaniem czy szczekaniem – te słowa nie oddają grozy sytuacji. Jeszcze wyjść było łatwiej. Wystarczyło po cichutku zejść po schodach, zakraść się do stale otwartych drzwi i mik! Zanim psisko się spostrzegło, już bosa stopki poniosły daleko. Lecz za takie oszukanie pies zbierał całą rekompensatę, gdy wracałem. Teraz podejście było jak pod każdy średniowieczny zamek, trzeba było iść drogą odsłoniętą, zbliżający się był z dala widoczny. Ja musiałem niemal wejść w tę szalejącą paszczę – na szczęście futryna była o pół metra wcześniej. (Minęło siedemdziesiąt lat, a ja nadal boję się każdego psa, może nawet co raz bardziej).

Teraz była jeszcze jedna przeszkoda do przebrnięcia – kto wie, czy nie o wiele trudniejsza. Należało się odważyć i otworzyć drzwi własnego mieszkania, a właśnie pod drzwiami przypominało się, że już dawno należało wrócić, znów będzie awantura, a krzyku panicznie się bałem. Więc stojąc długo pod drzwiami przyrzekałem sobie, że już nigdy; uspokajałem siebie, że może jeszcze ten raz krzyk wytrzymam – i wreszcie z wolna naciskałem klamkę.

Wymknęliśmy się z domu jednego ranka, jeszcze przed śniadaniem, a pogoda była bajeczna, jaka tylko w czerwcu być potrafi. Zapomnieliśmy o świecie. Nawet wołanie na śniadanie tylko na krótko nas otrzeźwiło i znów upojna zabawa w naszym świecie dzieci. Dopiero po długim czasie głód przypomniał o domu.

W chwili, gdy zbliżałem się do domu, brat właśnie z dziwną miną wychodził. W domu powitał mnie rozsierdzony ojciec:

– To ty też wynoś mi się z domu, jak nie wiesz, kiedy przyjść! – I wypchnął mnie za drzwi.

Wyszedłem więc przed dom. Rozglądałem się bezradny za bratem, ale nigdzie go nie było. Jeden tylko wskazał, że poszedł w tamtym kierunku. Poszedłem więc tam. Daleko na ulicy Nowopogońskiej spotkałem następnych dwóch kolegów, ci zapytani zgodnie orzekli, że widzieli brata i poszedł nad Przemszę. Zaniepokoiłem się teraz o niego. Aby tylko, wyrzucony jak ja

z domu, nie chciał sobie coś zrobić. Poszedłem więc nad Przemszę, a było to aż pod elektrownią przed Małobądzem – dopiero tam przez pola można było dojść do rzeki i kąpać się. Wcześniej rzeka była tak obudowana i ogrodzona, że nie istniała.

Nad Przemszą nie było brata i to mnie uspokoiło. Zacząłem wracać do domu. Ukojenie tak długim spacerem pozwoliło zapomnieć o porannej tragedii, toteż nic nie przeczuwając wszedłem do domu.

Ojciec bił, jak nigdy. Szalał w gniewie. Trzymał jedną ręką, drugą grubym pasem bił, gdzie popadło. Ja zatraciłem się w przerażeniu, wiłem się między nogami ojca i wyłem wołając sakramentalne: – Już nie będę! – Bólu wcale nie czułem. Tak muszą nie czuć bólu gryzące się psy. Było tylko ogromne przerażenie i krzywda urastająca do objawienia, że jedynym sensem dzieciństwa jest cierpienie.

Tak dostałem od ojca ostatni raz w życiu. Może i w nim też się coś przełamało. A brat, jak się okazało, wrócił na śniadanie już po paru minutach. Do dziś słyszę, jak tu i ówdzie jakiś starszy pan rzuca ostatecznym argumentem:

– A mnie ojciec bił i wyrosłem na porządnego człowieka.

Bito więc dzieci na ulicy, w domu, ale i w szkole. Tu było różne bicie. Nie chodzi mi o to, gdy już po wojnie spóźniłem się na lekcję i nauczycielka od francuskiego wlepiła mi w wyciągniętą dłoń drewnianą linią sążnistego, jakże piekącego klapsa – mówiło się: – dostał łapę. Nawet do historii szkoły weszło i wszyscy byliśmy z tego dumni, gdy wspaniały kierownik szkoły – Pan Czesław Blicharski – połamał na jednym z nas na lekcji śpiewu swe nieodłączne skrzypce. To było zgodne z konwencją szkoły. Bez takich wydarzeń ówczesna szkoła byłaby mniej godna wspomnień.

Co innego jest niewybaczalne. Nasza klasa mieściła się wówczas na pierwszym piętrze – na szczęście nad ogródkiem. Skopywaliśmy więc stale i pieczołowicie ziemię pod oknami klasy. W czasie przerw wpadał bowiem woźny – Niemiec i krzycząc coś po niemiecku wywijał po grzebaczem na wysokości naszych głów. Tylko wyskoczenie przez okno chroniło przed tymi ciosami.



Szkoła powszechna na ul. Brackiej. To tu z okien od podwórka trzeba było wyskakiwać przed ciosami.

(Foto 1975.05.01)

Przed innymi nic nie chroniło. Na lekcji, w zupełnej ciszy, gdy coś pisaliśmy w zeszytach, pani od polskiego chodziła po klasie nic nie mówiąc – nagle poczułem palący, wymierzony mi policzek. Wszyscy słyszeli cios, a nikt, tak jak i ja, nie drgnął nawet. Nadal ta sama cisza i nadal te same opuszczone głowy polskich dzieci.

I czemu? Przecież to właśnie mnie kiedyś wybrała, abym jej przyniósł cukierki ze sklepu, które tylko Niemcy dostawali i to na kartki.

Mówiono, że wtedy mąż jej poszedł na front.



pani oprawca

Unikałem więc szkoły, ile się tylko dało; choć zapobiegliwi rodzice zaczęli posyłać nas do pewnej pani na tajne korepetycje, gdzie w paru malców uczyliśmy się pożytecznych rzeczy.

Za przyczyną tej pani przeczytałem pierwszą książkę. Wprawdzie na Mikołaja wcześniej już dostałem raz Jana Rogali „O morzu i srebrnym ptaszku” (mam ją do dziś), a raz „Kamizelkę” i „Michałka” Prusa, jednak tych książek poza tytuły właściwie nie zgłębiłem. Tym razem Pani pożyczyła mi z pięknymi ilustracjami książkę, której na odmianę tytułu nie pamiętam, za to treść doskonale. Było to o rodzinie żubrzej, która musiała uciekać z Białowieży w czasie działań pierwszej wojny światowej. Książka to była śliczna, kolorowa, smakowałem każdy fragment rysunku, chłonałem każde zdanie, ale takie czytanie musiało trwać bardzo długo, zbyt długo, bo Pani orzekła, że więcej mi nic nie pożyczysz, gdyż za długo trzymam książki.



Na dodatek któregoś dnia prowodyr naszej grupy, a siostrzeniec pani, zapragnął mieć kluczyk do nakręcania blaszanej zabawki, a miały go dzieci Pani i ja musiałem – tak jakoś wypadło – dostarczyć mu go. Bardzo niechętnie wziąłem, gdy nikt nie widział; jednak ten sam prowodyr, obserwujący rozwój sytuacji, zapragnął nagle zobaczyć, jak jeździ samochodzik należący do dzieci Pani, a dzieci Pani i nawet sama Pani równie chciała się pochwalić nowym nabytkiem, więc zaczęto szukać kluczyka, a mnie zaczęło się robić bardzo nieprzyjemnie, ściskając ten przeklęty kluczyk w zaciśniętej ręczce za sobą, cofałem się do parapetu; wszyscy raczej, w miarę tego mojego cofania się, przestawali szukać, a po chwili znaleźli kluczyk na parapecie okna. Radość była, nie przeczę, ze znalezienia zguby, ale w tym domu byłem ostatni raz, wydaje mi się, że na życzenie Pani.

Zająłem się więc, czym mogłem. W tym okresie okupacji w Sosnowcu między chłopakami zapanowała moda na grę w guziki. Moda, to skromne powiedzenie, bowiem była to pasja, epidemia nawet.

Najpierw osobnym rozdziałem było zdobycie sprzętu. W grupkach uganiał się po mieście i zdobywali go. Trzeba było tylko wypatrzeć na ulicy u kogoś odpowiedni guzik przyszyty z tyłu płaszcza, następnie należało, idąc za tym kimś, odciąć wybrany guzik nożykiem. Zbyt często nie udawało się dobrze przeprowadzić tej akcji i awantura była nieunikniona, a że guziki miały być bardzo różne i musiało być ich wiele, to i awantur było zbyt dużo. Pogłębiały one i tak nędzny byt dziecka.

Z guzików powstawała drużyna piłkarska. Na centrze musiał być guzik niski, niewielki, ale z naturalnej kości wykonany – były takie przy przedwojennych płaszczach niektórych panów. Na skrzydła ataku potrzebne były dwie baryłki – były to kuliste guziki, jakie niektóre modne panie zaczynały wówczas stosować do swych jesionek. Środkowa pomoc i obrona rekrutowała się z pelis męskich. Najtrudniej było z bramkarzem – musiał być jak największy, aby wypełnił całą bramkę, a takie guziki były już tylko przy nielicznych futrach. Piłeczkę stanowił maleńki, najczęściej biały guziczek, jaki dawano pod spód, gdy przyszywano duży guzik do palta. Trzeba było więc po obcięciu wybranego guzika jeszcze niestety jakiś czas iść za delikwentem i baczyć, czy się nie wysunie ten maleńki, upragniony.



Mój center po siedemdziesięciu [już po osiemdziesięciu] latach.

Frontowa strona guzika musiała być zeszlifowana, tak aby ślizgał się on doskonale po stole. Boki również wymagały obróbki, gdyż musiały być tak skośnie zeszlifowane, aby piłeczka przez guzik uderzona unosiła się kilkanaście milimetrów nad stół i w ten sposób przelatywała nad innymi guzikami, zwłaszcza nad bramkarzem. Przodowałem, muszę się pochwalić, w szlifowaniu centra. Stąd miałem całkiem pokaźne zamówienia spłacane w innych guzikach.

Drużynę guzików każdy trzymał w blaszanym pudełku, guziki były wypolerowane i warstwami poukładane w wacie – były to przecież precyzyjne i tak bardzo cenne przedmioty.

Gra mogła się odbywać na zwykłych stołach, ale widocznie na skutek tego, że nas pędzono z mieszkań, przecież tak ciasnych – i że trzeba było grać w sieni, na schodach, w komórce, czy nawet na chodniku – prawie każdy miał własny blat stołu, który był przenoszony na miejsca rozgrywek. Nie pamiętam już dziś, jak zdobywali te blaty. Może tak jak ostatni instrument niezbędny do gry w guziki – sprężynę, którą się wyjmowało po prostu z jakiegoś zegara będącego

na strychu. Sprężynę łamało się na kilkunastocentymetrowe kawałki i na skutek łamania koniec był ładnie zawinięty, tak że nawet nie trzeba było dużo piłować, aby sprężyna nadawała się do gry.

Na blacie były wyrysowane wszystkie linie boiska i były przymocowane bramki wykonane z drutu i z firanki. Drużyny ustawiały się z całym pietyzmem, grę zaczynało się od środka boiska. Sprężyną naciskałem na wybrany guzik swojej drużyny, ten wysuwał się spod sprężyny i sunął w wyznaczonym kierunku, podbijał piłeczkę i gdy piłeczka zatrzymała się, przeciwnik wykonywał swój ruch. Obowiązywały wszystkie reguły piłki nożnej.

Gra nie miała nazwy, grało się w guziki. Dopiero w latach pięćdziesiątych pojawiła się ponownie, ale grało się wówczas bilonem, a nie guzikami i zamiast sprężyny używano się grzebień. Teraz już była nazwa: cymbergaj. Nazwa, przypuszczam, miała prowokować, lecz szybko spowszedniała. [Tu wyciąłem trzy akapity, o cymbergaju, o salonowcu i o raku. - Jakżeż mnie zrugał za tego cymbergaja mój internetowy czytelnik, użył cały swój potencjał rozdeptania. No, trudno]. Tak to nazwy bywają czasami dziwne i przebywają zmienne koleje losu.

Okupacja skutecznie wyrobiła we mnie dwie cechy. Odczyłem się i już nie umiałem powiedzieć słowa prawdy. Nie było to nawet kłamanie, czy mijanie się z prawdą. Po prostu rzeczywistość biegła sobie, a moja interpretacja w każdym szczególe tej rzeczywistości sobie. I gdyby dotyczyło to jakichś mrocznych czy karalnych spraw – nie, każda niewinna kwestia mieniła się innymi barwami, może właśnie była ubarwiona.

Ponadto handlowałem i zarabiałem. A handlowało się wówczas wszystkim. Byłem włączony w jeden zwarty system. Kobiety jeździły na wieś i dostarczały artykuły spożywcze oraz owoce. Przewozili je na wieś kierowcy ciężarówek, którzy regularnie wozili węgiel ze Śląska w kierunku Częstochowy. Mężczyźni dostarczali artykuły przemysłowe oraz wódkę i tytoń. Wszystko było porcjowane w domu, a ja roznosiłem do nabywców. Oczywiście stosowałem własną marżę i stąd miałem dochody. Tytoń krojono w piwnicy na przerobionej w tym celu szlifierni. Zresztą pod pozorem osłony noży była tam tak sprytnie skonstruowana blacha, że część tytoniu przylepiała się do niej i stanowiła dodatkową zapłatę za krojenie. U nas pędziło się doskonały biber z cukru lub żyta. Tak więc handlowałem masłem, serem, jajkami, żytem, drożdżami, wódką, tytoniem, kamieniami do zapalniczek, fosforyzującymi broszkami, śliwkami, cebulą, koronkami i czym tam jeszcze.

Poza tym dorosłym życiem (a wywołałem niedawno [już dawno] falę śmiechu, gdy na pytanie córki zgodnie ze swym wewnętrznym przekonaniem musiałem odpowiedzieć: – Ja? Ja zawsze byłem dorosły). Więc poza tym dorosłym życiem mieliśmy swoje uciechy. Całymi dniami kopało się szmaciankę, a że wypchana szmatami pończocha i zeszyta w kształt dosyć kulisty, szybko na deszczu zmieniała się w ciężki, ociekający błotem gniot, to już jako dziecko legitymowałem się pierwszymi żyłakami.

W czasie wojny dzieci miały i słodycze. Najpierw handlowaliśmy między sobą cukierkami, które matki robiły z margaryny i cukru. Takie płaskie twarde płytki były krojone w kostkę. Niektórzy wykwintni sprzedawcy przechowywali je w blaszanym, hermetycznie zamykanym pudełku i po odebraniu zapłaty podawali je nawet szczypczykami metalowymi. Potem, najwyraźniej z braku cukru, do tych cukierków zaczęto dodawać mannę (zwaną u nas grysikiem) i potem tej manny w cukierkach było coraz więcej... a i to przestały istnieć. Znikły z handlu. Cukier przestał być osiągalny. Wówczas przerzuciliśmy się na lekarstwa. Pojawiły się bowiem w aptekach drażetki w słodkiej polewie. Specjaliści w tym przedmiocie wykupywali je więc w aptekach, a potem sprzedawali na ulicy na sztuki. Zlizywało się tę słodycz, a resztę wypluwało.

Zresztą coraz częściej i kotlety jadaliśmy z owsianki; piekliśmy w dużej brytfannie (formie) utarte ziemniaki i taki olbrzymi placek ziemniaczany zastępował chleb. Znow, żeby zjeść kluski na obiad musieliśmy całymi godzinami (był to obowiązek dzieci) mleć w młynku żyto. Z klusek śmiało się, że można nimi strzelać, tak były twarde i z tego samego powodu mogły być formowane tylko w kształt niewielkich wałeczków – jak pociski karabinowe.

A gdy starczało nastroju, to matka opowiadała nieprawdopodobne historie, o tym jak przed wojną, gdy komuś chciało się pić, to robił sobie w szklance prawdziwej herbaty, a nie takiej jak teraz z karmelu, sładził prawdziwym cukrem, a nie sacharyną i nawet dodawał plasterki cytryny. Czyż można się dziwić, że te opowieści rozwinęły w nas tak wielką fantazję?

Obecnie [2023], jak pielęgniarka usłyszała, że mam 90 lat, to ze zdziwieniem zapytała: To pan musi coś z wojny pamiętać? Powiedziałem, że wszystko pamiętam. I na potwierdzenie opowiedziałem o tej przedwojennej herbacie. Pielęgniarka stwierdziła: Tego nie rozumiem, przecież można się było napić wody.

Już nie umiem opowiadać o wojnie. Dobrze, że powstały te teksty przed wielu laty.

Tak płynęło mi szczeniące życie. Któregoś dnia matka poszła do kierownika szkoły:

- Panie kierowniku, chciałabym synów zwolnić z chodzenia do szkoły...
- Jak to? To niemożliwe. Nawet wasze dzieci muszą się w Rzeszy uczyć. To jest obowiązek.
- Bardzo się źle czuję i chciałabym wyjechać z nimi na wieś.
- A! Więc pani chce dzieci urlopować. To co innego. Zgoda.

Wyjechaliśmy na wieś do Markowic do dziadka. Pojechaliśmy oczywiście tymi ciężarówkami przewożącymi węgiel. Wyszliśmy na szosę, do Małobądza. Tam podnosiło się rękę i któryś z szoferów stawał. Ładował nas na skrzynię i gdy się siedziało przy piecu, to było nawet dosyć przyjemnie.

Niemcy nie mieli benzyny, więc samochody ciężarowe jeździły na holcgas (holzgas – gaz drzewny). W przedniej części skrzyni, a za szoferką, po prawej stronie był umieszczony w każdej ciężarówce pionowy walcowaty piec, który wypełniany był drewnem. Drewno się spalało, a powstający stąd gaz napędzał motor samochodu. W dolnej części piec ten miał okrągły otwór, przez który chwilami było widać ogień, gdyż przysłaniała go ruchoma blaszka. Blaszka ta pozwalała na dostawanie się do wnętrza powietrza, ale odcinała wypływanie wytwarzającego się gazu. Zresztą nic innego się nie widziało, bo trzeba było siedzieć na dnie skrzyni, aby posterunki niemieckie stojące na drodze nie widziały głów.

Tak kilkakrotnie jeździłem na wakacje na wieś i zdobywałem niezbędną wiedzę. W czasie kolejnych wakacji coś nowego do mnie docierało. Raz już spałem, a sypialiśmy na strychu na sianie, gdy późno w nocy weszły na siano dwie handlarki, młode kobiety, wraz z dwoma szoferami; ułożyli się w całkowitym milczeniu nieopodal nas. Potem doszło mnie jakieś dziwne, bardzo równomierne suwanie, potem nagle ten drugi zaczął bardzo mocno walić i jak szybko zaczął, tak ustał, a suwanie tego pierwszego jeszcze trwało i trwało. Intuicyjnie czułem w tym coś mrocznego i byłem wdzięczny matce, że nie weszła z tymi dwiema parami na strych.

Innym razem najpierw były kilkudniowe dziwne kłótnie, a potem późno w nocy sprowadzono jakąś babę i wyprawiano coś na stole z jedną córką. Coś jej robiono, ale przez szparę w suficie niewiele było widać.

Jeszcze innym razem...

Padał deszcz, życie zamarło, wszyscy się snuli po domu lub po obejściu. Ja poszedłem spać na siano. W jakiś czas potem przyłożyła się obok już dorosła, ale jeszcze dziewczyna. Była odwrócona plecami do mnie i skulona. Oczekałem, aż usnęła i z wielkim strachem, ale z jeszcze większą chęcią zacząłem sprawdzać, co ona tam ma. Moja ręka najpierw długo i ostrożnie szukała jej pod kocem, potem pełzła po jej udzie (jeszcze ostrożniej, żeby jej nie obudzić), potem biodra, pośladki, wreszcie koniuszkami nerwów i początkiem wszelkiego czucia delikatnie dotknęły jakichś włosów. Tu palce już musiały osiągnąć mistrzostwo delikatności i na tej niewielkiej przestrzeni przesuwają się niezmiernie wolno. Jeszcze wolniej zagłębiały się w te włosy. Były lekko zdziwione, choć niezgorszone, gdy wyczuły, że tam z głębi zaczęła się wydobywać jakaś lepkość. I to przyjęły za nieuchronną kolej rzeczy i zanurzyły się w tej lepkości. Było mi dziwnie przyjemnie, choć właściwie niczego się nie dowiedziałem.

Tylko później któregoś dnia, gdy rozmawiała z koleżanką pod wiśniami, gdy się do nich zbliżyłem, zamilkły, a ta druga, z bardzo roziskrzonymi w tym momencie oczami, zapytała z wyraźnym podziwem: – Skąd ty tak umiesz?

Poczułem się im równy; ja malec, im dużym dziewczynom. I żeby to przypieczętować, powiedziałem im wiersz, a potem nawet musiałem go im dyktować. Sam zaś wiersz zasłyszałem kiedyś na weselu. A brzmiał on tak:

Pewien młodzian, raz w spowiedzi
tymi słowy rzekł do księdza:

- Nic nie jadłem, nic nie piłem,
tylko pannę całowałem.
- O, nie ujdzie ci to na goło.
Tyś całował pannę w czoło?
– Niżej księżę.
- Ma dusza zaraz się zamroczy.
Tyś całował pannę w oczy?
– Niżej księżę.
- Straszna jest twa rozpusta.
Tyś całował pannę w usta?
– Niżej księżę.
- Ja już tego nie przeżyję.
Tyś całował pannę w szyję?
– Niżej księżę.
- Wierz mi, twa rozpusta już mnie mierzi.
Tyś całował pannę w piersi?
– Niżej księżę.
- Grzeszny jest twój występki.
Tyś całował pannę w pępek?
– Niżej księżę.
- Mroczne są ludzkie drogi.
Tyś całował pannę w nogi?
– Wyżej księżę.
- Twa dusza jest grzechem zalana.
Tyś całował pannę w kolana?
– Wyżej księżę.
- Zbrodnicza jest twa obłuda.
Tyś całował pannę w uda?
– Wyżej księżę.
- Ja już swym uszom nie wierzę.
Gdzieś całował, powiedz szczerze!
– W rękę księżę.

Podczas kolejnych wakacji...

Kolega mnie wprost zapytał, czy wiem, jak się rucha dziewczynę? A potem, czy to robiłem? Nie mogłem potwierdzić. Więc kazał mi zaczekać i gdzieś poszedł. Po chwili wrócił z koleżanką. Dla potwierdzenia zapytał jeszcze: – Prawda, że zawsze przylecisz, gdy tylko gwizdnę? – I poszliśmy do stodoły. Tam się rozebraliśmy i on zaczął mi pokazywać, jak się to robi. Leżał na niej i ją ruchał. W pewnym momencie rzekł: – Teraz on. – Ona tylko przysłoniła ręką oczy i wpuściła mnie na siebie. Kolega obserwował i nie zorientował się. Zewnętrznie zachowywali-

śmy się chyba poprawnie. Ale w istocie między nami nic nie zachodziło. Ona już nie potrzebowała, a i ja osiągnąłem swoje nadmiernym czekaniem na moją kolejkę.

Na takich wreszcie wakacjach zobaczyłem za stodołami, jak byk wspinał się na krowę. I w czasie takich wakacji, również za stodołami, byłem świadkiem, gdy syna sąsiadów ścigali ubowcy. Ostatni we wsi Akowiec ostrzeliwał się jakiś czas, aż go utukli.

Gdy któregoś roku przyszło pismo do dziadka, że wujek zginął śmiercią bohatera w czasie odbywania rekruckiej służby wojskowej w Bieszczadach – były to moje ostatnie tego typu wakacje na wsi. To już nie był ten dziadek, jak i nie ten dom.

*

Coś dla oka.



Rozdział 9

Potem żył Lamech po splodzeniu Noego, pięć set dziewięćdziesiąt lat i pięć, i splodził syny i córki.

1 Moj. 5.30

Z chucią i porubstwem walczyłem mężnie – za sprawą religii, tak jak nakazywał ksiądz z ambony. Co znaczy słowo chuć, wreszcie się kiedyś dowiedziałem. Słowa porubstwo do dziś nie rozszyfrowałem.

Rodzice nie dali mi religii. Zaraz po ślubie przestali praktykować. Słyszałem, że podobno matkę ksiądz w czasie spowiedzi przedślubnej wypytywał o takie sprawy, że postanowiła więcej z księżmi nie mieć kontaktu. Choć to właśnie matka nasiąkała religią na Piaskach, i to matce zawdzięczam, że potrafię przeżegnać się po francusku.

Przez całe dziesięciolecie, bo nie wieki, bo przez wieki kościół się tym nie przejmował, więc przez całe dziesięciolecie, a i do dziś kościół uważa, że wystarczy tuż przed ślubem szepnąć kilka zdań kobiecie, i to najlepiej dopiero w konfesjonale, o seksie małżeńskim. Dziwne, że chłopcu przed ślubem nic się w konfesjonale nie tłumaczy.

Ojciec przez całe swe młode lata miał tak daleko do wiejskiego kościółka, że i teraz niepraktykowanie nie stanowiło dlań problemu.

Zarliwie modliła się babcia i mnie prowadziła do kościoła od niepamiętnych lat. Bardzo wczesnie kupiła mi dziecinną białą glansowaną książeczkę do nabożeństwa. Oglądałem Świętego Antoniego na okładce i w kościele ją otwierałem, aby wyglądało, że się modlę – przecież jeszcze nie umiałem czytać.

Któregoś dnia, gdy dowiedziałem się, że starszy brat został zapisany na katechizm, sam pobiegłem do zakrystii do księdza. Ten zapytał mnie, czy znam cały pacierz. Nie wiedziałem. I choć za chwilę przybiegłem, bo upewniłem się w domu, że cały pacierz znam, to na katechizm chodziłem dopiero w następnym roku. Tuż przed końcem nauki katechizmu ksiądz mówił do nas o cnocie czystości, lecz przykazanie – nie cudzołóż – nie wypełnił żadną treścią. Choć już wówczas chyba znałem te dowcipy o spowiedzi, jak to kościelny spowiadał się wikaremu i pod koniec przymuszony wyksztusił, że zażywał proboszczowej kozy. Wikary gwałtownie obruszył się i tylko spytał: – Którą, tę białą? – Nie. Tę czarną. – odrzekł kościelny. – No, masz szczęście, bo ta biała to moja.

A drugi:

Ksiądz udzielał nauki góralowi pod koniec spowiedzi słowami: – Ej Jontek, Jontek. Nagrze-szyłeś tyle. A jakbym ja ci rozgrzeszenia nie dał? – A na to Jontek: – A jakbym ja te klotke z księdzem przewrócił?

Do spowiedzi chodziło się często, a spowiedź niweczyła grzechy i wielka ułomność żądy cielesnej, rozliczana w przedziałach tygodniowych czy miesięcznych, nie istniała tym sposobem. Wymieniało się tylko w czasie spowiedzi: – poza tym siedem razy bawiłem się nieprzystojnie. Spowiednik z zasady zapytywał tylko: – Sam, czy z dziewczyną? – I odpowiedź: – Sam. – czyniła problem nieistotnym. Czasem tylko padała nauka: – Bo widzisz, synu, nieczystość z dziewczyną jest ciężkim grzechem. Czeka za to wielka kara boża tu na ziemi i wieczne potępienie w piekle. Zapamiętaj to sobie.

A przecież ktoś powiedział: – Lepiej grzeszyć, a potem żałować; niżli żałować, że się nie grzeszyło.

A naukę księdza pamiętałem. Coraz bardziej. Tymczasem moja edukacja w przedmiocie sięgnęła szczytów, bowiem wyśpiewywałem:

– U baora stoi paka,
Tam się robi na stojaka.

lub

– Za paczkę margaryny
całował pół godziny...

A skoro wyśpiewywałem, to mają deprawacja już wówczas była ogromna.

Po siedemdziesięciu latach wypada wyjaśnić, że baor [niemieckie bauer] był to niemiecki

rolnik posiadający wielkie obszary ziemi i do takich baorów masowo wywożono ludność polską na roboty i to na zawsze; była to niewolnicza praca za darmo, bez prawa powrotu kiedykolwiek do rodziny. Znow paczka margaryny coraz bardziej stawała się rarytasem, monetą przetargową podczas wojny.

*

Wspomnienia po latach

Sosnowiec przedwojenny wymaga odnotowania szeregu aspektów. Zatrzymam się na niektórych.



Dworzec Żelaznej Drogi Warszawsko Wiedeńskiej w Sosnowcu z okresu ostatnich lat zaboru rosyjskiego.
Tak wygląda nadal w XXI wieku.



Widok z 2014.07.25.

W Sosnowcu istniał bardzo rozbudowany układ kolejowy. Tory były zwielokrotnione, równolegle pobudowano wiele torów i one przecinały miasto niemiłosiernie, niemal na krzyż. Kolej Warszawsko Wiedeńska przecinała miasto ze wschodu na zachód. Równolegle z nią wybudowano wiele torów. Na północ znów biegło wiele torów w kierunku kopalń i ciężkiego przemysłu wokół Milowic, a była przecież odnoga biegnąca na południe do Olkusza i dalej. Wymagał tego ciężki przemysł, stąd górki rozrządowe, tory manewrowe, tory postojowe, dziesiątki bocznic, wiele budynków technicznych kolei. Jednym słowem Sosnowiec to była kolej i ciężki przemysł, a ludność lokowała się w wolnych skrawkach terenu. Pogoń była właściwie odcięta od Starego Sosnowca, a obie te dzielnice były odcięte od Śródmieścia. Ten podział uzupełniała Czarna Przemsza płynąca leniwie przez całe miasto, ale była niemal niewidoczna, tak szczelnie była obudowana przemysłem, stanowiła kanał ściekowy dla przemysłu.

Tramwaj stanowił bardzo ważny element miasta. Tramwajem można było jechać bardzo daleko. Można było jechać przez Będzin aż do Dąbrowy Górniczej. W drugą stronę jeździło się przez Szopienice do Katowic. Po wojnie jeździłem tramwajem nawet do Bytomia, ale taka jazda trwała parę godzin, więc do Bytomia już lepiej było jechać pociągiem. Wozy tramwajowe były tak skonstruowane, że na końcu trasy motorniczy odpinał pierwszy wagon od drugiego, przejeżdżał nim po mijance za drugi wagon, przypinał i jechał w przeciwnym kierunku. Czyli na początku i na końcu wagonu były identyczne pomosty z wielkim regulatorem elektryczności, do którego motorniczy przypinał korbę służącą do regulowania szybkości jazdy. W każdym wagonie był konduktor chodzący po wagonie i inkasujący pieniądze za przejazd. Na całej trasie był jeden tor, wymagało to mijanek co pewien czas. Takie mijanki były na końcu ulicy 3 Maja tuż przed ulicą Piłsudskiego, gdzie kończyły jazdę tramwaje jadące z Dąbrowy, ale i tu zaczynały swą trasę tramwaje jadące w przeciwnym kierunku, to jest do Katowic.



Mijanka na ulicy 3 Maja kończąca trasy tramwajów z Katowic i z Dąbrowy.

Następna mijanka była już na Pogoni na ulicy Żeromskiego tuż przed wlotem w ulicę Orłą. Tramwaj, który przyjechał wcześniej, czekał tutaj, aż przyjedzie tramwaj z przeciwnego kierunku.



SOSNOWIEC. Ul. Żeromskiego.

Mijanka tramwajowa na ulicy Żeromskiego.



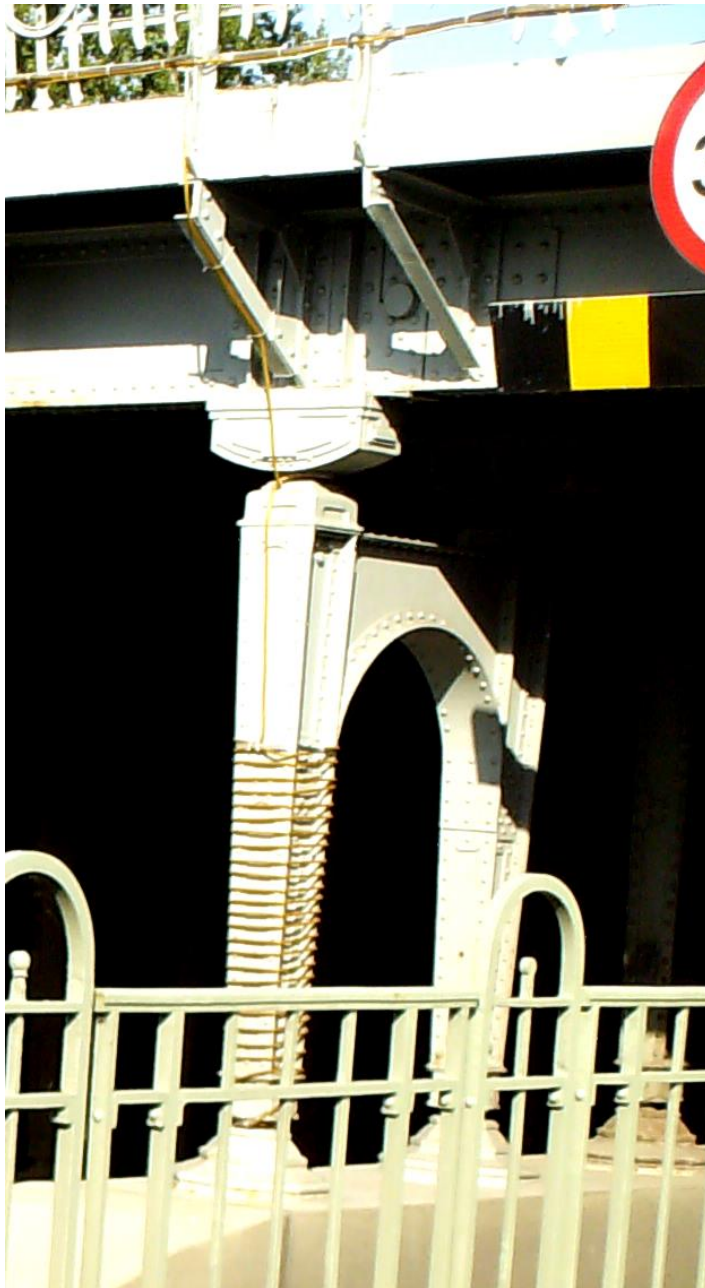
Nowa trasa tramwaju w kierunku Dąbrowy Górniczej na ulicy Mariackiej na Pogoni. (Foto 1975.05.01)

Osobnym ciekawym obiektem w Sosnowcu związanym z koleją i tramwajem jest tak zwany Tunel Katowicki. Znajduje się on na ulicy Piłsudskiego pod torami kolejowymi.



Sosnowiec, Tunel Katowicki na ulicy Piłsudskiego.

Wiadukt nad tunelem jest wykonany w konstrukcji stalowej nitowanej. Jest to unikalna konstrukcja w skali światowej, a może jest to zachowana ostatnia konstrukcja tego typu na świecie. Rozwiązanie konstrukcyjne pochodzi z tego okresu, kiedy inżynierowie nie umieli jeszcze obliczać naprężeń w ustrojach tak zwanych statycznie niewyznaczalnych. Toteż konstrukcja tego mostu została podzielona na samodzielnie pracujące belki i słupy statycznie wyznaczalne. Jeśli się dobrze przyjrzymy, to zauważymy, że wszystkie słupy połączone są na górze z belkami i na dole z podstawą za pomocą przegubów, bo przeguby nie przenoszą naprężeń zginających czy skręcających na oparte na nich belki. Również pozioma belka nad tunelem, pozornie czteroprzęsłowa, została pocięta na pojedyncze belki statycznie wyznaczalne i połączone przegubami nieprzenoszącymi naprężeń zginających na dalszy ciąg belki – jest to tak zwana Belka Gerbera. Most ten wymaga uznania go za ważny zabytek myśli inżynierskiej na świecie.



Na zdjęciu widoczne są przeguby u dołu i na górze słupa. Również widoczne jest przecięcie poziomej belki i połączenie jej z dalszą częścią za pomocą przegubu.

Omówię jeszcze jeden aspekt architektury Sosnowca.

W swoim czasie pojawił się w Sosnowcu architekt, nie znam jego nazwiska, który wraz z innymi artystami w Polsce podjął poszukiwania stylu narodowego. Grupę tę zaszeregowano jako Młoda Polska, a ich rozwiązania jako styl młodo polski.

Zacznę od muru odgradzającego kościół świętego Tomasza od ulicy Mariackiej. Na mur ten dostatecznie długo patrzyłem jako dziecko i dlatego wysuwam go na pierwszy plan, jako godny uwagi przykład architektury młodopolskiej.



Fragment muru kościelnego przy ulicy Mariackiej. (Foto 1975.05.01)



Większy fragment muru kościelnego przy ulicy Mariackiej.

Na osi kościoła była dostojna brama zwieńczona łukiem pokrytym dachówką i symetrycznie po obu stronach bramy były furtki zwieńczone w tym samym stylu. W roku 1975 już nie istniało łukowe zwieńczenie nad bramą. Proponuję jednak odbudowę tego łuku i objęcie ochroną muru jako zabytku.

Również w stylu młodopolskim wybudowano prezentowane już kino Zagłębie wraz z dwoma skrzydłami ze sklepami.



Zespół kina Zagłębie w stylu młodopolskim przy ulicy 3 Maja, dziś już wyburzony.



Skrzydło kina Zagłębie – przed wojną restauracja Savoy, po wojnie bar mleczny, dziś już wyburzone.



Hale targowe w Sosnowcu przy ulicy Kościelnej, szkoda, że już wyburzone.



Dawna Szkoła Barańskiego na ulicy Żytniej, obecnie Uniwersytet Śląski. (Foto 2014.07.25)

Do tej grupy obiektów należałoby jeszcze zaliczyć Kolonię Limanowskiego (str. 20), Szkołę Barańskiego na Żytniej (powyżej) i willę położoną na rogu ulic Żytniej i Reymonta (str. 30).

*

Rozdział 10

*Ale ziemia popsowała się była przed Bogiem,
i napelniła się nieprawością.*

1 Moj. 6.11

Dziewczyny jednak pojawiały się. Ale wcześniej front się zbliżał. Słuchaliśmy po kryjomu Londynu (z charakterystycznym sygnałem: Bum, bum, bum – bum!) i na zmianę z Moskwą – ci każdą audycję kończyli gromkim: Smiarć germańskim zachwaczykam!

Wojska radzieckie weszły od strony Huty Katarzyny 26 stycznia 1945 roku. Wąskim pasemkiem wozów konnych, pieszych w czwórkach i na koniach ciągnęli ulicą Nowopogońską, a potem skręcali w lewo w Orlą i dalej przez miasto w kierunku Starego Sosnowca.

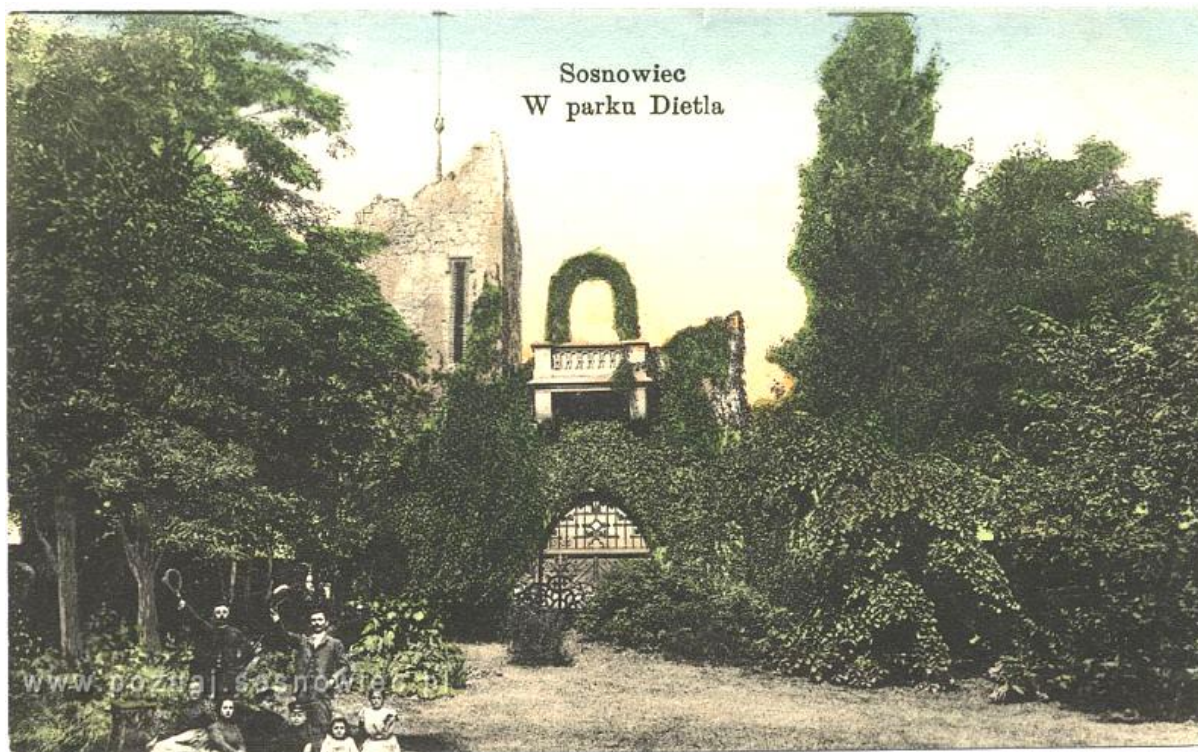
Oni szli, a my staliśmy i z radością patrzyliśmy. Jeden jadący na koniu pytał:

– Ludzie! Kartoszki macie? – Inny krępy rozradowany biegł ściskając oburącz jakąś beczkę i wołał: – Muszę prędko do Berlina! – Pytali, czy daleko do Katowic, bo tam już im miało być wolno wszystko, zwłaszcza wobec ludności. Tam już Niemcy.

W którymś momencie na Orlej naprzeciwko kościoła na jezdni zrobił się ruch. Jakiś cywil wydał komendę innym cywilom, ustawili się w dwuszeregu, odliczyli, wszystkim rozdano czerwone opaski i karabiny – powstała Milicja Obywatelska. Takich z czerwonymi opaskami widziałem następnego dnia na ulicy Brackiej. W domu, w którym do niedawna mieszkali Niemcy, wyszli na balkon na trzecim piętrze, spuścili linkę, zeszli na balkon drugiego piętra, wybili szybę i znikli w mieszkaniu.

Miałem kolegę, a on mieszkał w zabudowaniach przy pałacu Dytle. Ten fakt zakończył dla mnie problem wyzwolenia, bowiem wypełnił mi bez reszty wiele cudownych tygodni tego roku 1945.

Teraz w pałacu Dytle stacjonowały żołdacy. Okropnie się nudzili, a w tym pałacu były niezliczone ilości przeróżnych bibelotów, w dużej mierze porcelanowe figurki miśnieńskie. Szybko żołdatom się znudziło strzelanie do tych bibelotów, więc ustawiali je w rzędzie i sprawdzali, ile też który zdoła rozwalić jednym strzałem. Wobec tego, co żołdacy wyprawiały w ogóle z Niemcami, te w pałacu Dytle były tylko igraszką. Ale jedno i drugie znałem tylko z opowiadań dorosłych. Dzieci miały inne zainteresowania.



Tu spod zameczku zjeżdżaliśmy po ślizgawce do jeziorka.

Szliśmy do tego kolegi, a stamtąd obok posterunku żołdatów przemykaliśmy się do parku dytłowskiego. Przebiegaliśmy też niemal obojętnie obok pustych basenów pod fontannami, teraz wypełnionych białymi podłużnymi worczkami z prochem artyleryjskim. Hermetycznie murem odgradzony od reszty świata, przepiękny park, olbrzymi, z wieloma cudami stanowił naszą wyłączną własność. W kilku – trzech, najwyżej pięciu wyrostków żyliśmy tam jak w raju. Więc wspaniała ślizgawka od zameczku na zboczu do jeziora. Tu poznałem prawdziwą wiosnę, ze śnieżyczkami i krokusami. Tu pojawiło się pierwsze, instynktowne jeszcze, ale pełne oczarowania przepaścistymi oczami i warkoczem jednej z siostr przyjaciela – Ninki. A potem nagle rodzice przyjaciela przenieśli się gdzieś do większego mieszkania, a dla mnie czas raju i tych oczu przysnął bezpowrotnie. Do dziś żałuję tego.



Park Dytłowski w 2014 roku.

*

Wspomnienia po latach

Mieliśmy krewnego, Franciszka Sokołowskiego, brata mojego dziadka z Markowic, mówiło się na niego stryjek, a na wsi mówiono stryk. Był policjantem, mieszkał w Małobądzu koło Będzina.



Franciszek Sokołowski

Zachował się jego dowód osobisty wydany w 1927 roku, więc poniżej go prezentuję.



Miejsce na fotografię



Własnoręczny podpis właściciela dowodu

Franciszek Sokolowski

RYSOPIS:

Wzrost *siedmi*

Oczy *nie*

Usta } *normalno*

Nos }

Włosy *c. blond*

Twarz *prosta*

Szczególne znamiona

Posiada znajomość czytania i pisanja *tak*

Władza językami *Polskim*

Świadczy się tożsamość właściciela niniejszego dowodu osobistego z jego fotografią, oraz jego własnoręczny podpis.

Pieczęć: *Starosta*

Podpis: *August*

Fr. Handert

Zaręczył w. Pr. w. *Wojniński*

Imię i nazwisko *Franciszek Sokolowski*

Data urodzenia lub wiek *13 lutego 1887*

Miejsce urodzenia *wieś Małkowice, gm. Doruchówko*

Imiona rodziców *Łazarz i Antonina z Mielnik*

Religia *wymowa katolicka*

Zawód *robotnik*

Stan rodzinny *w ślubie*

Miejsce osiedlenia (miejsce zapisu do ksiąg stałej ludności, przynależność gminna, miejsce zapisu do ksiąg organizacji stanów) *wieś Małkowice, gm. Doruchówko, pow. Łaniewski*

Miejsce zamieszkania (faktycznego stałego pobytu) *wieś Małkowice gm. Doruchówko*

Narodowość *Polska*

PRZYNALEŻNOŚĆ PAŃSTWOWA POLSKA

Stosunek do wojskowości *weteran*

Na podstawie jakich dokumentów (dowodów) przynależność do Państwa Polskiego została stwierdzona?

Wykaz z brzozy ludności stałej w Małkowicach, gm. Doruchówko, powiat Łaniewski, tom I, s. 5, str. 158.

Wzrost *170* cm

Waga *60* kg

Barwa włosów *brązowa*

Barwa oczu *niebieskie*

Barwa skóry *biała*

Barwa włosów na głowie *brązowa*

Barwa włosów na twarzy *brązowa*

Barwa włosów na szyi *brązowa*

Barwa włosów na rękach *brązowa*

Barwa włosów na nogach *brązowa*

Barwa paznokci *brązowa*

Barwa zębów *biała*

Barwa skóry *biała*

Barwa skóry na twarzy *biała*

Barwa skóry na szyi *biała*

Barwa skóry na rękach *biała*

Barwa skóry na nogach *biała*

Barwa paznokci *biała*

Barwa zębów *biała*

Pieczęć: *Starosta*

Podpis: *August*

Fr. Handert

Rozdział 11

*A wy rozradzajcie się, i rozmnażajcie się,
rozpladzajcie się na ziemi, i mnożcie się na niej.*

1 Moj. 9.

Latem w 1939 roku pojechaliśmy do Soli koło Zwardonia. Byliśmy tam kilka tygodni i leczyliśmy moje nadwątlone zdrowie po przebytych zapaleniu płuc. Leczenie polegało na kąpielach w tamtejszej słonej wodzie. Źródło słonej wody znajdowało się na dole we wsi w dzwonnicy, która istnieje do dziś.



Dzwonnica w Soli, w której znajdowało się źródło słonej wody.

Wodę przywoził na górę Misin, u którego mieszkaliśmy na przeciwległym zbocz do Rachowca. Przywożenie tej wody było bardzo trudnym zadaniem, bo misinowy konik musiał ciągnąć wóz z beczką wody pod całkiem stromą górę, toteż nie przywoził jej zbyt często.



Sól koło Zwardonia, lato 1939 roku. Nasza babcia pośrodku, a my niżej po bokach.



Rachowiec koło Zwardonia.

Chodziliśmy wiele po górach, chodziliśmy do wsi do sklepu. Raz dostrzegłem pod choinką bardzo kolorowy wzorzysty patyczek, już byłbym go sobie zabrał, ale smyrnął pod gałęzie i nie dał się wziąć.



Kościółek w Rycerce Górnej.

Chodziliśmy na Łożną (Ożna), gdzie górale ustawili wielkie ognisko na noc świętojańska, ale nam kazano iść spać. Włóczyliśmy się po lasach, czasem z gospodarzem, czasem z ojcem, który nas odwiedził. Nawet raz wybraliśmy się do kościółka do Rycerki Górnej. Górale mnie przestrzegali, abym nie szedł z nimi, bo tam się kościół na mnie zawali. Poszedłem, staliśmy przed kościółkiem, bo był naprawdę bardzo maleńki. Przed kościółkiem ustawiono konfesjonał, a że był składany, to się i na mnie przewrócił. W drodze powrotnej górale mieli wiele radości, bo przecież mnie ostrzegali. Chodziliśmy również na spacer w kierunku Zwardonia, który znajdował się po drugiej stronie góry. Zza góry wyłaniała się willa Marta, znaczyło, że to już Zwardoń, również znaczyło, że cel osiągnięty i możemy wracać.

Całą wojnę żyliśmy wspomnieniami z ostatnich wakacji spędzonych w czerwcu, lipcu, może i w sierpniu 1939 roku w Soli koło Zwardonia. Toteż w 1945 roku, po wyzwoleniu znów tam pojechaliśmy na wakacje.

Jechaliśmy pociągiem, a wraz z nami bliska znajoma z córką Marysią Zagrodzką. Rodzice z pewnością już dawno zapomnieli, ale nie my dwoje – to nas przed laty tak brutalnie skarcono za lekarza. W pociągu milczeliśmy, rzekomo słuchaliśmy matek, ale oczy świadczyły, a i coraz wyraźniejsze rumieńce na policzkach również, że o tym samym myślimy, z przyjemnością, z oczekiwaniem na to nieuchronne. Już w pociągu, gdy mrok zaczął zapadać, poprzesiadaliśmy się wszyscy, aby zmęczona Marysia mogła się położyć. W wyniku siedziałem na tej samej ławce mając za sobą jej chude nóżki. Nie można było zbyt długo powstrzymać ręki, by za plecami, nie zaczęła tego nieodwołalnego. Ręka moja równie nieśmiało jak i idealnie (wiem to dopiero dziś) dotykała pieszcząc, spełniała piękne misterium zbliżenia dwojga ludzi.

Dojechaliśmy do Milówki, bo dalej tory były porozrywane wybuchem miny.

Zamieszkaliśmy znów u Misina naprzeciwko Rachowca. Zaraz rano wybraliśmy się wszyscy na dół do wiejskiego sklepu, ale wyprawa niezbyt się udała, bo na drodze nagle wyłonili się jacyś dziwni mężczyźni na koniach i w strasznym galopie byliby nas stratowali.

Następnego dnia, Misin, który był gajowym, zabrał nas na Łożną i do okolicznych lasów. Dla nas dzieci był to piękny spacer po górach, a on przystawał, nasłuchiwał, wreszcie wskazywał dalszy kierunek spaceru i po chwili znów przystawał, jakby węszył.

W pewnym momencie stanęliśmy nad wykrotem, a tam w dole była furka z koniem i góral, który obrąbywał gałęzie z dopiero ściętego świerku. Misin tylko rzekł: – Szczęść Boże! – A góral popatrzył, pot rześisty wystąpił mu na poblądle nagle czoło. Nic nie mówili. Wszystko było jasne. Dla nich, nie dla nas dzieci. Misin nawet nie pytał o nazwisko, bo wszyscy się znali. A góral jakby z lekka pytając, markotnie rzekł:

– To jo tego chojoka zaroz na dół, na posterunek...

A następnego dnia, matki już same poszły na dół na zakupy. My dzieci biegaliśmy wokół domu. Potem kryliśmy się, aż znalazłem się nagle w mrocznej komorze z Marysią. Stała pod ścianą, nie broniła, a ja ją znów pieściłem, tyle że żarliwiej. W pewnym momencie i jej ręce sięgnęły mego ciała pod ubraniem i w sposób bardzo naturalny odwzajemniały się. Wreszcie te najmilsze palce objęły mego wyprężonego i tak zastygły w bezruchu. Między nami tym samym

stało się już wszystko. Nie potrzebowaliśmy już niczego więcej. Może i nie wiedzieliśmy, że może być coś więcej. To nasze zespolenie dało nam pełnię szczęścia i spokój o dalsze dni, o przyszłość nawet. Tej nocy śniliśmy zapewne nasz piękny sen.

Sen został przerwany brutalnie. Walenie do drzwi i okien. Wołanie: – Wyłaż ty pachółku stalinowski! Bo cię wykurzymy! – W domu bieganie. Lament. Szarpanie. Wreszcie Misin otwiera. Wbiegają, przewracają cały dom w poszukiwaniu broni. Zapowiadają, że zaczną od rozwalenia tego skurwysyna, co ludziom drzewa broni. Są konsekwentni. Misina wyprowadzają przed dom. Potem przychodzą po żonę i dzieci. Matki błagają straszliwie i w sobie tylko wiadomy sposób osiągają złagodzenie wyroku. W domu nadal plądrowanie. Z zainteresowaniem oglądają nasze wiszące mundurki harcerskie – tak jakby nuta respektu w głosie, bądź co bądź to mundur, może nawet pamiętany sprzed wojny.

Ja cały czas udaję, że śpię, ale jestem niewidzącym świadkiem wszystkiego. Matki szepczą między sobą – rozpoznały – to ci, co na drodze na koniach. Dane mi na całe życie siły zostają zużyte tym kilkugodzinnym przerażeniem. Wiem, za co ta kara. Za Marysię. W duszy przysięgam Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, że niech mi daruje dalsze życie, to już nigdy, przenigdy nie zbliżę się do żadnej kobiety.

Nad ranem góralka przywlekła strasznie pobitego męża. Jeszcze tego dnia wyjechaliśmy.

Bóg dotrzymał porozumienia. Ja nie. Choć faktem jest, że zламаłem się dopiero po kilkunastu latach.

*

Coś dla oka.



Rozdział 12

*A Ja, oto Ja stanowią przymierze moje z wami,
i z nasieniem waszem po was.*

1 Moj. 9.9

Wokół mnie odbywało się teraz wiele. Sąsiedzi gorączkowo dyskutowali, co też teraz będzie, po wyzwoleniu. Intensywnie słuchano Londynu. Radia wolno już było mieć, a poniemieckich nie brakowało. Wczytywano się w nieliczną jeszcze prasę. Wielu nawet już zaczynało wierzyć, że to najgorsze nie wróci. Zdawało się, że wszystkich drażył jednak cień – pytanie – co nam Rosjanie przyniesli? Niby już jest tak jak przed wojną, ale ta obawa, która i przed wojną była uprawiana, obawa przed komunizmem... Problem ten byłby bardziej odczuwalny, gdyby nie potrzeba w tych pierwszych tygodniach zorganizowania czegoś do garnka, na grzbiet, dla dzieci.

A dzieci – te chyba najszybciej odrodziły się. Zgodnie z przemożnym prawem przyrody zaczęły zakwitać, jedne po drugich. I choć każde, nawet te całkiem małe miały swój arsenał pozbieranych pocisków od niemieckich karabinów zwykłych i maszynowych, od pepesz i pistoletów, arsenał bagnetów i prochu artyleryjskiego; i choć wyprawialiśmy z tym wszystkim przeróżne brewerie, czasami całkiem niebezpieczne (wkładało się nabój karabinowy w dobraną dziurę w płocie i waliło pogrzebaczem w sponkę, a pocisk wyjąc leciał po beczkach, komórkach, ścianach), to wszystko to dla nas dzieci było jako ten topniejący śnieg na wiosnę, coraz mniej interesujące czy zabawne, a istotne stawało się to, co miało się stać – dziecięca radość ze szczenięcego żywota.


Dorośli zorganizowali bardzo szybko szkołę dla nas dzieci, a w szkole klasy z ławkami i choć takie same, to teraz już lubiane, zwłaszcza gdy w nich bez trudu chłonęło się słowa o tym, jak wiele musimy zrobić, jak duże mamy zaległości w nauczaniu.

Każdy tydzień po wyzwoleniu niósł, uruchamiał jakieś nowe wartości, wiele wynikało z normalnej kolei wydarzeń budzącego się społeczeństwa, wiele z tego już się zatarło w pamięci, a jedno szczególne pozostało.

Któregoś dnia w czasie lekcji do klasy wszedł dziwny pan, był bardzo czysto ubrany, twarz niemal promieniała. Przyszedł i założył drużynę harcerską. 70 Zagłębiowska Drużyna Harcerska. Pan ten na pierwszej zbiórce już był w kompletnym mundurze, bardzo wypłowiałym, ze sprawnościami na rękawie, z bordową chustą na szyi, nasz drużynowy, druh Ociepka.

Od tej chwili harcerstwo stało się dla mnie wszystkim – nawet nauka i życie rodzinne przerodziły się w harcerstwo. Urzeczenie harcerstwem miało swoje etapy: najpierw sama możliwość zorganizowania się i przebywania z wieloma chłopakami, potem czas wojskowej musztry, rozkazu i munduru, a dopiero na końcu wycieczki i założenia ideowe.

Pierwsze miesiące harcerstwa powojennego to niemal samo defilowanie, dla którego każdy powód był dobry. Całą drużyną chodziliśmy w niedzielę do kościoła; całym hufcem, drużyna za drużyną, w czwórkach chodziliśmy na wiece pod ratusz, ale i maszerowaliśmy raz po raz po ulicach dla wprawy.



ZAKŁAD ART. FOTOGRAFICZNO-PORTRETOWY
Mieczysław Bykowski
Sosnowiec ul. Piłsudskiego 21

Defilada harcerska w dniu 3 maja 1945 roku w Sosnowcu.





Jako oczywiste sprawy przyjęliśmy ideały harcerstwa: lilia znakiem czystości, na niej litery ONC – Ojczyzna, Nauka, Cnota; harcerstwo organizacją apolityczną. Przyjęliśmy to wszystko w stopniu równie uproszczonym jak powierzchownym i nadal wiele czynów było w sprzeczności z tymi ideami i zasadami. Na pochodzie 1 Majowym 1945 roku nie było nas – przecież organizacja apolityczna, ale w dniu 3 Maja sami zorganizowaliśmy manifestację i defiladę.

Dnia 9 maja rozkazem alarmowym skrzyknęliśmy się i defilowaliśmy bezwiednie, choć w podnieceniu, a milicja tymczasem strzelała na wiwat. Potem dopiero do maszerujących dotarła wieść, że koniec wojny, ale świadomość tego historycznego faktu nie wzmogła naszego entuzjazmu, bo dla nas dzieci wojna skończyła się wtedy w styczniu wraz z wejściem wojsk radzieckich.

Innym razem oficjalnym rozkazem zabroniono nam, nawet indywidualnego udziału w zlocie harcerskim w Katowicach odbywającym się dla uczczenia harcerzy poległych w 1939 roku pod wieżą spadochronową. Nie wyjaśniono nam, o co chodzi i tłumaczyliśmy sobie po swojemu.

Tydzień wcześniej cały hufiec sosnowiecki udał się na pierwszy biwak do lasu. Na tę jedną noc zorganizowaliśmy regularne obozy z wszelkimi urządzeniami. Było jak w bajce, a tu jeszcze ukoronowanie wszystkiego – wieczorne harcerskie ognisko. Druh hufcowy pięknie grał na gitarze i jeszcze piękniej śpiewał, a obok niego przytulona siedziała przepiękna kobieta, o czarnych bujnych włosach, w mundurze harcerki, ale z chustą damską z frędzlami i w kwiaty. Jak dziś pamiętam; a druh hufcowy śpiewał:

„Mieszkali sobie na facyjacie,
zamiast firanek powiesili gacie...”

Ta kobieta i te piosenki były podobno niezgodne z jedną z liter na lilijce harcerskiej; hufcowego Chorągiew w Katowicach zmieniała, a my na znak protestu nie wzięliśmy udziału w zlocie.

Z perspektywy lat widzę, że ci, co zmienili hufcowego, stracili z pola widzenia ważniejszą sprawę, a drudzy skorzystali z pretekstu, choć prawdziwe podłoże było inne, polityczne i znacznie poważniejsze, ustrojowe. Zachodziły coraz wyraźniejsze działania w całym kraju na rzecz radykalnej zmiany ustroju na ten, który przyniosła nam armia radziecka.

Jednak dla nas dzieci nasze harcerstwo wypełniło się bardziej oczywistymi treściami – wycieczkami i obozami. A tam, dzień po dniu, stawaliśmy się harcerzami na całe życie.

Dziwne, jak to się stawało? Czyż tak przemożna moc tkwiła w tych kilkudziesięciu gawędach przy ognisku? A może była ona w piosenkach harcerskich? Co dokonało w każdym z nas tak monstrualnego przewrotu? Bo przecież nie te codzienne dobre uczynki czy zdobywanie sprawności.

Szerzyło się samo i płonęło w nas, jak od iskry, jak od ziarna rzuconego na podatny grunt. Może istota niezwykłości zjawiska zawarta jest w tym, że tak bardzo ludzkie są dążenia do prawości, czystości moralnej, siły charakteru czy szczerego współżycia ludzi we wzajemnym szacunku i pomaganiu sobie?

Przecież była to o wiele trudniejsza droga, a w dodatku usiana kompleksami spowodowanymi stale niepełnym osiąganiem tych ideałów. I choć wmawiam sobie, że obecne przekonanie o nierealności „Per aspera ad astra” (przez cierpienie do gwiazd; przez trudy, cierpienia do sukcesu) nie wynika tylko z przychodzącego z wiekiem kunktatorstwa dla załamań i kompromisów osobistych, to wewnętrznie czuję, jak wiele dobrego ta zasada z moim życiem uczyniła. Może w takich rozważaniach znajduje się coś z samouwielbienia czy przerostu wyobraźni o sobie, a w rzeczy samej niczym konkretnym nie zasłużyliśmy na wyróżnienie, to choćby to był świat myśli odmiennej jedynie – warto było być harcerzem po dziś dzień.

Dla dużych obszarów czasu z tamtych lat pamięć niczego nie zachowała. Jakieś strzępy; ale pewien dzień późnej jesieni roku 1945 nie miał możliwości zatarcia się. Najpierw niespodziewany bieg harcerski, a potem, już w lesie o zmroku, krótkie ognisko, podniosła gawęda i na białoczerwony sztandar złożenie przyrzeczenia. Popłynęły z naszych ust te najpoważniej w życiu wypowiedziane słowa i z największym przekonaniem:

„Mam szczerą wolę całym swym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu. Tak mi dopomóż Bóg”.

Przypięto nam krzyże harcerskie. A miał on kształt krzyża Virtuti Militari, wieniec z lauru i dębu, pośrodku w kręgu maleńka lilijka i napis – CZUWAJ. Jakże byliśmy z nich dumni.



Wreszcie mój pierwszy obóz. W roku 1946 w naszej drużynie coś się zakotłowało, dostaliśmy nowego drużynowego – druh Grajnert – w naszym odczuciu przede wszystkim dobry pianista. W drużynie było jakoś inaczej, ale chyba nie gorzej.

Na obóz wyjechaliśmy pociągiem w kierunku Kielc. Obóz rozbiliśmy w lasach za Tunelem a przed Sędziszowem, w Krzelowie. Był to w pełni obóz harcerski, choć bardzo dziwny. Drużynowy podjął się prowadzić obóz pod warunkiem, że zabierze ze sobą całą swoją orkiestrę. Tak więc obok nas wyrostków i dzieci był w obozie zastęp ludzi dojrzałych. Bardzo przydadli się przy urządzaniu obozu, ale na tym ich zainteresowanie zabawą w harcerstwo skończyło się. Jeszcze tylko załatwili sobie po kolei każdy całonocną wartę, żeby i to mieć z głowy. Tu już były zgrzyty, bo któregoś dnia pewien mały harcerzyk zameldował na apelu, że gdy wstał w nocy, to wartownik spał pod masztem owinięty w koc, ale nie dano mu wiary. Więc następnej nocy harcerzyk ów dla udowodnienia prawdomówności bardzo dokładnie i sumiennie obsikał kolejnego wartownika. Zastęp ten jeszcze bardziej odizolował się od nas i całymi dniami przebywali w swoim namiocie. I całymi dniami grali! Ale jak grali! Za ten ich wspaniały, a zupełnie nam nieznaną jazz można im było wszystko wybaczyć. Było to autentyczne jazz jamboree. Te saksofony, trąbki i flety do dziś słyszę.

Przybocznym był bokser. Niezwłocznie wybudował regularny ring bokserski i całymi godzinami szukaliśmy wśród nas talentów bokserskich. Nasz mistrz nie miał wśród nas godnych siebie, a walki łaknął jak cholera. Wychodził więc o zmroku w przebraniu i miażdżył spowodowanych osiłków w okolicznych wsiach. Gazety jednak nigdy później nie potwierdziły jego kunsztu, więc jego tryumfalne powroty o niczym nie świadczyły. Musi, co we wsiach nie trafiła kosa na kamień.

Inny miał talenty zduna. Ulepił z gliny piec, komin wybudował z darni, tylko palenisko było zbyt małe, a i ciąg był marny. Głodowaliśmy więc często, a ratowaliśmy się dużymi ilościami chleba z marmoladą.

Komplet tych oryginałów uzupełniałem swoją osobą. Mój zdobyty jesienią stopień młodzika czynił ze mnie szarżę w tej społeczności. Zostałem zastępowym, a w zastępie wszyscy byli więksi ode mnie, a kilku starszych wiekiem (nawet mój starszy brat), toteż któregoś dnia zwyczajnie nie chcieli pójść do kuchni sprzątać po obiedzie. Postanowiłem dać dobry przykład i zabrałem się za robotę. Sam jednak musiałem zacząć wątpić w skuteczność takiego przykładu, bo gdy drużynowy zainteresował się tym samotnie tyrającym w kuchni, odwróciłem się tylko i poszedłem przez las na brzeg pól. Przybiegł za mną mój brat i obożny, ale nie umiałem już głosu z siebie wydobyć.



Krzelów, 70 Zagłębiowska Drużyna Harcerska, 1947 rok.

Nie spodziewałem się jednak, że na czele zastępu postawią kogo innego. Gdzieś w głębi jakaś tam gorycz zapiekła się. Zewnętrznie odetchnąłem. Żyłem pełniej życiem obozowym. Któregoś wieczoru, a było to po deszczu, wykryłem przy kuchennym palenisku niesłychane zjawisko. Porąbane na ogień szczapy drewna świeciły silnym fosforycznym światłem. Wszystkich nas to urzekło i długo w noc tymi świetlikami straszaliśmy warty sąsiednich obozów.

Jeszcze tylko w któreś piękne popołudnie zbiorowo orzekliśmy, że jedynym sposobem na to, abym wreszcie nauczył się pływać, jest to, abym skoczył od razu na głęboką wodę. Poszliśmy więc nad staw i pouczony o ruchach rąk i nóg skoczyłem z grobli. Rękami machałem zawzięcie, nogami biłem okropnie, ale działa się to coraz głębiej pod wodą. Gdy wyciągnięto mnie na brzeg, byłem nieprzytomny (może z wrażenia, a może zwyczajną koleją losu).

Obóz jednak udał się, bo wróciłem ze stopniem wywiadowcy.

*

Rozdział 13

*I stało się gdy już blisko był, aby wszedł do Egiptu, rzekł do Serai, żony swej
Oto teraz wiem, żeś niewiasta piękna na wejrzeniu.
1 Moj. 12.11*

Orzekłem już wcześniej, że harcerstwo wypełniło bez reszty moje te lata. Było tak z pewnością, choć pojawiło się wówczas coś jeszcze. Na początku roku szkolnego, a zaczynaliśmy już siódmą klasę, kolega namówił mnie, abyśmy przenieśli się do innej klasy. Mnie to nic nie kosztowało, a pani się zgodziła. Zwykle wydarzenie, jakich krocie. Tak, ale w klasie tej odkryłem Jagodę. Boże, jakże ja za nią szalałem! Znałem na pamięć każdy jej rys twarzy, każdy splot czarnych włosów. Narysowałem jej portret, podobno udany i schowałem go pod kamieniem w parku. Włóczyłem się za nią, by tylko patrzeć. Ona zdawała się niczego nie spostrzegać. Apogeum tej jeszcze nawet nieplatonicznej miłości było wspólne wygłoszenie na jakiejś uroczystości szkolnej wiersza Marii Konopnickiej.

„W piwnicznej izbie zmrok wczesny pada,
Wilgotny a ponury;
Mętными szyby drobne okienko
Na brudne patrzy mury.

.....
.....
A jaż mateńko, zobaczę kiedy
Wszyściutko, co mówicie?
One te ptaki w lasach grające,
One zajączki w życie?

A jaż, mateńko, nie taki samy,
Jako te insze dzieci,
Co to się dla nich zieleni łąka
I jasne słońko świeci?”

Ech! Tkwi tego tyle w człowieku, z różnych okazji, a w pamięci zostaje samo szczególne, nawet złe wspaniałe! Jak tu nie wspominać?

Wiersz ten mówiłem z Jagodą Musiałówną i Marysią Wasiłowską. Marysi sympatia do mnie, zresztą przez nią w naturalny sposób stwierdzona, wyraźnie zakłócała mą wielką miłość do Jagody. Ale Marysia jako rodowita Warszawianka, wróciła do Warszawy i sprawa stała się znów jasna. Nawet po przejściu do liceum w każdej wolnej chwili włókłem się pod okna Jagody, choć nigdy jej nie ujrzałem i choć dostałem dobre manto, gdy dotknięty do żywego odezwaniem jednego z chłopców: – zobacz, ale patroluje – rzuciłem się z pięściami na całą przechodzącą grupę.

Ostatecznie wyleczyłem się z tej miłości dopiero podczas studiów, gdy pokazano mi wielką działaczkę przemawiającą z trybuny i to przemawiającą tuż po swoim mężu naukowcu. Aż trzeba było mi wyraźnie powiedzieć, że jest to tamta Jagoda.



Sosnowiec, ul. Legionów

W tym budynku na parterze (okno po prawej stronie) mieszkała miłość pety
Jagoda Musiałówna

*

Rozdział 14

Syn ośmiu dni, będzie obrzezany między wami każdy mężczyzna w narodziech waszych, tak doma narodzony, jako i kupiony za pieniądze od jakiegożkolwiek cudzoziemca, któryby nie był z nasienia twego.

1 Moj. 17.12

To samo harcerstwo, a jakie różne. Lord Robert Baden-Powell w na swój sposób słusznej wojnie z Burami wykorzystał zdolności traperskie w śledzeniu, a zwłaszcza w tropieniu przeciwnika po nikłych śladach, we współzyciu z przyrodą, która zapewniała schronienie i walczącemu człowiekowi musiała wystarczyć za wszystko. Zdobywanie takich umiejętności wymagało czasu, a ciekawość młodzieńcza i żądność przygód sprzyjały wczesnemu rozpoczynaniu ćwiczeń. Powstał scouting. Scout (skaut) w znaczeniu wojskowym to wywiadowca, w znaczeniu sportowym – obserwator taktyki przeciwników.

[Burowie – potomkowie głównie holenderskich, flamandzkich i fryzyjskich kalwinistów, niemieckich luteran i francuskich hugenotów, którzy osiedlali się w Afryce Południowej w XVII i XVIII wieku.]



Lord Robert Baden-Powell

Okolo roku 1909 skauting został przeszczepiony z Anglii na kontynent europejski i do Polski.

Andrzej Małkowski wraz z innymi instruktorami jak Olga Drochonowska, Jerzy Grodyński, Zygmunt Wyrobek, Stanisław Sedlaczek, Tadeusz Strumiłło i Bronisław Bouffał zakładali pierwsze drużyny i zastępy. Wydawano tłumaczenia, bądź przeróbki Baden Powell'owskiego „Scouting for boys” – to jest „Skauting jako system wychowania”, „Młodzi wywiadowcy”, „Harce”, „Vade Mecum”. Już te tytuły świadczą o rodzącej się nazwie. W czasach, kiedy szczególnie walczono o czystość polskiego języka i wszystko musiało mieć polską, dla Polaka zrozumiałą nazwę, dla skautingu sięgnięto po dawną staropolską nazwę „harce” określającą wychodzenie, wyruszanie, wyjeżdżanie na potyczki, na utarczki, określającą popisy zręczności w jeździe konnej i ćwiczenia wojsk przed bitwą. Stąd harcerstwo.



Andrzej Małkowski

Prawo harcerek i jego interpretacja stanowiły ideologię harcerstwa. Była ona prosta, czytelna, a jeżeli miała jakieś braki czy mankamenty nawet, to dopiero brutalna próba czasu i przydatności w życiu mogły je wykazać. A sądzę, że to i owo wymaga poważnego zastanowienia. Tymczasem już dokonywane zmiany w prawie harcerek świadczyły o głębokiej trosce jednych i skwapliwej zapobiegliwości drugich.

Daję kilka redakcji prawa harcerskiego. Według redakcji z 1912 roku:

1. Harcerz zawsze dotrzymuje słowa.
2. Harcerz jest wierny ojczyźnie i stara się zawsze pracować dla jej dobra w miarę sił i możliwości.
3. Harcerz stara się zawsze pomagać innym.
4. Harcerz jest przyjacielem zwierząt, ochrania je w miarę możliwości i nie zabija nigdy bez potrzeby.
5. Harcerz jest karny i posłuszny.
6. Harcerz zawsze jest wesół.
7. Harcerz jest oszczędny.
8. Harcerz stara się rozwinąć i zahartować swoje ciało.
9. Harcerz sumiennie spełnia obowiązki szkolne i uczy się dobrze.

Według redakcji z 1948 roku (dla Organizacji Harcerskiej po rozwiązaniu ZHP):

1. Harcerz służy Polsce Demokratycznej i spełnia dla niej sumiennie swoje obowiązki.
2. Harcerz miłuje Wolność i Sprawiedliwość i broni prawa do nich każdego człowieka.
3. Harcerz czci pracę, szanuje ludzi pracy i uczy się od nich.
4. Harcerz miłuje przyrodę i stara się ją poznać.
5. Harcerz mówi prawdę i dotrzymuje słowa.
6. Harcerz jest karny, opanowany i pogodny.
7. Harcerz jest odważny.
8. Harcerz jest uczynny i ofiarny.
9. Harcerz jest oszczędny i gospodarny.
10. Harcerz jest szlachetny w myśli, mowie i uczynkach; nie pali tytoniu i nie pije napojów alkoholowych,

Według redakcji z 1957 roku (po reaktywowaniu ZHP):

1. Harcerz służy Polsce i dla niej sumiennie spełnia swoje obowiązki.
2. Na słowie harcerza polegaj jak na Zawiszy.
3. Harcerz jest sprawiedliwy, w każdym szanuje człowieka i staje w obronie krzywdzonych.
4. Harcerz jest przyjacielem tych, co zmieniają świat na lepsze.
5. Harcerz chętnie pomaga rodzicom, dba o dom rodzinny, szanuje starszych.
6. Harcerz jest pożyteczny i gospodarny, dba o dobro społeczne.
7. Harcerz jest pracowity i wytrwały, w życiu stawia sobie wielkie cele.
8. Harcerz jest karny i odważny, z uśmiechem pokonuje trudności.
9. Harcerz jest przyjacielem przyrody, poznaje jej piękno i tajemnice.
10. Harcerz jest szlachetny w słowach i czynach, nie pali tytoniu, nie pije napojów alkoholowych.

Według redakcji z 1977 roku:

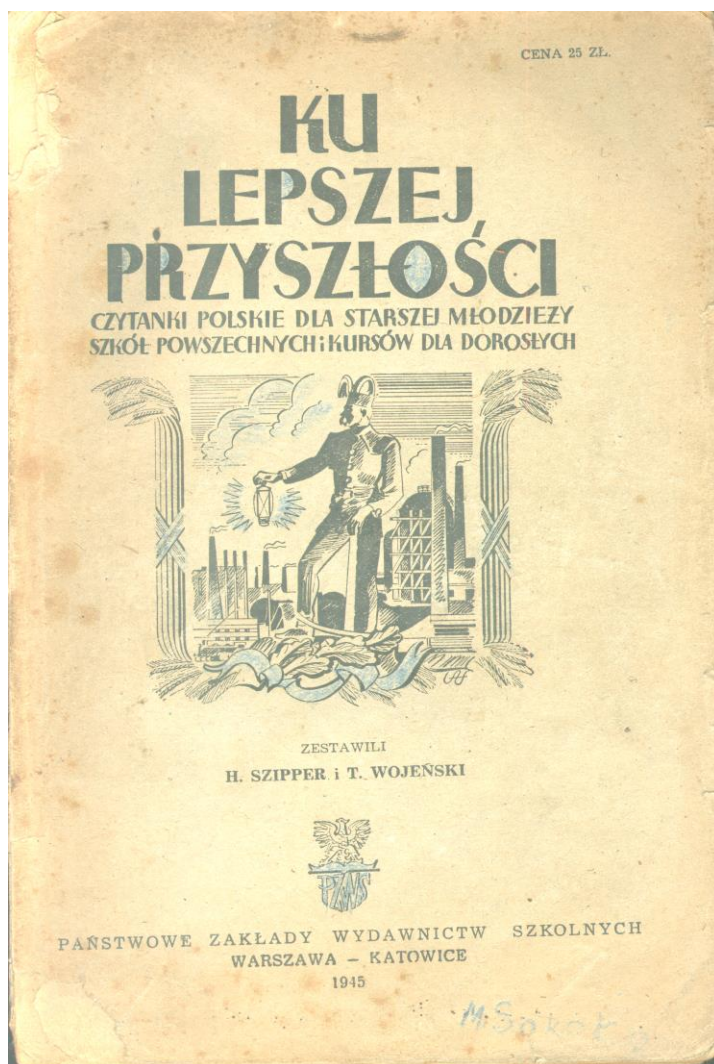
1. Harcerz służy Polsce Ludowej i dla niej sumiennie spełnia swoje obowiązki.
2. Harcerz chce zmieniać świat na lepszy – jest zawsze z tymi, co walczą o wolność i równość ludzi.
3. Harcerz jest sprawiedliwy i odważny – śmiało broni słusznej sprawy.
4. Harcerz chce wiedzieć więcej niż wie, umieć więcej niż umie.
5. Harcerz spieszy innym z pomocą, nie opuści nikogo w potrzebie.
6. Harcerz jest wiernym przyjacielem i niezawodnym kolegą.
7. Harcerz szanuje starszych, pomaga chętnie rodzicom.
8. Harcerz pracuje rzetelnie, dba o wspólne dobro jak o własne.
9. Harcerz jest przyjacielem przyrody, poznaje jej piękno i tajemnice.
10. Harcerz chce być silny i sprawny, nie pali tytoniu, nie pije napojów alkoholowych.

W harcerstwie wierność swej ojczyźnie obowiązywała każde pokolenie. Cnota dotrzymywania słowa awansowała wprawdzie, lecz jest jednak poza prawem harcerskim. Szlachetność w słowach i czynach nie od razu została podkreślona i obecnie znów musiała ustąpić innym konkretnym. W pozytywnym stosunku do innych też są widoczne różne odcienie i niuanse. Długo utrzymywał się obowiązek karność i posłuszeństwa organizacyjnego. Największe wahania zdają się towarzyszyć stosunkowi do siebie samego, choć najbardziej charakterystyczne różnice widzimy w stosunku harcerza do przyrody.

Jednak ideologie polityczne i stosunek do Boga w kolejnych wersjach prawa harcerskiego kardynalnie rzutowały i nadal rzutują na charakter harcerstwa. Chociaż z drugiej strony to rzutowanie było i jest bardziej na papierze, a młodość jak dawniej, tak i teraz bawi się podchodami, śpiewa piosenki przy ognisku, a Boga i Polskę kochała i kocha po swojemu – w swój nieskalany sposób.

Obecnie, po latach, zaczynam podejrzewać, że harcerstwo jest ćwiczeniem tego, co zostaje ukształtowane w bardzo złożonym procesie wychowania. Bo czymże byłoby harcerstwo po wojnie na przykład, gdyby nie nasi najwięksi nauczyciele życia.

Jeszcze front nie wyszedł z granic Polski, a już Henryk Szipper i Teofil Wojeński ukończyli podręcznik języka polskiego. Wielka mądrość kazała im, szcędząc każdego dnia zwłoki, zasiać, co najlepsze, w te najczulsze miejsca, w jakże straszliwie wyjąłowione, a już pobudzone dziecięce umysły. Mogli dać całe tomy własnych opracowań literaturoznawczych, a z całą prostotą genialności dali wybór najlepszego słowa polskiego.

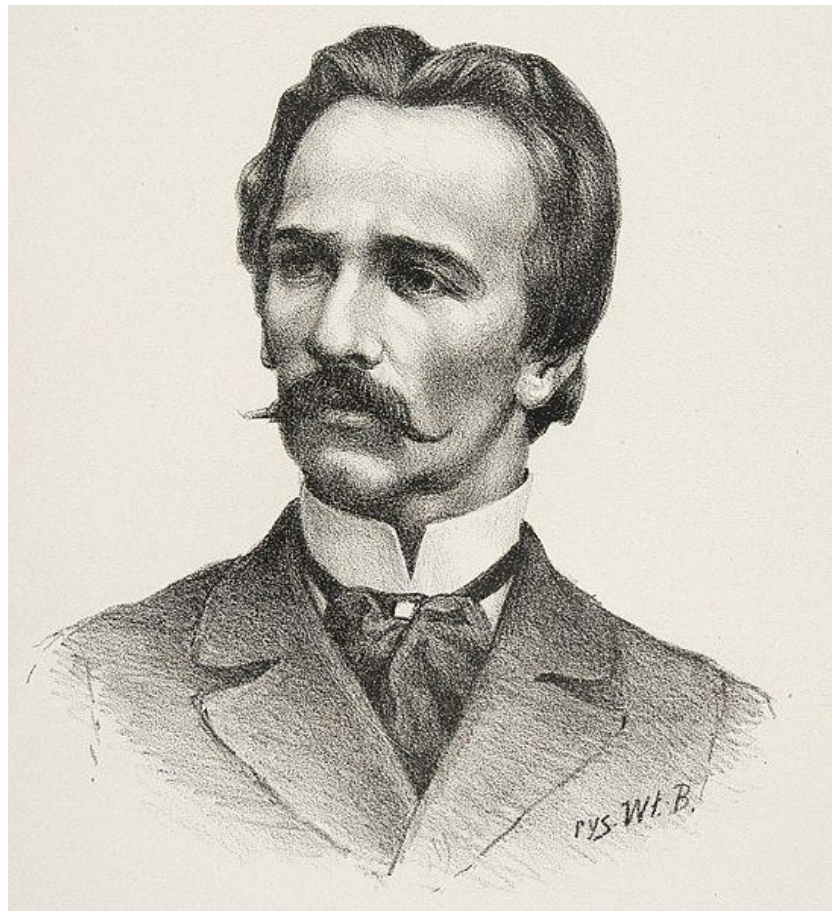


Powtórzeniem niektórych z tych strof niech mi będzie wolno dziś oddać hołd tym dobrym Polakom – Henrykowi Szyprowi (Szipper) i Teofilowi Wojeńskiemu.

Mowo polska!

Mowo polska! Orlico swobodna,
Tyś wicher wzlotów, tyś krwawych miecz starć,
Mowo polska! słoneczna i miodna,
Tyś pachnąca ojczystych lip barć.
Mowo Polska! pacierzu i gromie,
Tyś szept matki nad dziecka złym snem.
Mowo polska! Ojczyzno i domie,
I czym jesteś?
Jam sercem jest twem!...

Artur Oppman



Artur Oppman

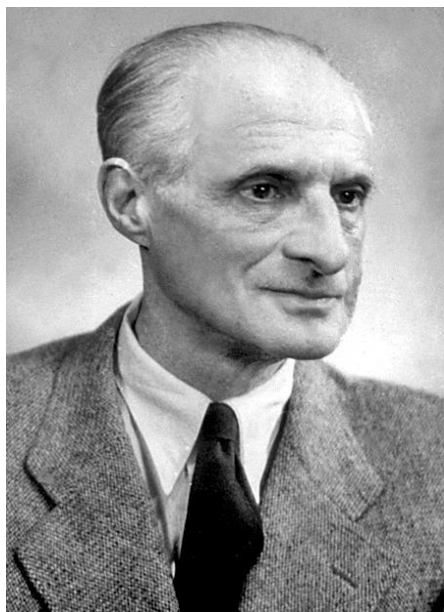
Dwa wiatry

Jeden wiatr –
w polu wiał
Drugi wiatr –
w sadzie grał.
Cichuteńko, leciuteńko,
liście pieścił i szeleścił
Mdlął...

Jeden wiatr – pędziwiatr!
Fiknął kozła, plackiem spadł,
Skoczył, zawiał, zaszybował,
Świdrem w górę zakołował
I przewrócił się i wpadł
Na szumiący, senny sad,
Gdzie cichutko i leciutko
Liście pieścił i szeleścił
Drugi wiatr...

Sfrunął śniegiem
z wiśni kwiat,
Parsknął śmiechem
cały sad,
Wziął wiatr brata
za kamrata,
Teraz z nim po polu lata,
Gonią obaj chmury, ptaki,
Mkną, wplątują się w wiatraki,
Głupkowate mylą śmigi,
W prawo, w lewo, świst, podrygi,
Dmą płucami ile sił,
Łobuzują, pal je lichy!...
A w sadzie cicho, cicho...

Julian Tuwim



Julian Tuwim

Wieczornica

Zmrok zimowy... śnieg bogaty
Wieś zasypał, drogi, chaty...
Świat tumani wichrów wrzawa,
Hula, kłębi się kurniawa!
Ziemię ścisnął mróz złowieszczy.

Gdy na dworze wszystko skrzepło,
W izbie miło, swojsko, ciepło,
Z czerwonego paleniska
Płomień główni skrami pryska,
Blaskiem złoci się świetlica...
Miła będzie wieczornica!

Dziewek rój kwitnący, świeży
Zszedł się razem po wieczery
Spędzić czas przy wspólnym dziele.
Poznosiły swe kądziele,
A staruchy w młódek grono
Siadły... Kręć się, kręć wrzeciono!

Leopold Staff



Leopold Staff

Rota

Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród –
Nie damy pogrześć mowy,
Polski my naród, polski lud –
Królewski szczerp piastowy.

Nie damy by nas zniemczył wróg!
Tak nam dopomóż Bóg! Tak nam dopomóż Bóg!

Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz,
Ni dzieci nam germanił –
Orężny wstanie hufiec nasz,
Duch będzie nam hetmanił.

Twierdzą nam będzie każdy próg!
Tak nam dopomóż Bóg! Tak nam dopomóż Bóg!

Do krwi ostatniej kropli z żył
Bronić będziemy ducha,
Aż się rozpadnie w proch i w pył
Krzyżacka zawierucha.

Pójdziem, gdy zabrzmi złoty róg!
Tak nam dopomóż Bóg! Tak nam dopomóż Bóg!

Maria Konopnicka



Maria Konopnicka

Odpowiedź

Głosem poległych wołają
krwawiące mury Warszawy:
– Jaki wasz będzie rachunek?
Nasza odpowiedź:
– Krwawy.
Czym odpłacicie za najazd,
za obłąkaną kobietę,
za kulę w piersi dziecięcej?
Nasza odpowiedź:
– Bagnetem.
Za podeptaną mowę
jaką dostaną zapłatę?
Jakim spotkacie ich słowem?
Nasza odpowiedź:
– Granatem.
Długoż nam jeszcze stygnąć
w nieugaszonej agonii?
Zagłada czy ocalenie,
powiedzcie...
– Bracia do broni!

Adam Ważyk



Adam Ważyk

W pamiętniku Zofii Bobrówny

Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj – bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poemata składać.
Ja bym to samo powiedział co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać,
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś jak Zośka dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości,
I dalej mnie los nieszczęśliwy goni.
Przynieś mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
Bo mi zaprawdę odmłodzić potrzeba!

Wróc mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

Juliusz Słowacki

13 czerwca 1844 r. Paryż.

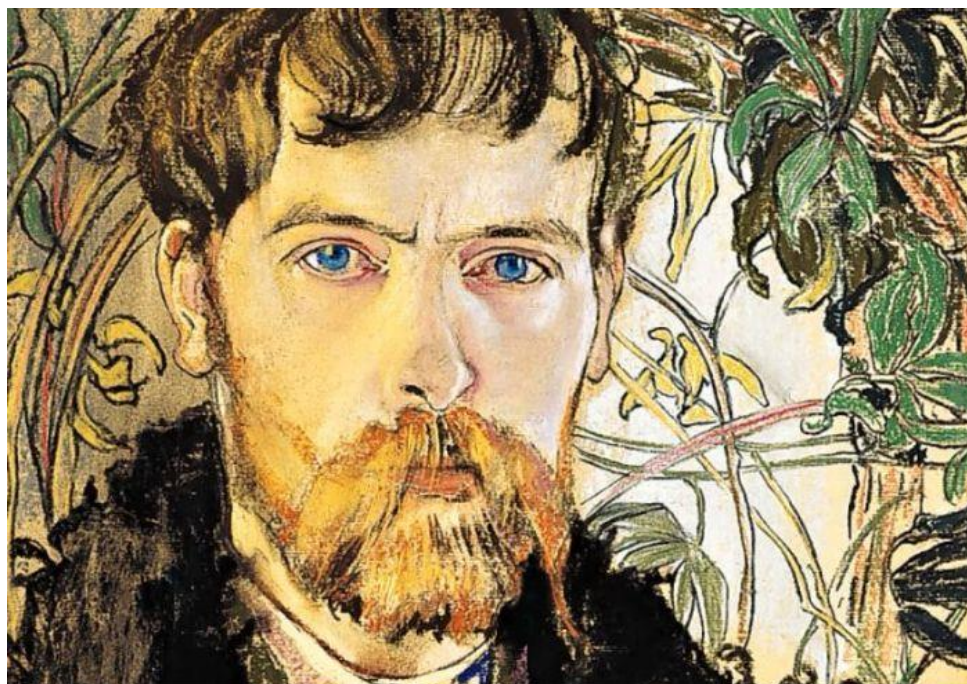


Juliusz Słowacki

Wiersz wakacyjny

I cóż, kochany panie Leonie,
Czy byłeś pan już w lesie?
Czyś widział, jak się pasą konie?
Słyszałeś, jak gęś drze się?
 Po stawie, jak pływają kaczki,
 I zboże, jak chwieje się,
 Modre bławaty, krasne maczki,
 Puch, jak się z wichrem niesie?
Czyś oddychał już jedliną,
Pod sosną czyliś dumał,
Czyliś zapoznał się z gadziną
I z wierzbą się pokumał?
 Czyś widział pawia na ogrodzie,
 Pod chatą dzieci płowe?
 Czyś pochylony stał ku wodzie,
 Na fale patrząc nowe?
Na fale patrząc, jak kołują,
Gdy wodne muchy kroczą?
Jak żaby na cię nawołują,
Stapisz, a w topiel skoczą?
 Czyś dopadł gdzie, jak sroka skrzeczy,
 W oborze bydło ryczy?
 Czyś znalazł wszystkich kopę rzeczy,
 Które mieć dusza życzy?
Czyliś odnalazł w leśnej głuszy
Tych świerków kilkunastu
Ten czar, co Polskę budzi w duszy.
Czy tęsknisz już ku miastu?

Stanisław Wyspiański



Stanisław Wyspiański

Daremne żale

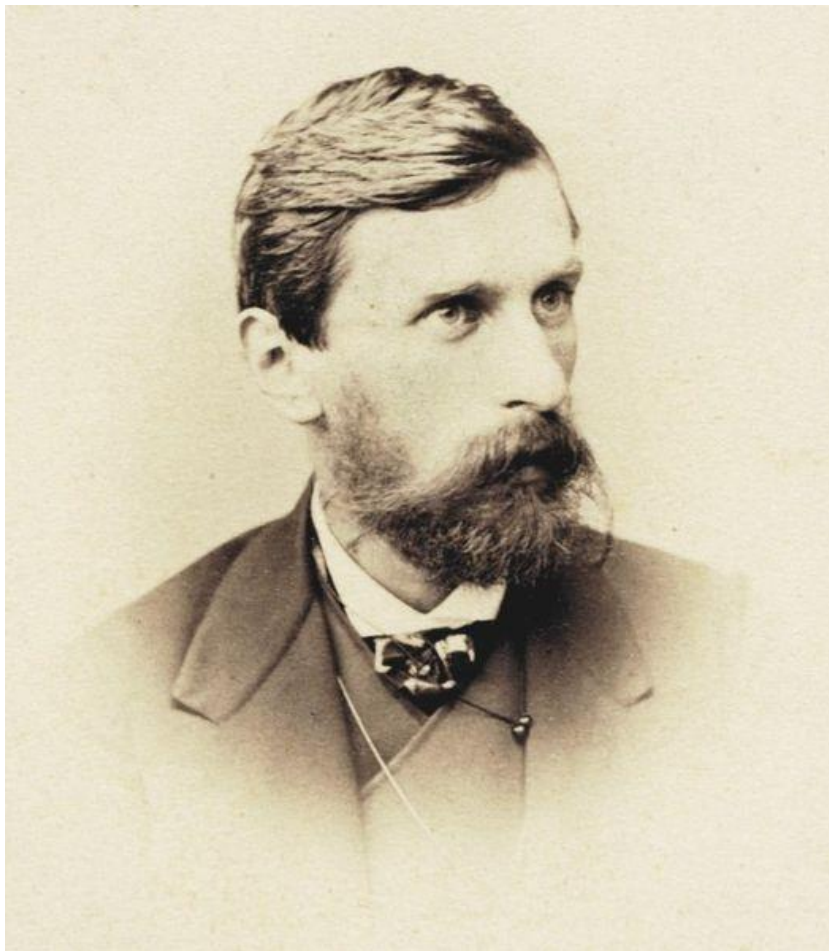
Daremne żale, próżny trud,
 Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
 Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda, idąc wstecz,
 Znikomych mar szeregu;
Nie zdoła ogień ani miecz
 Powstrzymać myśli biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść,
 Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędłych laurów liść
 Z uporem stroić głowę!

Wy nie cofniecie życia fal,
 Nic skargi nie pomogą!
Bezsilne gniewy, próżny żal,
 Świat pójdzie swoją drogą.

Adam Asnyk



Adam Asnyk

Nie ma nic odkrywczego w powiedzeniu, że wszystko ma swój koniec. Jednak do zakończenia wszystkiego, co nas dotyczy, mamy swój stosunek i nie uwzględniamy w nim żadnej teorii. Może dlatego zakończenia potrafią być tak dramatyczne dla przeżywających je i tak ciekawe dla obserwujących. Popatrzmy więc na jeden z końców.

Po moim pierwszym obozie harcerskim był drugi w Hermanicach koło Ustronia między Równicą a Czantorią w roku 1948.



Równica (z Beskidy 24.pl)



Czantoria (z Beskid Śląski.pl)

Był to obóz mieszany, to znaczy harcerzy z różnych drużyn połączono w jeden obóz, tak więc poznałem nowych kolegów. Obóz nasz był nad samą Wisłą, ale Wisła w tym rejonie płynęła bardzo wolno, była szeroka i płytka, toteż na Wiśle było wykonanych wiele progów z belek i kamieni, które trochę przyspieszały bieg wody. Wynikało stąd wiele przygód. A to harcerz stawał w wodzie poniżej progów, ale tyłem do progów, po czym schylał się, grzebał rękoma w wodzie i nagle wyciągał pięknego pstrąga. A to wielkiego śpiocha oboźnego wyniesiono wraz z łóżkiem i ustawiono na środku Wisły, a on dalej spał. Łóżko miał wojskowe składane pochodzące z amerykańskiej UNRRy. Lub też była przygoda z flądrami.



Progi na Wiśle w Ustroniu.

Znaczna część produktów żywnościowych pochodziła z amerykańskiej UNRRA'y. Na okrągło jedliśmy eliptyczne puszki z rybami, ale jedne puszki były dla nas smaczne, a inne bardzo słone. Szybko nauczyliśmy się rozpoznawać te smaczne po numerach wybitych na puszkach. Mieliśmy też duże ilości suszonych fląderek. Były to całkiem duże płachty mięsa rybiego, ale nie dało się ich przyrządzić na obiad, bo były bardzo twarde i nie robiły się miększe nawet po bardzo długim gotowaniu. Ktoś wpadł na pomysł i poprzybijaliśmy gwoździami te flądery do progów na Wiśle. Czekaliśmy kilka dni, ale nie miękły. Któregoś dnia popadało, Wisła nagle przybrała i nasze flądery popłynęły do Bałtyku.

Bardzo sumiennie chodziliśmy w szyku ze sztandarami co niedzielę do miejscowego kościoła. Harcerze wkładali komże i służyli do mszy. Nie wiem, dlaczego zapamiętałem, ale jeden harcerz lubił mówić do innych: – Masz nos jak termos. Przeszło mu gwałtownie, ale i tak odtąd wszyscy zwali go „termosem”. Przyjechała harcerska ekipa filmowa i nakręcili film na temat pierwszej pomocy. Oczywiście ja byłem głównym aktorem, rannym harcerzem. Przecież i to nie mogło się obyć beze mnie.



Hermanice koło Ustronia, 1948 rok.



Hermanice koło Ustronia, „Boćki”, 1948 rok.



Na Baranią Górę, droga Ustroń – Wisła, 1948 rok.



Na Baraniej Górze, 1948 rok.

Pod koniec obozu udaliśmy się na wycieczkę, aby odkrywać źródła Wisły. Szliśmy pod Baranią Górę wzdłuż Czarnej Wiselki. Długo szliśmy i co jakiś czas pytaliśmy górali, czy daleko jeszcze do schroniska na Baraniej Górze. Stale padała ta sama odpowiedź: – A będzie z godzinka z hakiem. I za godzinę ta sama odpowiedź. Zaczęło zmierzchać, zaczęło siąpić, weszliśmy w mgłę, więc gdy z mgły wyłoniła się wreszcie jakaś chata, postanowiliśmy definitywnie tam zanoć. Góral się zdziwił, ale nas przyjął. Jeden wybrał się po wodę i po kilkudziesięciu metrach z mgły wyłoniło się schronisko. Natychmiast tam się przenieśliśmy. W schronisku całkiem chętnie wzięli od nas cały nasz zapas puszek z rybami i za to nakarmili nas sówicami.

Następnego ranka dotarliśmy na szczyt Baraniej Góry. Tu stał stożek triangulacyjny i do dzisiaj zapewne stoi, ale całe jego drewno było bardzo dokładnie pokryte napisami „uwieczniającymi” tabuny turystów i do dzisiaj zapewne nic się nie zmieniło.

Czarna Wiselka wypływała z bliżej nieokreślonego miejsca podmokłej łąki. Wracaliśmy z góry wzdłuż Białej Wiselki, ta ze skałki na skałkę, z kamienia na kamień szybko ogromniała. Proszę wybaczyć ewentualne błędy w opisie, ale piszę to po niemal siedemdziesięciu latach.



U źródeł Wisły – wodospad na Białej Wiselce.

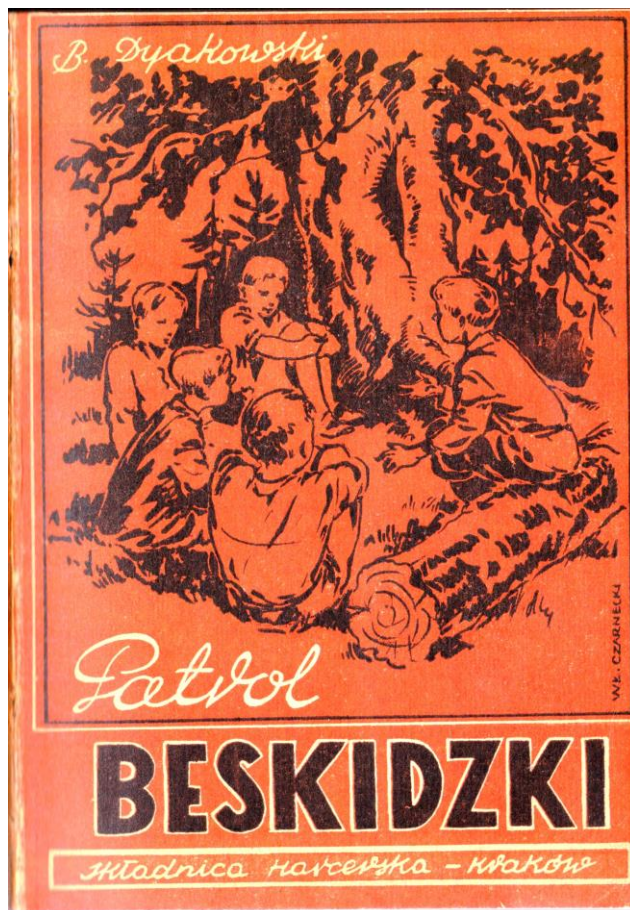
Dobry obóz harcerski, o którym nic więcej napisać się nie da. Może tylko to, że zdobyłem stopień ćwika.

W tym czasie przeszedłem do Liceum Prusa i w konsekwencji zmieniłem drużynę. Była to teraz 82 Zagłębiowska Drużyna Harcerska. Drużynowego (Zdzisław Wajzner) mieliśmy o wielkiej rutynie i erudycji, toteż zanim opuścił nas, aby udać się do seminarium duchownego, wpoił nam wiele zasad moralnych i ideałów.

Kolejny drużynowy był szalenie frapujący swą fantastyczną przygodą. Wyobraźmy sobie chłopaka z sąsiedniej ulicy, który rozejrzawszy się po przebiegu wyzwolenia, postanawia zwrócić matce swej męża. W nieprawdopodobny sposób udaje się więc za frontem na zachód, dociera do Anglii, odnajduje tam ojca, przekonuje go do powrotu i wracają. Przy okazji zgłębia w Anglii problemy skautingu i wraca w stopniu aż „Harcera Rzeczypospolitej” i wykazuje się olbrzymią znajomością rzeczy. Występuje wśród nas w idealnym pod każdym względem tren-czu, a w nim samym nie znajdujemy żadnej skazy. Teraz harcerstwo jest harcerstwem. Poprzednie intuicyjne rozwinięcia istoty harcerstwa zostają zastąpione rzetelną wiedzą wynikającą z doświadczeń wielu drużyn skautowskich i z wielu lat ich pracy. Nasz drużynowy Stefan Witold Fedorko.



82 Zagłębiowska Drużyna Harcerska nad Morskim Okiem – drużynowy Stefan Fedorko siedzi po lewej.



Zastępowi „Jeleni”
na ręce zastępowego, druha
Sokotowskiego M. c.w.
za pracę w drużynie,
Drużynowy:
„Gwiazdka” 1948 rok
PATROL BESKIDZKI
M. Jolanta h.o.

Jednak dopiero po 66 latach zwróciłem uwagę na te małe litery „h.o.” przy podpisie, a więc harcerz orli.

W szybkim tempie pod jego kierownictwem przygotowujemy kolejny obóz, jakże mający być wspinałym. Jednak w maju nasz drużynowy zostaje aresztowany, a gdy po miesiącu wraca do domu, nie znajdujemy żadnego logicznego uzasadnienia dla zwrotu, jaki się w nim dokonał. Nie znajdujemy już z sobą żadnego kontaktu, niemożliwe jest nawiązanie do czegokolwiek sprzed aresztowania. Został skutecznie i fachowo załatwiony przez Urząd Bezpieczeństwa – jak wielu.

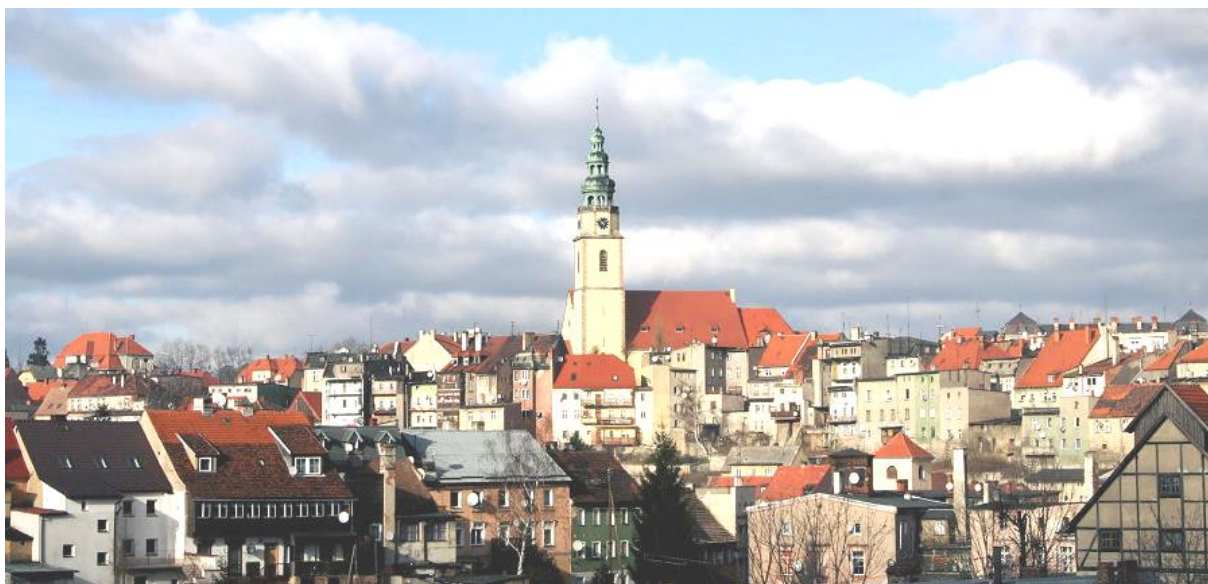
W paru harcerzy z naszej drużyny przyłączamy się do obozu innej drużyny i wyjeżdżam z nimi na mój trzeci obóz. Tym razem jest to Długopole Zdrój w Kotlinie Kłodzkiej. Nie miałem szczęścia do tego obozu. Jakieś nieznane twarze w komendzie i wśród harcerzy. Kardynalne błędy kierownictwa, jak na przykład zakupienie przez intendenta pięćdziesięciu kilo suszonej natki pietruszki, której worki wypełniały prawie cały nasz magazyn. To znów ustalenie na obiad fasoli z marmoladą lub dowcipne wynoszenie przez gołych harcerzy pod pachami jajek z magazynu. Wodę do picia nosimy ze stacji; w czasie jednej takiej wyprawy po wodę włączymy na onanizującego się faceta w krzakach. Kuracjusz.



Długopole – w budynku po lewej była nasza komenda.

Również ulepszenia w obozie. Gotowanie odbywa się pod dozorem dwóch matek specjalnie zabranych na obóz w tym celu. Któregoś pięknego dnia tuż za obozem, za rzeczką plażują się jakieś dziewczyny. Nasi starsi harcerze nawiązują z nimi rozmowę, nawet kładą się obok nich na kocach i razem się opalają. Matki jednak urządzą piekielną awanturę – one raz skończą z tą demoralizacją na oczach wszystkich! Po niespełna dwóch tygodniach jedna z nich wprowadza się na stałe do namiotu komendanta obozu, a na zwolnione miejsce druga z matek wciąga jednego z wyrostków.

Harcerzy to nie łamie, nawet skrzydła im nie opadają, bo ich nie mają. Obowiązkowość harcerzy jest widoczna; obóz trwa dalej bez większego szwanku. Przejmuję właściwie kierowanie obozem, bo komendant prawie nie wychodzi ze swego namiotu. W ostatnim tygodniu niespodziewana decyzja. Komendant postanawia wyprowadzić cały obóz zastępami aż na trzydniową wędrówkę. Nasz zastęp wyrusza jeszcze tego dnia na noc.



Bystrzyca Kłodzka

Z Długopola w kierunku Bystrzycy. Tu pytamy o drogę do Polanicy. Mamy iść za miastem na rozwidleniu drogą w lewo. Jest już noc, ale postanawiamy jeszcze trochę przejść. Idziemy jakąś wijącą się drogą pod górę. Spać się już chce. Podchodzimy do pierwszego napotkanego gospodarstwa. Jednak wybiega pies z głośnym szczekaniem, więc idziemy dalej. Dochodzimy do następnego gospodarstwa, ale wybiega do nas ten sam pies. Czyli tracimy czas trzymając się kierunku górskich serpentyn, ale noc nie pozwala na skrócenie drogi.



Schronisko PTTK na przełęczy Spalona w Górach Bystrzyckich.

Wreszcie pod lasem większy dom. Z tablicy wyczytujemy, że miejscowość nazywa się Spalona, a obiekt jest schroniskiem. Przez okna zaglądamy do lekko oświetlonej przytulnej sali, stukamy, ale gdzieś z okna z góry dobiega głos, że miejsc nie ma. Nawet ten hall by nam wystarczył, ale cóż, idziemy dalej.

Długo idziemy przez las. Ktoś nie wytrzyma, skręca w las i mówi, że tu będzie spał. Reszta z ulgą akceptuje to stanowisko, ale zanim rozłożyliśmy się na ziemi, ktoś oświetlił latarką te-

ren i stwierdził, że ułożyliśmy się wśród grobów. Wprawdzie nie od razu, ale poszliśmy dalej. Teraz już z determinacją, na skrót po trasie ustalonej na nosa.

Po kolejnych godzinach marszu wchodzimy do jakiejś śpiącej wsi. Kilkanaście chałup po obu stronach strumyka i na dodatek całkiem pokaźne dwa kościoły też po obu stronach strumyka. Nieco dalej spostrzegamy za rzeczką palącą się żarówkę nad wejściem do jakiegoś domu i nawet jest tu mostek. Przechodzimy na drugi brzeg ciągnięci przez to obiecujące światło. Nawet drzwi się otwierają. Żołnierz pozwala wejść i nie pytając kieruje nas do jakiegoś pomieszczenia. Nie dociera do nas, że żołnierz zamknął nas na klucz. Teraz tylko spać na tej gołej podłodze z plecakiem pod głową.

Twarda podłoga uniemożliwia sen „jak u mamy”, więc budzimy się wcześniej rano. Po krótkiej rozmowie zaczynamy rozumieć, że jesteśmy aresztowani. Zastępowego zabierają na przesłuchanie. Gdy wraca, opowiada o naszej nieciekawej sytuacji. Jest to posterunek graniczny; my weszliśmy na posterunek, przechodząc granicę ze strony czechosłowackiej na polską. Nie możemy ustalić, kiedy weszliśmy na terytorium Czechosłowacji, niektórzy nie bez racji twierdzą, że mogliśmy kilkakrotnie przekraczać granicę w czasie tych kilku godzin nocnego marszu na przełaj po lesie.

Jesteśmy podejrzani o przemyt. Podobno przemytnicy tutaj są najczęściej ubrani właśnie w mundury harcercy lub sutanny. Będą teraz ustalać naszą tożsamość. Nie mamy pojęcia ani jak to zrobią, ani ile będą nas trzymać. Nam miny rzedną, żołnierze zaś są weseli, czują się jak na wczasach, nad naszą grupą pracują, ale bez służbistej przesady; są nawet bardzo wylewni.

Kolejny przesłuchiwany wraca z ważnym odkryciem. Z zadawanych pytań wynika, że przesłuchujący zna Sosnowiec. Narada i następny zabiera ze sobą kronikę drużyny. Długo nie wraca. Na rodaku wziętym na służbę do wojska nasze zdjęcia z rodzinnego Sosnowca zrobiły wrażenie. Rozmarzył się przed przesłuchiwanym we wspomnieniach, dowiedział się najświeższych wiadomości, a przecież w tamtych dniach tak szybko następowały zmiany, a zwłaszcza gdy wspomnienia zeszyły na poszczególne ulice czy sklepy nawet.

Zjedliśmy z nimi najlepsze w życiu śniadanie i puścili nas w dalszą drogę. Zastrzegli tylko, że musimy pójść wskazaną drogą do Polanicy. A nam się Kudowa marzyła. Już na pierwszym rozwidleniu dróg wyszło to z nas wszystkich jak szydło z worka. Nasi mili gospodarze zadbali jednak, abyśmy nie robili głupstw. Podszedł do nas żołnierz, wyjaśnił, że jesteśmy obserwowani przez poszczególne posterunki i wskazał właściwą drogę.

Rewelacyjna pogoda i te wspaniałe bezkresne lasy wzięły nas w swe posiadanie, a i pełne brzuchy uczyniły, że wędrowaliśmy jak w bajce. Wiele godzin marszu po tych uroczysskach, a spotkaliśmy tylko jednego człowieka. Łowił ryby, ale nie odpowiadał na żadne pytanie. Może nas nie rozumiał? Później zobaczyliśmy w dole przez gałęzie drzew jakieś miasteczko. Było jednak zbyt stromo, aby zejść. Rozumowaliśmy, że dróżka, którą idziemy, musi gdzieś dochodzić do miasteczka. Nie doszła. Po godzinie zobaczyliśmy je znów z góry. Czuliśmy się tak wspaniale, że nie było dla nas istotne, czy to jest to samo miasteczko, czy inne.



Mostowice koło Polanicy, zastęp na wycieczce, 1949 rok.



Harcerze na Łomnickiej Równi. Nasz zastęp tak samo schodził z Łomnickiej Równi.

Jeszcze długi marsz po zalesionych szczytach i zaczynamy schodzić w dół z Łomnickiej Równi. Pola, krzewy, kępki drzew – nogi same niosą w dół. A potem w tej rozświetlanej ciszy ucho wyławia coś bliskiego. Tak! To piosenki harcerskie. Wyłania się wspaniały czerwony dach pięknego budynku, a wokół mrowie młodych ludzi.

Podchwytyjemy właśnie śpiewaną zwrotkę i witani jesteśmy entuzjastycznie, zwłaszcza przez starszą panią. Jest szczęśliwa, w gwarze powitania opowiada z sentymentem o swoim przedwojennym harcerstwie; tu prowadzi kolonie dla szkoły z Łodzi. Roześmiane dziewczęta otaczają nas, chłopcy raczej na boku. Podejmą nas z całą gościnnością harcerską, mówią. Prowadzą nas do swych sal. Wiele radosnego zamieszania.



Sokolówka koło Polanicy Zdroju, 1949 rok.

Dziwny dom szkoła z internatem stoi samotnie w górach. Ta wioska opodal – to Sokołówka, a za nią parę kilometrów – Polanica. Dowiaduję się, że w Polanicy jest basen kąpielowy, więc gdy wszyscy mają popołudniowy czas wolny, z jednym kolegą pędzimy przez Sokołówkę, przez Polanicę, aby wykąpać się w basenie znajdującym się za miastem. (Nigdy w życiu nie kąpałem się w basenie kąpielowym). A potem powrót. Nie wiem, jak mi się chciało. I na dodatek wracam mając na sobie mokre majtki. Szczęśliwy wchodzę na teren kolonii, ale już na schody trzeba mnie wprowadzić. Chwyta mnie mocny ból w stawie biodrowym. Rwa kulszowa, która odtąd w najbardziej niespodziewanych momentach daje mi się do dziś we znaki.

Tym razem wstaję już na apel. Musimy godnie wystąpić. Pani kierowniczka radośnie mówi o pięknej tradycji polskiej gościnności. Przenocują harcerzy. Chłopaki z kolonii dostatecznie mocno pomrukują jednak, że po dwóch na łóżku, to im będzie ciasno. Incydent zatuszowany przez panią kierowniczkę, ale po rozejściu się u nas jakieś urywki zdań... Parę wymownych spojrzeń, bierzemy ręczniki i szczoteczki do zębów i demonstracyjnie biegniemy całym zastępem umyć się w strumyku. Tu okazuje się, że zabrano niepostrzeżenie dwa koce (plecaki musiały zostać). Krótka decyzja – śpimy w lesie. Przykrywamy się jakoś tymi kocami, mrok zapada i jest nam coraz lepiej. Nawet nie reagujemy na nawoływania biegających z latarkami.

Rano salwy śmiechu, bo jeden spał na jeżu. Inny twierdzi, że jeż wolał być przyduszony, ale musiał koniecznie skorzystać z tego wspaniałego ciepła i wbił się między nas na ten wspólny nocleg. Myjemy się w strumyku i wbiegamy do obozu gospodarzy – właśnie jak od porannego mycia. Pani kierowniczka nic nie mówi. Gdy po śniadaniu żegnamy się, pyta jednak, dlaczego to uczyniliśmy. Nie umiemy szczerze odpowiedzieć. Tylko jeden elokwentny zaznacza:

– A co? Mieli nas grzebieniami w nocy powyrzynać?

Tym razem nie uszliśmy daleko. W pobliskiej Sokołówce zainteresował nas zespół białych budynków. Wstąpiliśmy i zagościliśmy tam parę godzin. Klasztor Ojców Sercanów. Jedyny tej reguły klasztor w Polsce. Przyjęli nas bardzo miło, a gdy przedstawiliśmy się, że jesteśmy harcerzami z Sosnowca, radość przeora była przeogromna. Wszak on przed laty, również sosnowiecki harcerz, wyszedł ze swym bratem w długą drogę, by założyć ten klasztor.



W tym budynku w Sokołówce mieścił się Klasztor Sercanów.

Bracia klasztorni zagarnęli nas na radosne grzybobranie w okalających lasach. Zabrane dwa duże kosze od bielizny napelniliśmy grzybami w niespełna godzinę. W drodze powrotnej był jednak pewien zgrzyt. Rozmawialiśmy, żartowaliśmy, lecz w pewnym momencie jeden z braci, rozkoszując się tym faktem, jakby dla potwierdzenia zapytał:

– Więc wy jesteście z Zagłębia?!

A wtedy ja śpiesznie dodałem:

– Z czerwonego Zagłębia!

Miała to być frywolność z mojej strony; w końcu to fakt, a jakże zmroził naszych gospodarzy. Właściwie nie dali nic poznać po sobie, ale intuicyjnie wyczuwaliśmy, jak bardzo ta rzeczywistość zaciążyła między nami. Zjedliśmy jeszcze w refektarzu klasztorny obiad i w dalszą drogę.

Na dole w Polanicy nieopodal stacji zwiedziliśmy szlifiernię kryształów – frapująca praca. Potem w zdroju piłem po raz pierwszy w życiu wodę mineralną. A Staropolanka taka pyszna!



Pijalnia Staropolanki w Polanicy Zdroju.

Urzekały dachy z czerwonej polewanej dachówki.



Dachy z polewanej czerwonej dachówki.

Za Polanicą Szczytna i zamek.



Zamek w Szczytniej.

Teraz już pociągiem podjechaliśmy do Kudowy. Dotarliśmy w trzecim podejściu, bo za pierwszym razem zamiast do Kudowy wtargnęliśmy do Czechosłowacji, a za drugim już byliśmy w pobliżu, tylko nie chciało nam się zejść z tych pięknych gór i w konsekwencji... Ale przecież to czyni harcerską przygodę wspaniałą.



Kudowa Zdrój – Dom Wczasowy „Polonia”.



W Kudowie, 1949 rok.

W Kudowie spotkaliśmy inny nasz zastęp. Oni wyszli rano, pociągiem dotarli do Kudowy, wynajęli duży pokój i już od dwóch dni czują się kuracjuszami. Wypoczęliśmy u nich, zmiażdżyliśmy opowiadaniem naszych przeżyć i przed nocą poszliśmy dalej nie omieszkawszy wstąpić do pobliskiej kaplicy, w której wewnątrz jest wyłożone ludzkimi piszczelami i czaszkami zebranymi po zarazie z ubiegłego wieku.



Kaplica czaszek za Kudową.

Za Kudową asfaltową drogą szliśmy o zmierzchu, a że żadne samochody nie jeździły, rozwinęliśmy się w tyralierę i trzymając się pod ręce szliśmy weseli całą szerokością jezdni. W pewnym momencie wyszedł na środek szosy żołnierz, zatrzymał nas, lecz nim zaczął pytać, my otoczyliśmy go zwartym pierścieniem. Ten nie stracił rezonu i wypytał nas dokładnie, kim jesteśmy i dokąd idziemy. Zaimponował nam opanowaniem, więc któryś z nas pod koniec zagadnął go wprost, czy nie bał się, gdy go tak otaczaliśmy pierścieniem, nie zatrzymawszy się na wezwaniu. Uśmiechnął się smętnie i pokazał nam, jeszcze do tej pory niespuszczający nas z muszki, ciężki karabin maszynowy. Z prawdziwym zażenowaniem dodał tylko, że gdyby już było trochę ciemniej, byłby bez wahania użyty niestety. I dla niego – żołnierza, i dla nas – żołtobobów było to zwykłe życie, ale powagę chwili obustronnie milczeniem doceniliśmy.

Długi nocny marsz okazał się dłuższy, niż to zaplanowaliśmy z wieczora. Więc zatrzymaliśmy ciężarówkę, aby nas podwieźli do Wambierzyc. Ciężarówka wiozła nas długo, na piechotę taki etap byłby niemożliwy, a i tak wysadzono nas nie w Wambierzycach, a w Radkowie. O ile większe miasteczka Kotliny Kłodzkiej były już jako tako zamieszkałe, to Radków ział nadal opuszczeniem. A co dopiero w nocy!

Gdzieś między deskami szopy wypatrzyliśmy nagle światełko i zaczęliśmy stukać do tych zabudowań. Zabudowania tamtejsze są zwierane szczelnie wokół wewnętrznego podwórka, a odstępy między domami zamknięte solidnym płotem. Właściwie twierdza.

Po długim czasie wyszedł ktoś podejrzliwie, ale przyjrawszy się nam, szybko jakby ochłodził i pozwolił zanoć w głównym budynku. Bo oni – dodał – będą raczej całą noc pracować. Na podwórku stała ciężarówka, a w szopie, skąd dochodziło światło, jacyś mężczyźni coś robili. Nas skwapliwie skierowano od razu do domu.

Po tylu wrażeniach wszyscy porozkładaliśmy się na jakichś sofach, kozetkach i walających się fotelach i szybko usnęli. Mnie tylko coraz bardziej doskwierająca potrzeba nie dawała zasnąć. Zwlokłem się wreszcie i cichutko wyszedłem na podwórko. Ulżyło mi, gdy się wysikałem, toteż na odchodnym zajrzałem jeszcze przez szparę między deskami do wnętrza oświetlonej szopy. I im dłużej patrzyłem, tym moje zaskoczenie i zdziwienie rosło i rosło.

To, co się tam wewnątrz działo, chłonałem jak senne marzenie. Z wielką wprawą, można by rzec bezszelestnie, gdyby nie ten właśnie szelest świeżo narodzonych banknotów – trzech ludzi na jakiejś dziwnej maszynie drukowało polskie pieniądze – same czerwone stułotówki. Napatrzyłem się i syty wrażeń wróciłem na górę. Już czułem, jaką sensację wzbudzę rano. A rano,

gdy wspaniały dzień wreszcie nas obudził, w gospodarstwie ani śladu nie było po ciężarówce, po tych ludziach, a zwłaszcza po ich nocnej działalności. Nawet wierzyć mi za bardzo koledzy nie chcieli.



Wambierzyce

Potem piękne Wambierzyce z bazyliką o eliptycznej kopule i z szopką wykonaną cudownie z drewna, o przemyślnych mechanizmach poruszających całość. Potem powrót pociągiem do naszego Długopola, do obozu, który już przestał być obozem i gdzie wszyscy wzięli na oczekanie tych paru dni do końca. Nawet obiady bez kontroli matek, za to matki pod dyskretną i wyrozumiałą opieką wszystkich. Aby do końca.

Po powrocie niewiele i wiadomość o rozwiązaniu Związku Harcerstwa Polskiego. Funkcjonowanie zamierało szybko. Poroznosiliśmy po domach nasze żalosne trofea zgromadzone w harcówce. Szkoła skwapliwie skorzystała ze zwolnionego pokoiku, a woźny Rokita, partyjny, zaznaczył:

– Zlikwidowaliśmy to gniazdo trutni.



1949 rok, 82 Zagłębiowska Drużyna Harcerska – ostatnia zbiórka drużyny.

Wszystkie drużyny zdały do Komendy Hufca swoje sztandary, archiwa, namioty i wszelki sprzęt. Mnie powołano na stanowisko gospodarza hufca. Patrzyłem z żalem na te sterty sprzętu leżące na podłodze w magazynie hufca. Patrzyłem na jakichś obcych ludzi kręcących się po hufcu, żadnego znajomego harcerza. Z bratem w tajemnicy wynieśliśmy z hufca skrzynkę zawierającą archiwum naszej drużyny. W hufcu nikt się mną nie interesował, niczego ode mnie nie oczekiwał. Przestałem tam się pokazywać. Tylko po ośmiu latach, w 1957 roku, gdy uwierzyliśmy w odnowę Gomułki, zanieśliśmy z bratem to przechowane archiwum do reaktywowanej 82 Zagłębiowskiej Drużyny Harcerskiej. Zbyt wcześnie zanieśliśmy – o 32 lata za wcześnie.

Z ZHP zostały tysiące samotnych harcerzy, szukających dla siebie miejsca w życiu narodu, funkcjonowaniu państwa. Czasami wieczorami same wypływały tony pieśni harcerskich, wspomnienia za każdym razem szlachetniały, a to zobowiązywało. Przez wiele lat przyznawanie się, że było się harcerzem, było źle widziane.

Potem mianem harcerzyk – określano samotny kieliszek czystej wódki, a potem pewien rodzaj czterdziestolatków, którzy zbyt usilnie przypinali się w pracy do jakiegoś problemu, który wbrew wszystkiemu starali się rozwiązać. Termin ten pobłażliwie ośmieszał i izolował tych naiwniaków z rozsądnej, tak zwanej postępowej społeczności. Nie wszystkich to dotyczy. Co najsilniejsi przebili się, ale może dla nich i harcerstwo było środkiem... Kto to wie?

Nasza pogoda, jasny wzrok
Niechaj rozjaśnia ludziom mrok.
Niechaj i innym szczęścia da
Harcerska dola radosna.

Nam trud nie straszny ani znój,
Bo myśmy złu wydali bój.
I wciąż do walki z nim nas gna
Harcerska dola...



Pierwsze trzy podpisy to drużyny Grajner, czwarty drużyny Witold Fedorko.



*

Rozdział 15

*A nieobrzezany mężczyzna, któregooby nie było obrzezane ciało nieobrzezki jego, będzie wytracona dusza ona z ludu swego; albowiem zgwałcił przy-
mierze moje.*

1 Moj. 17.14

Długo myślałem nad tą częścią książki. Czuję, że tu w dziwny sposób zawarło się to, co najważniejsze. Nad całością legło przeświadczenie o wielkiej intymności, a nawet wstydlivosti takich odczuć.

Przełknę tę gorzką prawdę, a tylko napiszę buńczucznie, że żal mi wszystkich tych, którzy nie rozumieją tego, o czym będę tutaj pisał. Sam zresztą musiałem długo odgrzebywać spod wielu spraw istotę tego najważniejszego – to zamierzchłe hasło – ideały człowieka.

A więc jest ich kilka, nie jeden. Tylko ile? Ojczyzna. Nauka, Cnota. Tyle na lilijce harcerskiej. Sam dopiszę jeszcze: prawda, rodzina, praca, ludzkość... Czy coś więcej? Boże, nawet to mam tak bardzo nieuporządkowane.

Ideały pragnąłbym niejako pokazać u źródła, a tego omawiać nie sposób. Trzeba z pokorą sięgnąć po cytaty. Tylko nieliczni spośród twórców narodu i człowieczeństwa mieli dane dotrzeć do istoty i na dodatek mieli geniusz przekazu. W tej chwili wiem, że za to narody stawiają im pomniki. Ba. Jednak nie wszystkie. I nie wszystkim.



ADAM MICKIEWICZ

Według depozytów muzealnych z 1842 roku

Adam Mickiewicz, dagerotyp, 1842.

W roku 1820 Adam Mickiewicz napisał dla nas te słowa:

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.

Hejże do niej wesoło!
Niechaj obiega w koło,
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil!

Po co tu obce mowy,
Polski pijemy miód;
Lepszy śpiew narodowy
I lepszy bratni ród.

W ksiąg greckich, rzymskich steki
Wlazłeś, nie żebyś gnił;
Byś bawił się jak Greki,
A jak Rzymianin bił.

Ot tam siedzą prawnicy,
I dla nich puchar staw,
Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.

Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na wolności szczyt;
Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam, bracia, cyt! tam cyt!

Kto metal kwasi, pali,
Skwasi metal i czas;
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas.

Ten się wśród mędrców liczy,
Zna chemiją, ma gust,
Kto pierwiastek słodczy
Z lubych wyciągnął ust.

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stop.

Dziś gdy chce ruszać światy
Jego Newtonska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie: dość.

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył;
Mierz siły na zamiary,
Nie zamiar podłóg sił.

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skalą,
Jedność większa od dwóch.

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz;
Tu stoi czara złota,
A wnet przeminie czas.

Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadnięm toń;
To oko zamknie Feli,
To Filarecka dłoń.

Ileż kolejnych grup Filaretów te strofy powołały. Wiersz na całe życie. Wiersz o wszystkim, czym jest życie. Nawet jeśli bardzo nie w porę lub też grubo po czasie odczytamy istotę zestawienia tych właściwych kilku słów, to i tak bardzo cieszy, podnosi na duchu. Strofy te prorocznie nie gardzą żadną koleją losu człowieczego, a w zwykły przyjacielski sposób podają rękę.

W tym samym czasie Adam Mickiewicz po pierwszej – ŻYJ! – określił drugą ekstremę człowieczeństwa – WALCZ!

To można było tylko tak wyrazić:

ODA DO MŁODOŚCI

Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy;
Młodości! dodaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy:
Kędy zapal tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka w nadziei złote malowidła.
Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępymi zakreśla oczy.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca.

Patrz na dół – kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar gnuśności zalany odmętem:

To ziemia!

Patrz, jak na jej wody trupie
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali:
Nie lgnie do niego fala ani on do fali;
A wtem jak bańka prysnął o szmat głazu.
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości! tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nic powiąże złota.

Razem, młodzi przyjaciele!...
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele;
Jednością silni, rozumni szalem,
Razem, młodzi przyjaciele!...
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległym ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem, młodzi przyjaciele!...
Choć droga stroma i śliska,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dziekiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Ten młody zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury.
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie:
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię.

Hej! ramię do ramienia! spólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej, bryło, z posad świata!
Nowymi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej zbywszy się kory,
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy,
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednym „stań się” z bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie;
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnia –

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha:
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie;
Oto miłość ogniem zionie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha:
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń w wieczne skojarzy spojnie.

Pryskają nieczułe lody
I przesady światło ćmiące;
Witaj jutrzeńko swobody,
Zbawienia za tobą słońce!

[grudzień 1820]



Adam Mickiewicz

*

Rozdział 16

*Wtem słońce weszło na ziemię, a Lot wszedł do Zoar.
1 Moj. 19.23*

Uczymy się przez lata całe, ale w pewnym okresie nauka staje się wszystkim... dokładniej nie nauka, lecz życie szkolne, boć – non scolae, sed vitae discimus (nie w szkole, lecz w życiu uczymy się) – myślę o tym rozdziale życia, o którym potem opowiadamy przez wiele lat. – To były czasy – mówimy. Zwykle jest to liceum, może czasem studia.

Wiek gdzieś piętnastu lat otwiera im bramy. Bezgrzeszne lata. Czy dla mnie były innymi, skoro tak mało o nich opowiadam?



Budynek Liceum imieniem Bolesława Prusa przy ulicy Dziewiczej w Sosnowcu. (Foto 1975.05.01)

W Sosnowcu, przy ulicy o pięknej nazwie – Dziewicza – było do niedawna Liceum Ogólnokształcące imieniem Bolesława Prusa. Budynek niewielki, dostosowany przeróbkami na potrzeby szkoły. Liceum męskie, bo dziewczyny miały swoje Liceum imieniem Emilii Plater. Stąd Plateranki – monopolistki uczuć, i tych ze Staszica, i tych od Prusa. My od Prusa nie oglądaliśmy ani chłopaków od Staszica, ani Plateranek, tak bardzo nas rozdzielono. Płeć piękna znikła nam nawet z horyzontu i to właśnie wtedy, gdy zaczęliśmy ten problem poważnie traktować. Było to jednak tylko sprawą naszych myśli i osobistych dociekań, a szkoła była szkołą.

Profesor od przyrody, śmierzący leń, spalił się dość szybko, gdy któregoś dnia po wejściu dyrektora, wśród narastającego śmiechu zaczął opowiadać ni stąd, ni zowąd o kapuście.

Profesorka od francuskiego zrećnie wpajała nam mowę żabojadów, lecz po roku nauki francuski został zastąpiony rosyjskim; jakoś nauczyliśmy się bukw, lecz w kolejnym roku nowy zmieniony program przewidywał już naukę literatury rosyjskiej. Nasza pani Riabow – chwala jej za to – zachowała się dalekowzrocznie i już nawet nie oczekiwała na nasze dukanie, lecz na początku lekcji wpadała w trans, czytała sama, tłumaczyła, a literatura rosyjska zyskiwała nas dla siebie. Poznaliśmy tak Puszkina, Lermontowa, Łomonosowa, Gribojedowa, Tołstoja i wielu innych.

Polonista grzmiał: – jołopy! – i jeszcze sumienniej wbił w nasze zakute pały całą literaturę polską od Bogurodzicy, przez Galla Anonima, Klemensa Janickiego, Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego, Piotra Skargę, aż do Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Bolesława Pru-

sa, Henryka Sienkiewicza i Stefana Żeromskiego. Jak on tego dokonał? Nawet nie było podręcznika do języka polskiego... Może stało się to siłą rezonansu, jaki wywołało nałożenie się wielu lat przedwojennej rutyny na wojenne milczenie?

Łacina szła nam dostatecznie ciężko, ale dawała tę trochę ekskluzywności i snobowania się. I gdyby nauczycielki nie wypełniły tak szczelnie lekcji samą gramatyką, to może dotarłoby do nas coś więcej z istoty łacińskiego przekazu o starożytności. To i owo jednak przedarło się... „Quousque tandem abutere Catillina...” przemawiał w senacie ten, który postanowił dokonać zmian w Imperium Rzymskim.

„Jak długo jeszcze Katylin...” otwierało przed nami zupełnie nieoczekiwane światy działania. Dotychczas znaliśmy tylko walkę zbrojną bądź sabotaż, a gdy jedno było niemożliwe, a drugie niedopuszczalne, byliśmy bezsilni i nawet nie podejrzewaliśmy siły słowa, a zwłaszcza możliwości dochodzenia swych racji słowem.

Przy tak wzniosłych refleksjach, życie stawia nam często coś tak płytkiego i przyziemnego, że wali się nasz misternie uporządkowany świat. Łacina, nam chłopakom, dała możliwości oficjalnego odczytywania, i to przy kobiecie, słowa kurwa i z równą satysfakcją odmienialiśmy: hic, hec, hoc, huius, hui... Obrażliwe, a przecież rzecz nie w nazwach, lecz w konieczności nazwania czegoś, co istnieje.

*

Coś dla oka.

Gosia Kwiecień z ornitologami
na bagnach nad Biebrzą - 2009.05



Rozdział 17

*I wyrócił miasta one, i wszystkie one równinę. i wszystkie obywatele
miast onych, i urodzaje onej ziemi.*

I Moj. 19.25

Oddajmy cześć Cyceronowi i wróćmy raz jeszcze do tej niepowtarzalnej i najdonioślejszej w dziejach ludzkości mowy.



Cyceron przemawiający w Senacie. Fresk Cezara Maccariego.

Cicero In Catilinam I 1 — 32

“Quousque tandem abutere, Catilina, patientia nostra? Quem ad finem sese affrenata iactabit audacia tua? Patere iam tua consilia non sentis? Quid proxima, quid superiore nocte egeris, ubi... fueris, quos convocaveris, quid consilii ceperis, nos ignorare arbitravis? O tempora, o mores! Senatus haec intellegit, consul videt: hic tamen vivit! Vivit? Immo vero etiam in senatum venit, fit publici consilii particeps, notat et designat oculis ad caedem unumquemque nostrum: nos autem, fortes viri, satis facere rei publicae videmur, si istius furorem ac tela vitemus.”

„Jak długo jeszcze, Katylinie, nadużywał będziesz naszej cierpliwości? Do jakich granic miotać się będzie twoje nieokiełznane zuchwalstwo? Nie rozumiesz, że już ujawnione są twoje plany? Sądzisz, że my nie wiemy, co robiłeś ostatniej nocy, co poprzedniej, gdzie byłeś, których ludzi zwołałeś, jakie powziąłeś plany? Co za czasy, co za ludzie! Senat o tym wie, konsul widzi – on jednak żyje! Żyje? Co więcej, przychodzi nawet do senatu, staje się uczestnikiem narad państwowych, wskazuje i wyznacza na śmierć każdego z nas; wydaje się zaś, że my – dzielni mężowie – zadość czynimy państwu, o ile unikamy wściekłości i pocisków tego tam człowieka.

Już przedtem należało cię, Katylinie, zaprowadzić na śmierć z rozkazu konsula, na ciebie skierować zgubę, jaką ty, przeciwko nam knujesz.

Senatorowie! Chcę być łagodnym, lecz już sam siebie oskarżam o opieszałość i obojętność. Obóz jest rozłożony w Italii, w wąwozach Etrurii, przeciwko narodowi rzymskiemu, dowódcę zaś tego obozu i wodza oglądacie między murami miasta, a nawet w senacie, przygotowującego codziennie jakąś zgubę państwa od wewnątrz. Jeżeli, Katylinie, rozkażę cię już teraz ująć, jeżeli rozkażę zabić, obawiam się, że raczej wszyscy dobrzy obywatele powiedzą, że uczyniłem to zbyt

późno; niż że ktoś powie, że zbyt okrutnie. Lecz ja z wiadomego powodu nie robię jeszcze tego, co należało już przedtem uczynić: wtedy dopiero zostaniesz zabity, kiedy już nie będzie można znaleźć nikogo tak niegodziwego, tak marnego, tak podobnego do ciebie, kto nie przyznałby, że stało się to słusznie. Jak długo będzie ktoś, kto ośmieliłby się ciebie bronić, żyć będziesz, i żyć będziesz tak, jak żyjesz, osaczony moimi licznymi i silnymi strażami, ażebyś nie mógł występować przeciwko rzeczypospolitej; także oczy i uszy wielu ludzi, tak jak to dotychczas robiły, będą cię śledzić i pilnować, chociaż ty o tym nie będziesz wiedział... Twoje wszystkie zamierzenia są dla nas jaśniejsze niż dzień.

Niczego nie czynisz, o niczym nie myślisz, o czym ja nie tylko nie słyszałbym, ale czego bym nie widział i dokładnie nie wiedział. Przypomnij sobie wreszcie wraz ze mną ową poprzednią noc: zrozumiesz już, że ja bardziej czuwam nad ocaleniem rzeczypospolitej niż ty nad jej zgubą. Twierdzę, że ty poprzedniej nocy przyszedłeś na ulicę rzemieślników-nożowników – będą mówić otwarcie – do domu Marka Leki; zeszło się tam bardzo wielu uczestników tej samej zbrodni. Czyż masz odwagę zaprzeczyć? Dlaczego milczysz? Udowodnię, jeżeli zaprzeczasz. Widzę bowiem, że tutaj na posiedzeniu senatu, są niektórzy, co byli razem z tobą. O, bogowie nieśmiertelni! Wśród jakich ludów jesteście? W jakim mieście żyjemy? Jakaż mamy rzeczpospolitą? Tutaj, tutaj są, wśród nas – senatorowie – ludzie, którzy myślą o śmierci nas wszystkich, którzy myślą o zniszczeniu tego miasta; ja, konsul, widzę ich, i pytam o zdanie w sprawach państwa, i tych, których mieczem należało ścinać, nawet słowem nie ranię.

Byłeś więc, Katyliny, owej nocy u Leki; podzieliłeś Italię na części; ustaliłeś, dokąd każdy ma się udać; wybrałeś tych, których miałeś zostawić w Rzymie, i tych, których miałeś zabrać ze sobą; powyznaczałeś rejony pożarów w mieście; zapewniłeś, że ty sam już wyjedziesz z miasta; powiedziałeś, że do pewnego stopnia przyczyną zwłoki jest to, że ja żyję; znaleźli się dwaj ekwici rzymscy, którzy mieli cię od tego kłopotu uwolnić i obiecali, że tej samej nocy, nieco przed świtem, zamordują mnie w moim łóżku. O tym wszystkim ja dowiedziałem się po rozwiązaniu waszego zebrania; dom mój zabezpieczyłem i wzmocniłem większymi strażami; nie wpuściłem tych, których ty wysłałeś do mnie, ażeby mnie rano pozdrowili, ponieważ przyszli ci sami, o których ja już przedtem powiedziałem wielu ważnym ludziom, że przyjdą.

Ponieważ tak sprawy się mają, Katyliny, dąż, dokąd zacząłeś: wyjdź nareszcie z miasta; bramy stoją otworem – ruszaj; zbyt długo już oczekuje z utęsknieniem ciebie, wodza, ten twój obóz z Manliuszem. Zabierz z sobą także wszystkich swoich; jeżeli nie wszystkich, to jak najwięcej; oczyść miasto! Uwolnisz mnie od wielkiego lęku – byleby pomiędzy mną i tobą był mur: wśród nas przebywać dłużej nie możesz; nie zniosę tego, nie ścierpię, nie pozwolę!

Gdyby rodzice twoi bali się ciebie i nienawidzili, a ty nie mógłbyś ich w żaden sposób przebłagać, to ty, sądzę, zeszedłbyś z ich oczu: teraz ojczyzna, która jest wspólną matką nas wszystkich, nienawidzi cię i boi się ciebie! Ona z tobą, Katyliny, tak się rozprawia i w pewien sposób, milcząc, przemawia: „Już od kilku lat nie pojawił się żaden występki, jak tylko przez ciebie, żadne przestępstwo – bez ciebie; tobie jednemu uchodziło bezkarnie mordowanie wielu obywateli, tobie uchodziło bezkarnie uciskanie i grabienie sprzymierzeńców; ty nie tylko przyczyniłeś się do lekceważenia ustaw i sądownictwa, lecz także do obalenia i łamania ich. Znosiłam jak mogłam te twoje dawniejsze czyny, chociaż nie należało ich tolerować; teraz zaś nie można znieść tego, że ja cała jestem pogrążona w strachu z powodu ciebie jednego, że wszyscy boją się Katyliny, że wydaje się, iż nie można przeciwko mnie podjąć żadnego planu, który by był daleki od twojej zbrodni; dlatego odejdz i uwolnij mnie od lęku, jeżeli jest on uzasadniony, ażebym nie została pogwałcona; jeżeli zaś bezpodstawny, ażebym kiedyś wreszcie przestała się bać.” –

Jeśli tak z tobą, jak powiedziałem, rozmawiała ojczyzna, czyż nie powinna uzyskać tego, chociaż by nie mogła użyć siły?

Wyjdź z miasta, Katyliny, uwolnij rzeczpospolitą od lęku, na wygnanie, jeżeli tego słowa oczekujesz, ruszaj! Cóż to, Katyliny? Czy słyszysz, czy zauważasz milczenie tu obecnych? Wyrażają zgodę, milczą. Po cóż czekasz na opinię przemawiających, których wolę milczących poznajesz? A gdybym był powiedział to samo temu oto szlachetnemu młodemu człowiekowi, Publiuszowi Sestiuszowi, gdybym to powiedział dzielnemu mężowi Markowi Marcellusowi, senat w tej samej świątyni byłby mnie, konsula, zaatakował jak najśluszej. Co do ciebie, Katyliny, kiedy zachowują się spokojnie, to wyrażają zgodę, kiedy pozwalają, to wydają wyrok; ich milczenie jest wołaniem, jest wymowne. I nie tylko oni, lecz także owi ekwici rzymscy, ludzie bardzo szanowni i szlachetni, i reszta obywateli, którzy otaczają senat, a których wrogość niedawno

mogłeś zobaczyć, nastroje przejrzeć i usłyszeć głosy. Z łatwością, nakłonię ludzi, których ręce z trudem powstrzymuję, ażeby poszli, aż do bram za tobą, opuszczającym te miejsca, które usiłujesz zniszczyć...

Rozumiem, że jeżeli zgładzi się tego jednego, to plaga rzeczypospolitej może być nieco stłumiona, nie może być opanowana na zawsze. Jeżeli więc wyniesie się i zabierze z sobą swoich ludzi, zostanie stłumiona i zniszczona nie tylko ta, dojrzała plaga rzeczypospolitej, lecz także korzeń i ziarno wszelkiego zła. Dlatego niechaj odejdą ludzie bezecni, niechaj odłączą się od dobrych obywateli, niechaj się zgromadzą w jednym miejscu, niech wreszcie będą od nas odzieleni murem; niechaj zaprzestaną knozań w swoim domu przeciwko konsulowi, niech przestaną otaczać krzesło pretora miejskiego, oblegać z mieczami senat, przygotowywać płonące żagwie w celu podpalenia miasta; niechaj wreszcie będzie wypisane na czole każdego, co myśli o rzeczypospolitej. Ja wam obiecuję, przyrzekam, senatorowie, że my konsulowie dołożymy takich starań, będziecie otoczeni takim znaczeniem i takim męstwem ekwitów rzymskich, taką jednomyślnością wszystkich dobrych obywateli, że dzięki oddaleniu się Katyliny wszystko ujrzycie pomszczone, stłumione, naświetlone i wyjaśnione”.

Ale i Cyceron doznał wygnania.

...

*

Coś dla oka.



Rozdział 18

Tedy rzekła starsza do młodszej Ojciec nasz stary jest a nie masz męża na ziemi, któryby wszedł do nas, według zwyczaju wszystkiej ziemi.

Pójdź, upóymy ojca naszego winem, a śpijmy z nim, abyśmy zachowały z ojca naszego nasienie

Dały tedy pić ojcu swemu wina onej nocy I wszedłszy starsza spała z ojcem swym: ale on nie czuł ani kiedy się układała, ani kiedy wstała.

I stało się nazajutrz, że rzekła starsza do młodszej Otom ja spała przeszłej nocy z ojcem swym, dajmyż mu pić wina jeszcze tej nocy, i wnijdziesz, i będziesz spała z nim, a zachowamy z ojca naszego nasienie.

Tedy dały pić i onej nocy ojcu swemu wina; i przyszedłszy młodsza spała z nim, ale on nie czuł, ani kiedy się układała, ani kiedy wstała.

A tak poczęły obie córki Lotowe z ojca swego

Moj. 19.VI.31,32,33,34,35,36

Matematyk zdobył autorytet swym cynizmem, a ponadto plotkami, że żyje z własną siostrą. Historyk i geograf byli w najbardziej głupim położeniu. Podręczników ani map nie było. Wyprawiało się coś nieprawdopodobnego z naszymi granicami i dziejami Polski. Jeden więc uciekł w świetlane czasy Polski i z ogromną sumiennością dyktował historię na każdej lekcji, wypełniając je tym dyktowaniem prawie całkowicie. Robił to tak skutecznie, że dopiero po latach zorientowałem się, że były i mniej chlubne karty w dziejach Polski.

Drugi (profesor Biasion) zapoznał z Podolem i Podlasiem, dokładnie omówił dorzecze Prypeci, a gdy wreszcie uwierzył w fakt nowych granic Polski, załamał się, przestał uczyć czegokolwiek, a zadbał jedynie o bardzo porządne, posunięte do granic perfekcji zaprowadzenie zeszytu od geografii, w którym była jedynie ta Prypeć oraz Podole i Podlasie i dalej zeszyt został pusty do końca roku.

Bez kompleksów prowadził jedynie zajęcia nasz nauczyciel od gimnastyki. Wycisnął z nas i przyrządów wszystko. Jemu zawdzięczam, że potrafiłem wykonać każde ćwiczenie, które można wykonać na drabinkach zwykłych i tych dużych jak reje na żaglowcu, na ławeczkach i poręczach, na skrzyni i na obu koniach. Do dziś we śnie dokonuję tych skoków na rękach.

Na koniec zostawiłem całą treść Liceum – małżeństwo Annę i Stefana Biegańskich. Szaleliśmy tylko za mężem, ale stanowili dla nas nierozłączny i uzupełniający się tandem. Ale bo też było nam za kim szaleć i było kogo żonie uzupełniać.

Przychodził na lekcję roześmiany, od progu wołał: – pięć minut dla zdrowia! – My biegliśmy otwierać okna i zapanowywał ogólny rozgardiasz. On tymczasem coś znosił z pracowni fizyki i chemii.

To znów wołał: – Papierosa! Co? Nikt nie pali? Nie będzie doświadczenia. – Szybko zjawiało się kilku z papierosami, on rozrywał je i zostawiał sobie samą bibułkę, mieszał jakieś proszki, zawijał w tę bibułkę, kładł na stole, a sam włożył pod stół i drewnianą obudową od kałamarza, z okrzykiem: – Mieszanina piorunująca! – walił w to coś na stole. Inni nauczyciele nawet nie wpadali do klasy. Byli przyzwyczajeni do tych eksplozji.

Obnosił coś w probówce po klasie i żądał: – Chcesz być chemikiem, to wachaj! – Wyjmował coś z wodnistej płynu ze słoja, gliniasty kamyk kroił scyzorykiem i pokazywał odsłonięte metaliczne wnętrze. Ten dający się kroić metal naciskał oprawką scyzoryka i metal rozpryskiwał się po ławkach na drobne, wybuchające płomieniem cząsteczki.

Lekcja biegła szalenie i szybko, a tu zawsze na koniec był uświęcony rytuał. I uczniowie, i nauczyciel, nic o tym nie mówiąc, wiedzieli, do czego zmierzają. Uczniowie nieruchomieli, nauczyciel milknął, rozglądał się po sali, w jego wyrazistych oczach pojawiała się rozbawienie i po chwili podniosłej ciszy żądał:

– Machura! Z klasy!

Rozdzielał tym mężczyzn od dzieci i nam mężczyznom pokazywał z daleka, skonfiskowaną w innej klasie, oprawną księgę, ze złożonym napisem „Vita seculis”. Opowiadał, przy wielu przemilczeniach, o pewnych sprawach z tej książki. Nigdy jednak jego osobowość nie pozwoliła mu na nic konkretnego; dzwonek na przerwę dzwonił, a w nas zostawało trochę niezaspokojonej emocji.

Do czegoś to nas miało przygotowywać, toteż któregoś dnia na jego lekcję zjawiała się jego żona, która w szkole nauczała biologii, tu w klasie podkreśliła, że dziś ona zastąpi męża, zapaliła

papierosa i z wielką przyjemnością zaciągając się dymem z całą powagą wyrąbała prosto z mostu o tym, że dzieci rodzi kobieta, że dzieje się to za sprawą mężczyzny, że jest to powszechne od motyli do małp i nas ludzi; że jest to sprawa zapłodnienia jaja.

Zamilkła. Po chwili poprosiła o pytania. Mnie od dawna gnębił – dziś bym nazwał – problem przerywania ciąży. Coś podejrzewałem, ale było to tak nieprawdopodobne, jak rysunek jednego kolegi, na którym kobieta trzymała nogi wysoko na ramionach mężczyzny. Sformułowalem w myśli swój problem i zapytałem:

– Czy kobieta może w jakiś sposób wpłynąć na rozwój zarodka?

Pani gorąco pochwaliła mądrość pytania i popłynęła w ekstazie o tym, jak bardzo matka może zaszkodzić przyszłemu dziecku paląc papierosy, czy pijąc wódkę. Więcej pytań nie było. Pani wyszła przed czasem z klasy. Wrócił zażenowany mąż na dokończenie lekcji. Rzekł tylko: – Cieszę się, że już wiecie. – I dalej prowadził lekcję.

Od tego pamiętnego dnia więcej już nie szalał, tak jakby przeszkadzało mu to, że nie może nas dalej uważać za smarkaczy. I chyba i my, i on żalowaliśmy tego utraconego, beztroskiego nastroju.

Za swe pytanie zyskałem dozgonną piątkę z biologii i pewność, że moje podejrzania o usuwaniu płodu były bezpodstawne. Od pani tej przejąłem jeszcze jedną, brzemienną w skutkach mądrość. Wy tłumaczyła nam, że jedzenie masła i szynki powoduje sklerozę. Odtąd przestałem jeść szynkę i kielbasę, masło, a nawet ser.

Trzeba było jednak jakoś uporać się z rozszyfrowaniem istoty kobiety. Czułem, że moja wiedza wymaga gwałtownego pogłębienia, a tu żadnej dziewczyny, ani w szkole, ani w domu, ani w sąsiedztwie. Zostały tylko książki. Wprawdzie koledzy w wielkiej tajemnicy czytali „Mrówki” i z lubością analizowali te słowa, gdy Telimena:

„– Schwytała w swe nogi Tadeusza
jak w potężne kleszcze
i wyszeptala: Tadeuszu! Jeszcze!”

To jednak nauczyciele i układ książek powodował, że omijało się w czytaniu znamieny wiersz o przygodach „Pani Anieli” i zatapialiśmy się w strofach wzniosłych, a z nich sam się budował upragniony obraz idealnej, wybranej...

Daruj, mój ukochany Wieszczu Adamie, ale my spijaliśmy piwo, którego ty nawarzyłeś.

Skoro chłopiec katechizm czyta,
O katechizm on nie pyta,
Co chrześcijanin, co to chrzest,
Lecz o dziewczynie, co to jest.
(fragment z wiersza pt. Co to jest?)

Jakiż to chłopiec piękny i młody?
Jaka to obok dziewica?
Brzegami sonej Świteziu wody
Idą przy świetle księżyca.

Ona mu z kosza daje maliny,
A on jej kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka.

Każdą noc prawie, o jednej porze,
Pod tym się widzą modrzewiem,
Młody jest strzelcem w tutejszym borze.
Kto jest dziewczyna? – ja nie wiem.
(fragment ze „Świtezianki”)

Inny fragment:

Wtem z zasłon błysną piersi łabędzie,
Strzelec w ziemię patrzy skromnie,

Dziewica w lekkim zbliża się pędzie
I „Do mnie – woła – pójdź do mnie”.

I jeszcze inny fragment:

I tak go łechce, i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozplywa,
Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ściśnie kochanka wstydliva.

Oby mi teraz skrzydła z nieba dostać
Takie lecące, jak duch mam ochoczy!
Wiatrów bym nimi nie przestawał chłostać,
Ażbym doleciał, gdzie świecą twe oczy.

Potem na wieki pieszkciem stać się gotów,
Skrzydłami drogie niech podścielę nóżki,
Kędy już, górnych wyrzekłszy się lotów,
Uklęky czasu i miłości bożki.

(„Do mojej przyjaciółki” fragment)

Gdyby wypadało, zamieściłbym tu jeszcze wiersze:

Do Laury

Ledwiem ciebie zobaczył, jużem się zapłonił,
(sonet I)

Mówię z sobą, z drugim płacząc się w rozmowie,
(sonet II)

Widzenie się w gaju

„Tyżes to? i tak późno?” — Błądną miałem drogę,
(sonet IV)

Niepewność

Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płacę,

Czaty

(ballada ukraińska)

...

Aż wzruszona, zemdlona, opuściła ramiona
I schyliła się w jego objęcia.

Do M

Precz z moich oczu!... posłucham od razu.

O moja kochana płci odmienna, jakie by to było paradne, gdybyś prezentowała sobą tylko tyle, ile wypadało naszemu Wieszczeni Adamowi Mickiewiczowi ujawniać opisem. Zresztą po dokładniejszej analizie tekstu można zauważyć, że kobiecie w opisie Wieszcza znacznie mniej brakuje w porównaniu z tym, czego wymagał od zakochanego mężczyzny.

...ale jakże urzekająco piękne są te strofy.

*

Rozdział 19

I nazwał Abraham imię syna swego, który mu się urodził, którego mu urodziła Sara, Izaak.

1 Moj. 21.3

Ojciec wpisał mi w pamiętniku:

„Ucz się i pracuj,
byś nie zginął w tłumie.
Nauka, to potęgi klucz.
W tym moc, kto więcej umie”.

W tym czterowierszu zawarty jest cały sens życia naszych rodziców – wykształcić własne dzieci, skoro samemu dostęp do wiedzy miało się zamknąć.

Skończenie wyższych studiów przez własne dzieci – było szczytem człowieczej godności, o którą należało walczyć wszystkimi środkami, którą postawili przed majątkiem i przed codziennym życiem. Wiele rodziców wówczas tak postępowało, a postępowałyby tak znacznie więcej, gdyby własne dzieci dały im szansę.

Uczyłem się więc coraz pilniej, a gdy czasu starczało, biegłem do miejskiej biblioteki, pożyczając książki i czytałem, czytałem... W bibliotece tej, któregoś dnia 1947 roku niewielka karteczka ogłosiła rozpoczęcie wieczorków literackich. Nie opuściłem żadnego, choć kontakt złapałem jedynie z Szaniawskim chyba. Wszedł na salę, już starszy pan, usiadł przy stoliku i zaczął cicho czytać, a gwar milkł, i zrobiło się cicho jak makiem zasiał, a Polska płynęła z tych ust w nasze serca. Było to coś o kurze, ale jakie wspaniałe. Potem przerwał, wyjął inne kartki i powiało strasznym mrokiem skomplikowanej natury ludzkiej...

To nadane mi przez Niego memento życia, a potem wielokrotnie rozpoznawane i potwierdzone, uważam za najważniejszą naukę, jaką kiedykolwiek zdobyłem. Nie będę pisał jaką – czytamy Jerzego Szaniawskiego, i odkryjmy do dna jego protoplastę Juliusza Słowackiego.



Jerzy Szaniawski

Istotę natury ludzkiej, którą usiłują nam przekazać Słowacki i Szaniawski, jakże powszechnie wolimy zaliczać do sporadycznych przypadków zaledwie lub schorzeń w najlepszym razie. Głęboko nie lubimy tej tematyki, tak dużo przypomina i uświadamia, a zwłaszcza daje odczuć,

jak bardzo nadal nie mamy na nią żadnej antytezy czy metody przeciwdziałania; że przed taką literaturą wolimy tę literaturę, która daje nam lepsze wyobrażenie o człowieczeństwie lub choćby tylko zapomnienie i to bez względu na to jakby to zapomnienie było płytkie w obu znaczeniach pływizny.

Może dlatego Słowacki nadal nie otrzymał godnego pomnika. (W Warszawie postawiono pomnik Juliuszowi Słowackiemu w 2001 roku, a we Wrocławiu stoi od 1984 roku). A Jerzego Szaniawskiego radzę zacząć czytać od „Opowiadań profesora Tutki”.



Innym razem był wieczorek autorski Stefana Otwinowskiego; przedstawiono go jako młodego, dobrze zapowiadającego się autora.



Pałac Dietla w którym założono szkołę baletową.

Zaraz po wojnie, w 1946 roku przyjechała ze Związku Radzieckiego już niemłoda pani (Tacianna Wysocka), szybko dostała do dyspozycji jeden z pałaców Dytla (ten od strony kolei) i założyła w nim szkołę baletową, a nam młokosom naraziła się po wsze czasy, bo wyeliminowała z kontaktu z nami wszystkie co ładniejsze dziewczyny. Wiele godzin ćwiczeń w pałacu, a reszta dnia odrabianie lekcji w domu. Gdyby którejś została z całego dnia chwila na chłopaka, to na tę okoliczność miała już tak poprzestawiane w głowie, że dla przyszłej primabaleriny żaden nie był dostatecznie dobry. Zabrała nawet moją pokochaną. Ale wobec mnie przynajmniej szybko się zrehabilitowała. Miała jeden pamiętny wieczorek literacki – mówiła o nowoczesnym balecie i w słowach ukazała nam Izadorę Duncan. Była fachowcem, wychowała wiele baletnic dla Śląska, a z nas w zaledwie jeden wieczór uczyniła miłośników baletu.



Isadora Duncan

W Sosnowcu w tym czasie, obok Szkoły Barańskiego na Pogoni, wybudowano dom kultury. Mury tego domu, zaczęte przed wojną, stały przez całą wojnę, a ja myślałem, że już tak musi być. Aż tu nagle rusztowania, ruch i dom kultury gotów. Już był skończony, ale ponieważ uroczyste przekazanie i otwarcie jakoś przesuwano się, więc udało nam się z naszym nauczycielem zwiedzić go. Wykończony był wspaniale, nie mieliśmy pojęcia w ogóle o czymś takim. Gdy podekscytowani wrażeniem wychodziliśmy, pokazano nam nad głównym wejściem do hallu umieszczoną tablicę z brązowego marmuru z wyrytym napisem SZCZĘŚĆ BOŻE. Tak więc po górnictwu miał witać górników Zagłębia ich dom kultury. Z otwarciem czekali jednak, aż napis został usunięty.

Dom kultury był już czynny od pewnego czasu, gdy sobie o nim w jeden nudny, niedzielny wieczór przypomniałem. Poszedłem tam bez żadnych planów; już samo dążenie do czegoś tak wspaniałego dawało dostateczną satysfakcję, a tu wszystko oświetlone, tłumy ludzi wchodziły, podniosły nastrój, stanąłem nieopodal wejścia, jak przez wieki stawała gawiedź przed pałacem, do którego wchodziłi zaproszeni na bal, i stałem, i chłonałem kulturę. Jakaś pani dała mi bilet, zapłaciłem tylko uśmiechem, a i ona nie miała snąć wątpliwości, że jest to jedyna moneta, na jaką mnie stać.



Halina Czerny-Stefańska

Nie wiem, jak można opisać to w środku, skoro to przed wejściem już było wszystkim. Halina Czerny-Stefańska grała Chopina. I znów miłość od pierwszego wejrzenia. Tak usłyszeć po raz pierwszy Chopina – czyż może być donioślejsze wydarzenie w życiu? Koncert ten słyszę i słyszę... Może stąd się wzięła ta wytykana mi dobroć, która tak bardzo utrudnia mi życie.



Fryderyk Chopin – dagerotyp



Teatr Zagłębia na ulicy Żytniej (obecnie Biblioteka Romanistyczna Uniwersytetu Śląskiego).

W jakiś czas później w domu kultury zagościł niesłychanie ciekawy pan – Pan Jan Dorman. Jakimś sobie tylko znanym sposobem przyciągnął grupkę młodzieży, pozwolił im bawić się w teatr, a tak po mistrzowsku pokierował tą zabawą i tak zadbał o kostiumy, wspaniałą scenografię i światła, że powstał znany przez wiele lat Teatr Dormana. Byłem na każdym przedstawieniu, mój kolega z klasy – Gałuszka – grał aż króla, marzyłem nieśmiało, ale udało mi się tylko w jednym przedstawieniu trzymać stylizowane wieńce dożynkowe.



Jan Dorman



Teatr Dzieci Zagłębia im. Jana Dormana w Będzinie. 2009 rok.
Zawsze to było takie kolorowe.

Wówczas to wpadł mi w ręce, chyba w „Przekroju” wydrukowany, artykuł grafologa wyjaśniający, jak po charakterze pisma można poznać charakter człowieka. Było tam wiele złożoności i uwarunkowań – jedno było jasne – człowiek o twardym charakterze nigdy nie robi zawijasów przy literach „y, j”, lecz jest to pociągnięta w dół kreska po prostu. Bardzo chciałem mieć twardego charakter i od tej pory tak piszę.

Zacząłem również chodzić na kort tenisowy. Korty znajdowały się z tyłu boiska RKU-Sosnowiec przy Alei Mireckiego. Siadałem na ławce i patrzyłem, jak grają. Robiłem to widać dostatecznie systematycznie, bo zaproszono mnie na zebranie sekcji, dostałem raketę, dałem do naciągnięcia linkę nylonową i wysłuchałem teoretycznego wykładu, na czym polega istota dobrego forehand'u i backhand'u oraz jak ważne jest, aby piłka szła tuż nad siatką i aby upadła w róg kortu, tak aby przeciwnik liczył i na to, że piłka uderzy w siatkę, i na to, że wyjdzie poza kort. Wyjaśniono mi, że tenis jest grą psychologiczną o zmiennej taktyce gry.

Następnie sklasyfikowano wszystkich zawodników od najlepszego do najslabszego; na tablicy za szkłem przy kortach powpinano karteczki z nazwiskami i zapowiedziano, że etyka wymaga od tenisisty, aby nie ważył się sam zaproponować meczu lepszemu od siebie, a zaproponowanie gry komuś lepszemu o kilka lokat już było zbrodnią. Należało czekać, aż ten bezpośrednio lepszy zechce zaproponować nam spotkanie, sami zaś mogliśmy to uczynić w stosunku do karteczki poniżej naszej. W zależności od wyniku albo zostawało się na tym samym miejscu, albo zamieniało miejscami z pokonanym – tym dotychczas lepszym.

Karteczki przekładał sam prezes sekcji. Ja byłem gdzieś tam na samym końcu, nikt mi gry nie proponował, a i ja nie miałem szans, bo albo kort był zajęty (przecież jedyny), albo nie było tego kogoś, komu wolno mi było zaproponować grę. A zwykłego murka do indywidualnego odbijania nie było. Siedziałem więc nadal, patrzyłem, czasem dosłyszałem anegdotę o tym, jak przed wojną na tym korcie sławny Władysław Skonecki po zakładzie wygrał z kimś tam, grając cały mecz trzonkiem swej rakiety.

Tylko któregoś dnia, gdy przyszedłem wyjątkowo wcześniej, chwilę po mnie przysła jakaś pani, a że nie zanosilo się, aby ktoś miał jeszcze przyjść na kort, pani ta wyraziła chęć zagrania ze mną tymczasem. Szansa to była dla mnie ogromna, wróciło więc we mnie i skoncentrowało się to wszystko, co już widziałem i co zapamiętałem z wykładu. Mechanicznie, a zwłaszcza bezwiednie posłałem jedną świńską piłkę z forhendu tuż nad siatką i w sam róg kortu, a po chwili drugą, wyszła mi jeszcze wredniej. Pani przerwała grę, rzekła tylko: – niegrzeczny jesteś chłopcze – i na tym właściwie mój tenis się zakończył, choć rakietą gdzieś tam jest do dziś.

Te moje wyczyny sportowe wywodziły się poniekąd stąd, że przez sport chciałem choć trochę podrosnąć, a byłem bardzo mały. Nawet przyjaciół z tego powodu nie miałem. Jeden tylko się mną zainteresował, bardzo inteligentny chłopak, ale wszystko przysło, gdy podczas spaceru wziął mnie pod rękę i opowiadając coś ciekawego, drugą ręką ukradkiem mierzył wzajemne położenie naszych ramion. Porównanie chyba wypadło na moją korzyść, bo obydwu nas zraziło do siebie.

A propos spacerów:

Spacery te były w Sosnowcu szczególnym rytuałem. W każdą niedzielę w południe duża ilość młodzieży obojga płci zjawiała się na ulicy 3 Maja i tam naprzeciwko kina Zagłębie na jedynym szerokim chodniku w mieście odbywała się promenada. Od ulicy Modrzejowskiej szło się po tym chodniku w kilku znajomych kolegów, prowadząc uczone dysputy i tak niemal czwórkami podążaliśmy w kierunku ulicy Żymińskiego (obecnej Piłsudskiego). Po dojściu do końca chodnika zawracaliśmy i szliśmy z powrotem. Tak samo szły dziewczyny, też poważnie, czasami ktoś przypadkowo zerkał na przechodzących, ale nie było szans, by kogoś zapamiętać, a już zaczepienie, czy tylko zainteresowanie było niedopuszczalnym zachowaniem. Po kilkakrotnym przemaszerowaniu rozchodziliśmy się. W ten sposób przekonywaliśmy się, że jednak istnieją dziewczyny, a i one miały zapewne tyle samo spostrzeżeń.



Na chodniku po lewej odbywała się opisana niedzielna promenada.

Był też problem odzieżowy. Krawiec z naszego domu, Binkiewicz, a nie kupowało się wówczas gotowych ubrań, przesadnie długo mierzył na mnie świeżo uszytą marynarkę, aż wreszcie zdeterminowany wyglądem wziął centymetr i stwierdził, że lewą rękę mam o jeden centymetr krótszą od prawej.



Nasz dom przy ulicy Żymierskiego 77, potem 22 Lipca 29.

Prawy balkon na drugim piętrze to był nasz balkon, a dom był własnością Lamprechta, producenta papy dachowej.

Foto 1975.05.01

Tym bardziej zajmowałem się wszelkim sportem, gdzie i jak popadło. Przyszła pora na strzelanie. W ramach ćwiczeń z przysposobienia wojskowego któregoś dnia zawieziono całą szkołę za miasto na wojskową strzelnicę. Z wielkimi szykanami: linia wyczekiwania, linia strzelecka, linia bojowa, między pryzmami z darni wiele stanowisk strzeleckich, trzema ładuj itd.

Wielu przede mną strzelało, aż wreszcie przyszła i na mnie kolej. Karabin znałem w zasadzie z opisu tylko. Skrajnie przerażony położyłem się i czekałem na komendę, a widocznie czekałem dostatecznie długo, bo znacznie ochłoniłem, zanim podszedł do mnie dowódca strzelania; kazał wstrzymać oddech podczas strzelania, pokazał na przyrządach, jak muszą być zgrane szczerbinka, muszka i cel.

Gdy odszedł, uspokoiłem się jakoś tak zupełnie, nic mi nie pozostawało, tylko zastosować się jak najdokładniej do poleceń. Oddałem trzy strzały i poszedłem sobie. Ramię dostatecznie bolało, a zwłaszcza obojczyk, ale było mi wszystko jedno. Wojskowi poszli sprawdzić wyniki i po jakimś czasie wielką grupą przyszli mnie oglądać. Okazało się, że osiągnąłem zdecydowanie najlepszy wynik w strzelaniu. Wprawdzie miałem dwie dziewiątki i dziesiątkę, ale tak blisko położone obok siebie, że gdyby nie lekkie znoszenie karabinu – oceniono – mogłyby być trzy dziesiątki. Wracałem jako bohater szkoły. Następnego dnia dyrektor mi gratulował, choć z pewnym sarkazmem zaznaczył, że teraz będę musiał startować w zawodach wojewódzkich.

Przyszedł i na to czas. Co było robić. Nauczyciel przysposobienia wojskowego zabrał mnie ze sobą i we dwóch pojechaliśmy gdzieś znacznie dalej. Tu szykany były jeszcze większe, nawet były ustawione specjalne karabiny na stojakach, aby można było poćwiczyć. Skwapliwie skorzystaliśmy z tej możliwości, bo obu nam zależało na honorze szkoły. Podszedłem do karabinu, mój nauczyciel korygował jeszcze ułożenie kolby i rąk, ja się złożyłem do strzału jak wówczas i jak wówczas widziałem dokładnie cel, a pod nim idealnie zgraną muszkę ze szczerbinką, gdy nagle mój nauczyciel niemal dyszkantem zawył:

– Ale którym, ty ośle, okiem celujesz! Celuje się prawym okiem, a nie lewym!

Że mnie ogromnie speszył to nic. I również nie było dla mnie istotne, że w pięciu strzałach wystrzeliłem zaledwie szesnaście. Rozbiło mnie zupełnie dokonane odkrycie, że właściwie patrzą i widzą lewym okiem, a prawe jest znacznie, znacznie gorsze. Po powrocie do domu doko-

nałem prób na książce i wszystko się potwierdziło, a nawet pogłębiło. Czytać mogłem już tylko lewym okiem, a prawym widziałem tak, jakby ktoś ze strony tekstu powycinał wiele kófeczek, tak że te braki w obrazie nie pozwalały na zidentyfikowanie żadnego wyrazu czy zdania. Zrozumiałem, dlaczego zawsze miałem takie trudności z czytaniem i choć bardzo lubiłem czytać, teraz już wiedziałem, dlaczego tak wolno czytam i dlaczego mnie to tak bardzo męczy.

Jakby tego było mało, innego dnia nasz wychowawca kazał nam rozebrać się do pasa i długo każdego oglądał. Nas to wszystkich ogromnie bawiło. Kazał przyjść mojej matce. Matka wróciła z płaczem do domu; ją jeszcze bardziej zaskoczyło, gdy usłyszała, że ma dosłownie zagłodzonego syna.

Była to obraza dla całej naszej rodziny. Coś podobnego w głowie się nie mieściło. Pobiegliśmy do pani doktor na prywatną wizytę, bo nie byliśmy objęci ubezpieczeniem i państwową służbą zdrowia. Pani doktor zbadła, pomierzyła, obejrzała, kazała mi wyjść z gabinetu i podczas gdy długo konferowała z matką, ja podziwiałem piękne duże mieszkanie, a zwłaszcza zdziwiony byłem tym, że pani doktor ze swym małym synkiem rozmawia po francusku. Dostałem wiele zastrzyków z witaminy B, jakieś pastylki hormonalne, a w domu pojawiło się masło na stole i wątróbka na obiad i wiele innych smacznosci. Jedzenie – moja dotychczas prywatna sprawa, stało się sprawą publiczną i ściśle kontrolowaną. Matka tylko kiedyś warknęła do ojca:

– Twoja sprawa, z czego zapłacisz podatki, dzieci nie mogą nadal głodować przez ojca.

I tak waliło się jedno po drugim.

Moja nieodżałowana babcia wpoila mi religię i dużo się modliłem, a zwłaszcza za rodziców, którzy nie chodzili do kościoła.

W szkole powszechnej mieliśmy bardzo sympatycznego księdza staruszka. Imponował nam zwłaszcza swoją prawą ręką. Z jakichś względów, być może wojennych, operacyjnie pozbawiono go kości w ręce między łokciem a barkiem. Ręka była sprawna, ale do pisania musiał ją sobie drugą ręką położyć na zeszyt. Poza tym zwisała. Nawet podobno w kurii zastanawiano się, czy pozwolić mu nadal na odprawianie mszy, ale udowodnił, że gdy wplecie palce prawej ręki w palce lewej zdrowej ręki, to zupełnie prawidłowo podniesie kielich z hostią. Gdy byliśmy grzeczni, wywijął tę rękę w przedziwne sposoby.

Zaś w ogólniaku ksiądz był zwyczajny. Wprawdzie zawsze niezawodni koledzy pokazywali mi jego syna, ale nie wierzyłem w to. Wykładał bardzo mętnie, a właściwie niewiele miał do powiedzenia. Nad cnotą czystości też się prześlizgnął. Dawał zbawienne rady, że „o tym” najlepiej nie myśleć. Najtrudniej walczyć z sobą w łóżku, ale radził spać z rękami zawsze na kołdrze i wstawać natychmiast po przebudzeniu się. Polecał nie przyglądać się swojemu ciału w sposób nieskromny. Jeszcze tylko później w wojsku natknąłem się na podobne zasady. Gdy już na sali były zgaszone światła i wszyscy byliśmy w łóżkach, wchodził sierżant i komenderował:

– Wojsko śpi na lewym boku!

– Wojsko śpi na prawym boku!

i kończył komendą:

– Prawa ręka na sercu, lewa ręka na jajach!

Ale wróćmy do lekcji religii. Ni stąd ni z owąd nasz ksiądz, który nigdy czegoś takiego nie robił, wywołał mnie na środek i polecił zrelacjonować którąś z prawd wiary. Nie miałem o tym zielonego pojęcia. Przecież sam o tym nigdy nie wykładał. Stałem i milczałem, nie wiedząc dosłownie, co odpowiedzieć. Ksiądz też milczał i klasa milczała. Po pewnym czasie moje milczenie zmieniło charakter i tak milczeliśmy wszyscy przez całą lekcję.

Bezwiednie dokonałem demonstracji. Zamiast wlepić mi z hukiem dwóję, to on dopuścił, że można było uznać moją ignorancję za postanowienie zerwania z religią. A przecież mnie znał dobrze, bywał u nas w domu i chętnie popijał serwowany zawsze przez ojca „soczek”.



Nasz ksiądz Kiwacz.

Po pewnym czasie poszedłem do spowiedzi. Bóg mi wybaczył. Wiedziałem, bo tak mi było dobrze na duszy. Przecież zawsze w modlitwie tak był mi bliski i rozumiały.

Odnowiony stałem wówczas na mszy świętej jak w ekstazie, a w świadomości mej brzmiało wierne: – Bądź wola Twoja. – Podwójnie niemą modlitwę, bo i w świadomości niemą, zakończyłem prośbą:

– Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł do przybytku serca mego, ale rzeknij tylko słowo, a będzie zbawiona dusza moja.

Nie byłem świadom, co się wokół mnie dzieje, nie byłem świadom podniesienia...

Po jakimś czasie dowiedziałem się ze zgrozą, że nasz ksiądz grzmiał z ambony na następnej mszy, że przychodzą teraz do Kościoła Bożego tacy, co to nawet nie raczą uklęknąć podczas podniesienia. Robią to prowokująco tuż przed ołtarzem.

Nie wiedziałem doprawdy, co począć. Dziwny jak zwykle los przyszedł mi w sukurs. Zlikwidowano nauczanie religii w szkołach.

Byłem w szkole bardzo czynny, później się określało to słowem „aktywny”, wszędzie mnie było pełno, redagowałem gazetki ściennie, należałem do wszystkich organizacji z Towarzystwem Przyjaźni Polsko Radzieckiej włącznie, stąd zbierałem wszelkie składki...

Coś mi strzeliło do głowy, bo opracowałem plakat, którego treścią było, że bezpłatna szkoła w Polsce, to fikcja. Dokładnie uwidocznilem wszystkie składki, opłaty doraźne, wykupywane przeróżne cegiełki na dziwne cele. Wykazałem, ile w miesiącu klasa wnosi opłat, wyliczyłem, ile to stanowi dla jednego ucznia. Bardzo kolorowy plakat powiesiłem w naszej klasie. Już na drugiej lekcji przyszedł dyrektor szkoły w woźnym, obejrzał plakat, zapytał, kto to zrobił, a gdy się zgłosiłem, zmierzył mnie strasznie nienawistnym spojrzeniem. Woźnemu kazał zdjąć plakat i go zabrał.

Miałem i inną wpadkę. W sosnowieckim kinie wyświetlono amerykański film pod tytułem „Gilda” z Ritą Hayword w roli głównej. Musiałem go zobaczyć, a koledzy bardzo namawiali. Przerobiłem w legitymacji rok urodzenia, ale bileterka mnie zgarnęła. Kajałem się przed kierownikiem kina, a on tłumaczył, że przecież do osiemnastu lat brakuje mi tylko kilka miesięcy, przecież byliby mnie wpuścili. Zwróconą legitymację z premedytacją rzuciłem na chodnik i przejechałem po niej butem. Falszerstwo zatarłem, ale odmówiono mi wydania nowej legitymacji.



Rita Hayworth w filmie Gilda.

Przyszedł i ten dzień wreszcie, gdy ojca wezwał dyrektor szkoły i oświadczył mu, aby nie liczył na to, że syn pójdzie na wyższe studia, bo nie ma miejsca w socjalistycznych szkołach dla kapitalistycznych dzieci. Niech pan go zabiera i już przeniesie do zawodowej szkoły.

Był to pierwszy dzień wakacji; a ja właśnie ukończyłem dziesiątą klasę z bardzo dobrymi ocenami i za rok miałem zdawać maturę.

Ojciec wrócił, powtórzył oświadczenie dyrektora i poszliśmy razem kryć dachy górniczych domów w Milowicach. Uderzyło to w nas tak potężnie, że nie stać nas było na jakąkolwiek reakcję.

Trzeba było aż czegoś takiego, abym zainteresował się ojcem. Dotychczas jego rola polegała na przynoszeniu pieniędzy. A mogłem zorientować się już dawno. Bo i wówczas, gdy próbowałem odzyskać po wojnie, zabrany mu przez Niemca, Augusta Sokollika, warsztat. I wówczas, gdy warsztat odzyskałem, ale nastąpiła pierwsza dyskryminacja, bo odmówiono nam prawa do paczek amerykańskiej UNRRY, a przecież i u nas w domu była bieda.

Przecież byłem przy ojcu, gdy zasłabł pod Wydziałem Finansowym tak, że trzeba było lekarza wzywać. Dostał wtedy potężny domiar. Polska Rzeczpospolita Ludowa niszczyła brutalnie rzemiosło, czyli resztki kapitalizmu w socjalistycznym państwie. Wydział Finansowy uznawał za nieprawdziwe zeznanie podatkowe rzemieślnika i nakładał potężną karę finansową zwaną domiarem, a gdy ten sprzedawał, co mógł z domu i warsztatu, by zapłacić tę karę, to Wydział Finansowy niezwłocznie nakładał jeszcze większą karę i tak aż rzemieślnik się poddawał i zamykał warsztat.

To mnie minął innego dnia, gdy wracałem ze szkoły. Stał na pędzącej platformie i przytrzymywał mamusiną maszynę do szycia, żeby się nie rozbiła, a zajęta przez tenże Wydział Finansowy za kolejny niezapłacony do końca domiar.

Miał również miejsce i fakt, gdy komornik Witkowski krzychał w naszym mieszkaniu:
– Ja pana zniszczę! Pan będzie na podłodze spał!

Nie przejmował się tym, że słuchają tego i żona, i dzieci. Krzychał do nas wszystkich, jego zemsta dotyczyła nas wszystkich.

Nawet my w tych dniach dołożyliśmy swoje, żądając, aby raz poświęcił się dla nas i poszedł pracować w fabryce. Nie posłuchał, uparty.

Rzemiosła były różne. Szewc ostatecznie mógł łątać buty dla ludzi; miał kopyto i młotek; żył. Z krawcem już gorzej; ten miał maszynę do szycia i chętnie zatrudniał czeladników i choć miał poza tym parę żelazek, czy nożyczek, to już był wyzyskiwaczem posiadającym środki produkcji.



Mój ojciec – blacharz (około 1936 roku).

Mój ojciec wybrał sobie najgorsze rzemiosło. Był blacharzem i dekarzem zarazem, a mówiąc po ludzku – krył dachy – stąd dekarz – a że samo krycie wymagało do kompletu rynien i rur spustowych – to był i blacharzem. Tu zaczynały się ustrojowe problemy. Żeby przeciąć arkusz blachy, trzeba było mieć, wprawdzie ręczną, ale dużą nożycę. Pocięta blacha wymagała zwinienia na rynny czy rury, stąd kolejna duża maszyna. Zginać blachę trzeba było na jeszcze innej maszynie. Do tego jakaś wiertarka, szlifierka czy prasa i już tych maszyn było prawie jak w fabryce. Na niektórych z nich trzeba było w dwie osoby pracować, bo były to ręczne maszyny, a już na dachu jedna osoba nic by zupełnie nie poradziła. Przecież ktoś musiał na dole pilnować ognia pod kotłami ze smołą lub zaczepić na linie i papę, i smołę, i wszystko inne. A i na dachu, gdy ktoś drugi przytrzymywał, to robota szła znacznie sprawniej.

Więc nie dość, że wiele maszyn, to jeszcze kilku wyzyskiwanych koniecznie robotników – kapitalista, psia krew!

A w rzeczywistości był smród, brud i bardzo niebezpiecznie. Bo trzeba było wachać zapach salmiaku, na którym czyściło się rozgrzaną do czerwoności kolbę lutowniczą, a i sławny zajzajer zupełnie rasowo woniał. Do dziś czuję i nawet lubię zapach smoły czy papy. A jak to całe cholerstwo brudziło i niszczyło ciało i odzież. Przy tym większość obróbki blachy polegała na klepaniu młotkiem, a stąd przychodziło szybko przytępienie słuchu, bo tak piekielny był hałas. O tych wszystkich przywarach jednak się nawet nie myślało, wobec stałego zagrożenia spadnięcia z dachu. Nikt się przecież nie zabezpieczał czy przywiązywał. Z zasady blacharz paradował z ładunkiem nawet po najwyższym położonym gzymsie – wszak była to jedyna płaska ścieżka na

całym stromym dachu. Matka krzyczała, choć była nad wyraz spokojną kobietą, że tego nie wytrzyma; najpierw przez całe lata czekały co dzień, czy ojciec z dołu wróci, a teraz to samo dzień po dniu z mężem.

A on był uparty. Dziwni ci ludzie kiedyś byli. Pracował, bez przerośni, od świtu do nocy. Prawie go nie widywaliśmy. Przez niego zarobione pieniądze były jedynymi dochodami w domu, a wydatki były znaczne. Nie miał w życiu żadnego urlopu.



Maszyny Ojca. Nożyca do cięcia arkusza blachy. (Foto 2010.08.20)



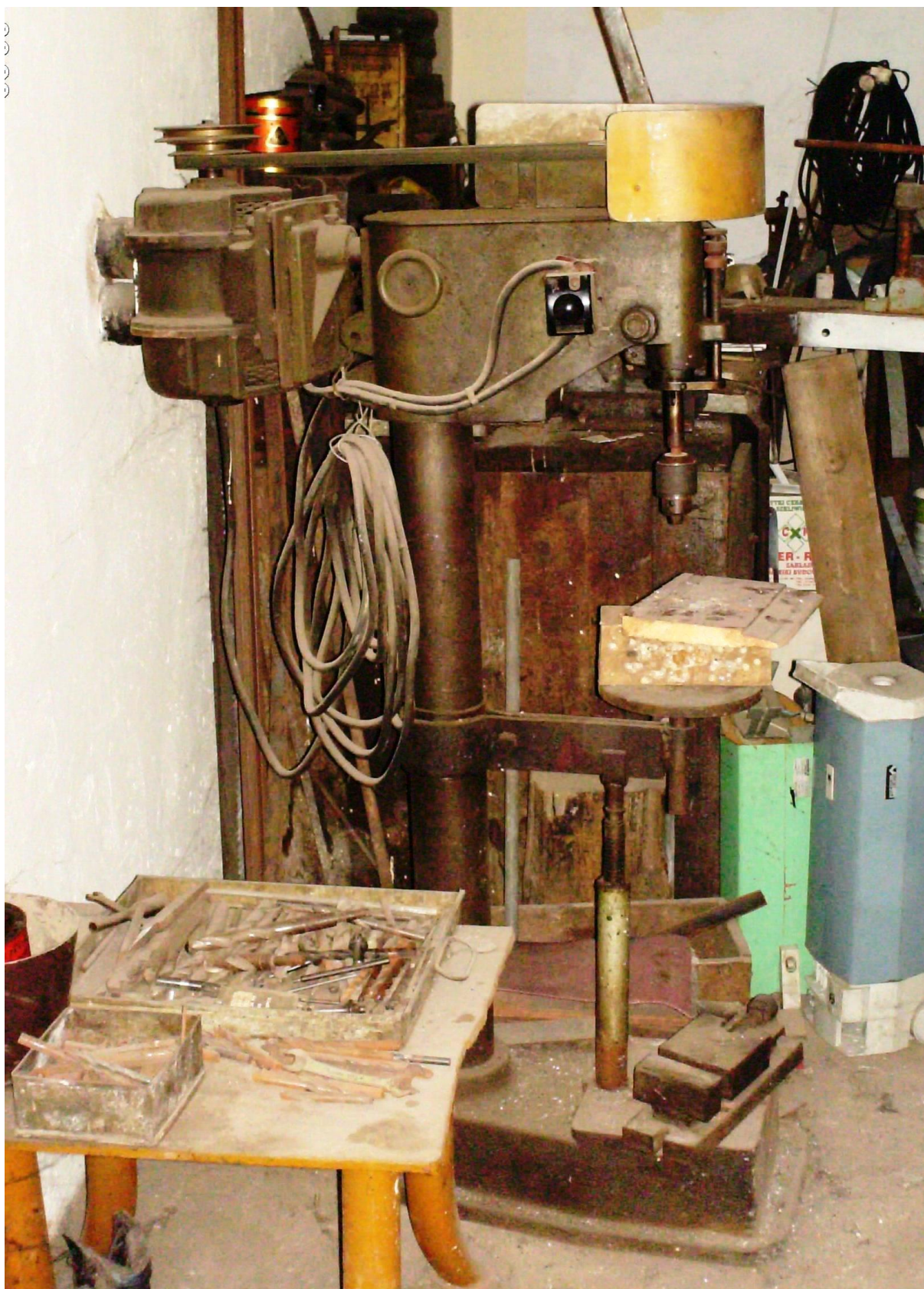
Maszyny Ojca. Kantmaszyna – do zginania blachy i rolmaszyna – do zwijania blachy. (Foto 2010.08.20)



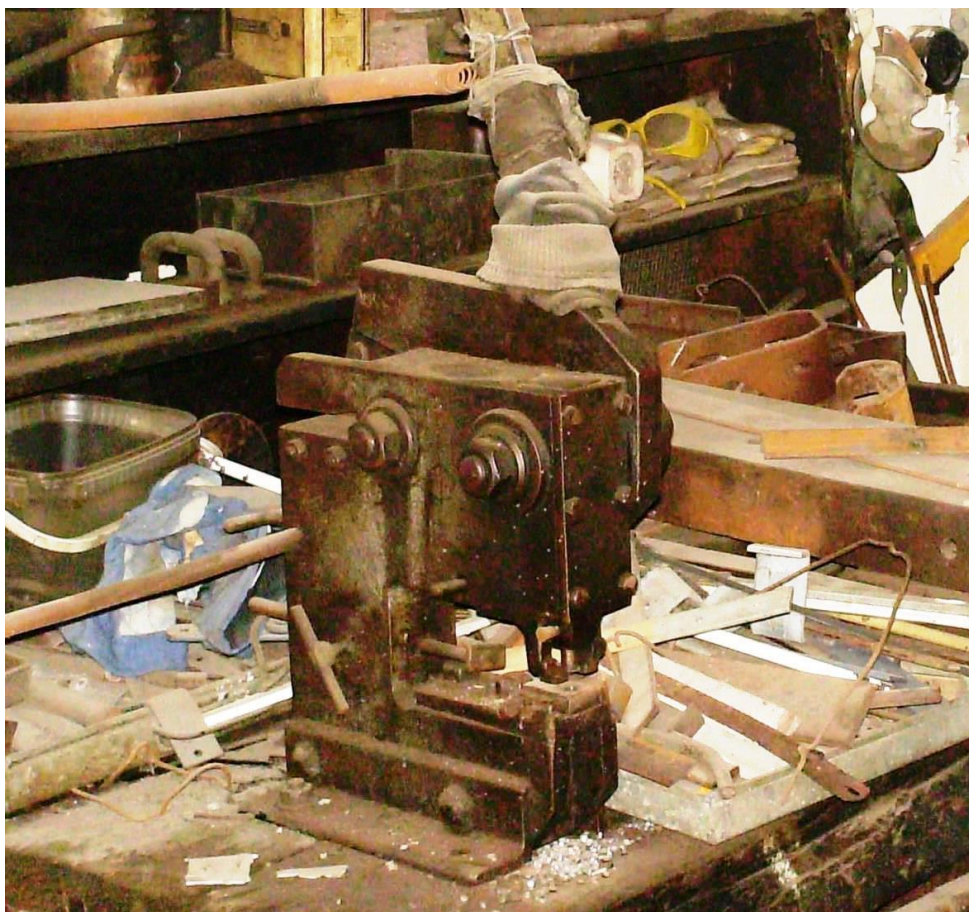
Maszyny Ojca. Wulstmaszyna – do zwijania brzegów blachy. (Foto 2010.08.20)



Maszyny Ojca. Śrubstag – czyli imadło. (Foto 2010.08.20)



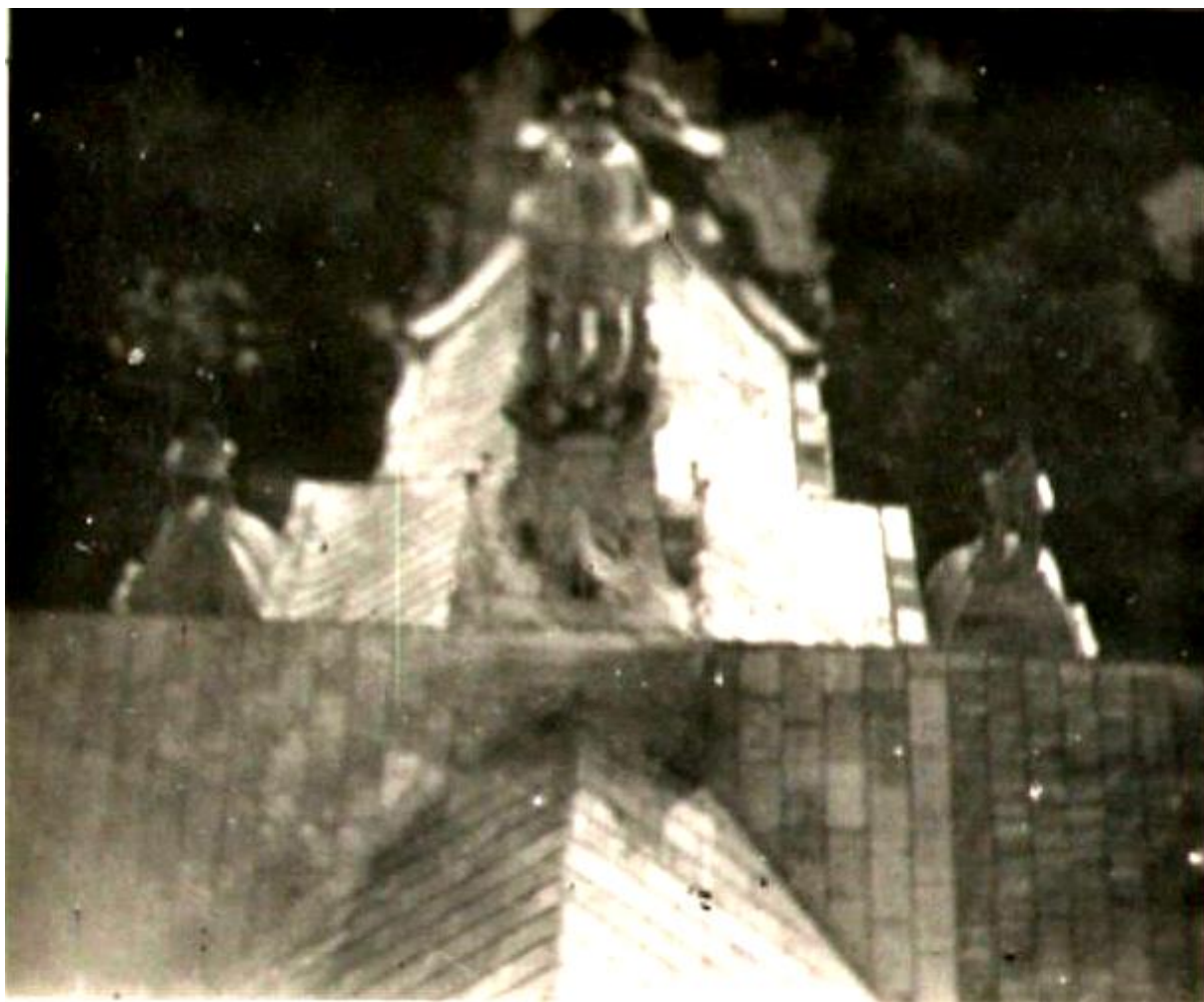
Maszyny Ojca. Bormaszyna – czyli wiertarka. (Foto 2010.08.20)



Maszyny Ojca. Lochmaszyna – do wytłaczania otworów. (Foto 2010.08.20)-



Maszyny Ojca. Zykmasyna – do wytłaczania brzegów blachy. (Foto 2010.08.20)



Jedno z wielu dzieł Ojca. Około roku 1950 pokrył blachą cynkową kościół w Kozieglówkach koło Częstochowy. To jego dawna parafia. Byliśmy tam we dwójkę, pomagałem mu, to moje zdjęcia.



Przez to okienko wychodziliśmy na dach, a potem po gzymsach schodziliśmy niżej.



Kościół w Koziegłówkach, widok obecny. Na brzegu dachu widoczne są drabinki śniegowe, które wówczas zakładaliśmy z Ojcem. (www.it-jura.pl)

Matka zabierała dzieci i wyjeżdżała na całe wakacje. Raz to była wspomniana już uprzednio Sokołówka koło Polanicy – Zdroju. Tam mieszkaliśmy u wesołego gospodarza, który z całej otrzymanej ziemi wydzierzał już tyle, że zostało mu niewiele ponad hektar, a i o tym skrawku przemyślał, lecz nie było już komu podrzucić. Za to miał oryginalną „idée fix” – pragnął jednego tylko, aby co sięgnie do kieszeni, aby była tam zawsze jedna dziesięciozłotówka.



Sokołówka koło Polanicy.

Innym razem była to Czerna koło Krzeszowic. Tu żyliśmy pod wrażeniem tajemniczego klasztoru otoczonego dużym lasem.



Klasztor karmelitów bosych w Czernej koło Krzeszowic.

Jeszcze innego roku byliśmy na Mazańcu koło Olkusza. Stąd docieraliśmy na Pustynię Błędowską, do różnych ruin zamków – w Bydlinie i do innych. Na cmentarzu olkuskim odszukaliśmy grób pułkownika Francesco Nullo, Włocha, który przyłączył się do powstania styczniowego i zginął w bitwie pod Krzykawką koło Olkusza w dniu 5 maja 1863 roku.

To znów kiedyś pojechaliśmy do rodzinnej wsi matki, do Krzepina koło Secemina. Tu poznałem sławną chałupę dziadka górnika i wybetonowaliśmy mu na cmentarzu obmurówkę.



Chałupa dziadka górnika w Krzepinie koło Secemina – 1951 lub 1952 rok.

Byliśmy również na Pazaru koło Rabsztyna. Ojciec do nas przyjeżdżał; czasem raz, czasem dwa razy.

Na Mazańcu spotkało mnie to, co wielokrotnie wyczytywałem w potajemnie przechowywanych dwóch książkach. Jednej autorem był Wołody Skiba (Władysław Sabowski), a nosiła tytuł „Nad poziomy”, drugiej tylko tytuł pamiętam – „Kwiat jabłoni”. Był w nich uchylony rąbek wtajemniczenia w rozkosz obcowania z kobietą. W książkach tych jednak już po kilkudziesięciu stronicach jeszcze nie kobieta, a już nie dziewczyna, wyjeżdża na zawsze, dając przedtem jedynie cień prawa do zbliżenia, a zostawiając reszcie stron samą już tylko tęsknotę młodzieńca.

Gospodyni miała córkę. Trochę pogawędziliśmy, zwyczajnie. Popatrzyliśmy sobie poważnie w oczy. Musiało i tego być za dużo, bo gospodyni zdecydowała się jednak wyprawić na ten czas córkę do mieszkającej gdzieś daleko ciotki. A ja w następnych latach przez wiele niedziel zrywałem się rano, przed siódmą odchodził pociąg w kierunku Olkusza, przechodziłem opodal jej domu, potem długo czekałem na pociąg powrotny i wracałem do domu późnym popołudniem. Za pewien czas znów mnie niosła nadzieja, że może tym razem ją spotkam.

*

Coś dla oka.



Rozdział 20

Odpowiedział Abraham: Bóg sobie obmyśli baranka na ofiarę paloną, synu mój, i szli obaj pospół.

1 Moj. 22.8

Jak napisałem wcześniej, pierwszego dnia wakacji wezwał dyrektor liceum Aleksander Ratyński mojego ojca, a tam oświadczył, żeby ojciec zabierał sobie z liceum swojego syna, bo nie ma miejsca dla kapitalistycznych dzieci w socjalistycznych uczelniach. Zrozumiałem teraz, że była to zemsta za wykonanie przeze mnie plakatu stwierdzającego, że nieprawdą jest, że szkoły teraz są bezpłatne, bo po zestawieniu składek na szereg obowiązkowych organizacji i konieczności wykupywania wielu cegiełek na szczytne cele urosła całkiem pokaźna kwota miesięcznych obciążeń ucznia. W następnym roku miałem zdawać maturę. Był to rok 1950.

Byłem zdruzgotany takim wyrzuceniem mnie z Liceum Prusa w Sosnowcu. Czułem się gorszym człowiekiem. Nie śmiałem odwiedzić kolegów z klasy – przecież byli o tyle lepsi ode mnie, oni byli socjalistycznymi dziećmi, ja nie. Ich ojcowie budowali socjalizm, mój nie chciał się przyłączyć do jedynie słusznego nurtu społeczeństwa. Zapewne podobnie myśleli i moi koledzy, bo żaden nie zajrzał do mnie, choć mieszkali o kilka domów dalej, choć przedtem przychodzili niemal codziennie.

Całe wakacje, zresztą nie pierwsze i nie ostatnie pracowałem z Ojcem na dachach.

Jeszcze jeden drobiazg przypominał mi się po kilkudziesięciu latach. Nasze liceum dostało od władz w prezencie radio. Był to wspaniały prezent, zapewne ważniejszy niż gdyby szkoła dostała na przykład fortepian koncertowy. Piękna drewniana obudowa, na froncie świecąca się skala radiostacji świata, poniżej kilka pokręteł, fale długie, średnie i nawet krótkie. Tu pojawił się poważny problem i to ustrojowy – radio to mogło odbierać również Londyn z ich wrogimi audycjami dla Polaków. Ratyński wezwał ojca i zażyczył sobie, aby ten wykonał blaszaną skrynkę, w której będzie się zamykało na kłódkę to radio. Ojciec wykonał w pudle otwór, przez który było widać tę podświetloną skalę nastawień radia. Niestety, przez ten otwór można było jednak wsunąć palce i manipulować pokrętłami. Ratyński znów wezwał ojca i kazał tam w tym otworze dolutować jeszcze poziomą blaszkę uniemożliwiającą sięganie do pokręteł. Takie to były czasy, taki to był komunistyczny dyrektor – troskliwy wychowawca socjalistycznej młodzieży.



Na tym gmachu położonym przy ulicy Sienkiewicza w Sosnowcu pomagałem ojcu przy wymianie blachy na gzymsach, przy zakładaniu nowych rynien, wykonaliśmy pas z blachy wzdłuż całej dolnej partii dachu.



Na tym zwanym „dużym kościele” przy ulicy Kościelnej w Sosnowcu (dziś katedra) pracowaliśmy z ojcem. Zakładaliśmy wzdłuż całego gzymsu metalowe drabinki, które miały zabezpieczać przed zsuwaniem się śniegu i niszczeniem rynien. Zawiesiliśmy też dodatkowe lampy elektryczne dla oświetlenia wnętrza kościoła. Lampy znajdowały się parę metrów nad posadzką, od nich biegła pionowo w górę bardzo długa linka, przechodziła przez otwór znajdujący się w najwyższym punkcie sklepienia i dopiero tu pod dachem była umocowana. Sklepienia od strony poddasza wyglądały niepewnie, jednak wpelzałem raz po raz na ich wybrzuszenia, aby zajrzeć przez te otwory do wnętrza kościoła. Dodatkowy dreszczyk powodowała świadomość, że pode mną sklepienie ma tylko kilkanaście centymetrów grubości.

Ojciec zdradził mi sekret pobielania naczyń metalowych. Znali go Cyganie i zawsze roznosili swoje pięknie białe w środku, błyszczące patelnie. Takie pobielanie czyniło naczynia wielce przydatnymi do smażenia czy gotowania. Tajemnica polegała na tym, że trzeba było roztopić czystą cynę, mówiło się – angielską, i tę roztopioną cynę trzeba było wlać do filcowego kapelusza. Na skutek intensywnego potrząśnięcia cyna w kapeluszu rozbijała się na coraz mniejsze jednostki, aż robił się z niej szary, bardzo drobny proszek. Teraz należało przygotować naczynie do pobielania: podgrzewało się go silnie, następnie szybko trzeba było wewnątrz naczynia dobrze przetrzeć kwasem solnym i jeszcze szybciej należało wewnątrz dokładnie posypać tym cynowym proszkiem. Ale to nie koniec operacji. Teraz to nadal bardzo gorące naczynie należało dokładnie

przetrzeć pakułami i przy każdym pociągnięciu pakul naczynie zaczynało błyszczeć jasną cyną. Wykonywałem kilkakrotnie z ojcem takie pobielanie.

Ojciec wykonywał i inne sekretne sztuczki z obrabianym metalem. Robił na przykład z blachy cynkowej piękne polewaczki do kwiatów. Polewaczka ojca musiała być eliptyczna, wzdłuż powierzchni miała ładne wygniecenia na specjalnej maszynie, z wierzchu przykrycie też musiało być specjalnie wykrępowane, nie mogło być płaskie. Nawet sitko, przez które wylewała się woda, musiało być eliptyczne i wypukłe. Do tego dochodził wspaniały, kolisty wygięty pałąk służący do trzymania polewaczki. To ojciec robił następująco: najpierw związał z blachy odpowiednią rurkę, lutował ją, zatykał jeden koniec i do środka rurki wsypywał bardzo mocno rozgrzany piasek. Teraz rurka pozwalała się wygiąć w piękny łuk, a wypełniający ją piasek nie pozwalał na odkształcenie kolistego przekroju rurki. Ojciec lubił takie prace, a wszystko wykonywał ręcznie, posługując się przemyślnymi przyrządami i szablonami.

Ojciec wykonał jedną z pierwszych w Polsce mechaniczną pralkę do bielizny – gdzieś usłyszał, pomyślał i natychmiast zrobił. Pralka ta przez kilkadziesiąt lat służyła w domu rodziców.

Pracowałem z ojcem, ale równocześnie wiele myślałem nad swoją paskudną sytuacją.

Za przykładem swojego drużynowego, który przecież dotarł do Anglii, próbowałem uciekać z Polski. Wymyśliłem ucieczkę samolotem. Dotarłem nawet pod katowickie lotnisko, widziałem stojące za siatką samoloty Dakota. Jednak nie wiedziałem, jak postąpić dalej.

Po wakacjach poszedłem do Państwowych Szkół Budownictwa w Bytomiu. Bytom mnie zaskoczył. Prawie sami Lwowiacy, a reszta Ślązoki. Na dodatek piłki nożnej, którą żyłem przez całe lata w Sosnowcu, tu chyba nie znali, a już na pewno w szkole nie uprawiali. Za to poznałem koszykówkę, siatkówkę i piłkę ręczną – szczypiorniaka.



Państwowe Szkoły Budownictwa w Bytomiu przy ulicy Powstańców Śląskich 10. (Foto MS 1952)

Zaraz na początku miałem znamienny kontakt z lwowskim profesorem polskiego, doktorem Wolańczykiem.



Doktor Wolańczyk

Na pierwszej lekcji zrobił klasówkę, której temat brzmiał: „Dlaczego wybrałem tę szkołę?” Napisałem tak po prostu, jak do tego doszło. Miałem wielkie ambicje i wspaniałe plany. Niestety, droga się przede mną zamknęła. W spokoju rodzinnego domu zauważyłem, że nasza rodzina od świtu do nocy budownictwem żyje. Już tyle wiedziałem o budownictwie i w dodatku starszy brat już wcześniej wybrał tę szkołę. Wziąłem więc przykład z ojca i brata.

W zwróconym zeszycie zobaczyłem piękną piątkę. Profesor kazał poprawić błędy i długo chodził po klasie, a gdy mnie wreszcie zidentyfikował, poważnie powiedział:

– Widzisz teraz, że w tak zwykłych sprawach i w tak prostych słowach można zawrzeć prawdziwe piękno. A taka piątka jest u mnie wielką rzadkością.

Starszy, nobliwy pan, niewielki, w binoklach, ale jakże wykladał literaturę. Byliśmy urzeczeni. Wykłady z gramatyki, ortografii i interpunkcji, jako nieobowiązkowe, miał w auli szkolnej. O przecinku potrafił tak zachwycająco mówić, że przychodziła cała szkoła wraz z profesorami. Tak to moja klęska wyszła mi na dobre. Dla profesora Wolańczyka warto było zmienić szkołę.

Lubiłem budownictwo; jakież to zaszczytne posłannictwo móc budować. Tymczasem uczyłem się różnych połączeń ciesielskich – teoretycznie i praktycznie. Szczególnie wspaniały był stary Strużyna, uczył mularki. Pouczał: „Dobry mularz raz się schyli, a zły musi trzy razy”. A regułą na murowanie było: „Nie śmisz zeńś, nie śmisz przeńś, wirch sznura – wirch cegły – dwa milimetry luz. Warstwę musisz tak równo położyć, co byś mógł po ni gołą dupą trzeć. Jo budował województwo w Katowicach. Wszystkie węgły jom zrobiół”.

Tacy to wspaniali byli wówczas nauczyciele.

Nauka szła mi łatwo, wszak byłem wdrożony w liceum do rozwiązywania większych problemów. Toteż brałem bardzo aktywny udział w samonauce. W domu pomagałem pięciu kolegom, a w Bytomiu dalszym sześciu. Bardzo wypełniało mi to czas, aż matka mówiła:

– Czy nie powinieneś pomyśleć i trochę o sobie? Przecież nie możesz być całkowicie dla innych.

Uważałem, że tak trzeba, a wyjaśniłem krótko:

– Mamusiu, przecież to Polacy.



Wspólna nauka u nas w domu – (Foto MS 15.05.1953 r.)

Pracowałem dużo społecznie. Tu, jak i poprzednio w liceum, wszyscy należeli do Zetempe (Związek Młodzieży Polskiej). Przesypywałem raz zboże w składzie, aby nie zaparowało. Brałem udział w spisie ludności autochtonicznej. Wchodziło się do mieszkania i pytało się między innymi:

- Czy jesteście Niemcami?
- Nie, my Ślązoki.
- A więc jesteście Polakami.
- Nie, my som, panie, Ślązoki.

A przede wszystkim wiele razy pracowałem na kopalniach. Gdy panowała grypa wśród górników lub gdy było krucho z planem, sięgano po młodzież.

(Dziś już trzeba wyjaśnić, że w kraju wszystko musiało być zaplanowane, wszystko miało plan miesiąca, kwartału, roku. Te plany były dokładnie śledzone, były najważniejszymi wydarzeniami, radio i gazety tylko o planach mówiły, pisały. Wykonanie planu, a zwłaszcza przekroczenie planu było powodem publicznej dumy. Niewykonanie planu formalnie nie istniało, o tym się nie trąbiło, bo albo w ostatnim okresie po cichu zmniejszało się plan i znów był wykonany, albo robiło się z tego państwową aferę o szkodnikach państwa i ich się z pasją ujawniało i niszczyło. Przez kolejne dziesięciolecia utrwalił się proceder gospodarczy polegający na podwójnym planowaniu. Każdy dyrektor przedsiębiorstwa zgłaszał do swojego zjednoczenia zaniżone moce produkcyjne i proponował zaniżony plan do wykonania – to jest taki, o którym był pewny, że będzie wykonany. Podobnie zjednoczenie zostawiało sobie niezbędne rezerwy i do ministerstwa zgłaszało zaniżoną propozycję planu, którą bez nadmiernego oporu ministerstwo przyjmowało, bo też nie chciało mieć wpadki i premierowi zgłaszało zaniżone możliwości. Premier też chciał być kryty i co robił? Też zaniżał plan. W ten sposób plany zawsze były wykonywane i to nawet przekraczane). O tym można by wiele, ale wróćmy do kopalni w moich latach 1951-1953.

Na kopalniach pracowaliśmy tylko w niedziele, bo w pozostałych dniach trzeba było się uczyć w szkole. W sobotę nocowałem u któregoś miejscowego kolegi, by przed szóstą rano być już na kopalni.

Dostawaliśmy ubrania, hełmy, karbidówki i zjeżdżaliśmy na dół. Potem prowadzili nas długo chodnikiem, wreszcie w najmniej spodziewanym miejscu, gdzie z dziury w omurowanym chodniku wystawał transporter, kazano nam tam włączyć, więc włączyliśmy. Długo na czworakach pięliśmy się pod górę wzdłuż transportera, aż dochodziliśmy do przodka. Tam już dało się stać.

Górnicy zaczęli przygotowywać do odstrzału, więc jeden zabrał nas na inny chodnik obok. Pokazał nam chodnik wysokości około jednego metra i kazał wynosić stamtąd leżące tam deski za luzną obudową. Więć wyciągaliśmy na czworakach i bylibyśmy wywlekli wszystkie, ale nadszedł sztygar i cholernie opierunił górnika. Krzyczał i pytał:

– A som byś tam wloz mamlasie?!

Okazało się, że chodnik ten groził zawaleniem i nie wolno było tam w ogóle wchodzić, tyle że naszemu górnikowi żal było tych desek.

Wróciliśmy więc na poprzednie miejsce, a tam już kończono zakładanie ładunków. Wycofaliśmy się wszyscy za załom chodnika i posiadaliśmy wśród brył węgla. Starszy górnik zawiadomił: – terazki jebnie. – Jebnęło; wszystkie karbidówki zgasły; i jeszcze raz, i jeszcze parę razy. Teraz włączono wentylację wyciągającą pył i czad po odstrzale. W tym czasie tylko ten wentylator musiał pracować, a my się porozwalali, gdzie kto mógł; jakże było miło.

Jeszcze widać było jak przez mgłę, gdy znów poszliśmy na przodek, włączono taką rynnę stalową, która leżała na węglu i motorem posuwała się, a właściwie drgała do przodu i do tyłu – w ten sposób podawała urobek na transporter. Dostałem taką olbrzymią, w kształcie serca łopatę, a przez górników zwaną babską dupą, i polecono mi: – ciep! pierunie!

Więć ciepłem, ile sił starczyło. A byliśmy rozebrani do pasa – tak było ciepło. Gdy przyszła druga po południu, zakończyliśmy fedrowanie. Teraz powrót był błyskawiczny. Górnicy dali przykład. Trzeba było rzucić się na pędzący transporter i leżąc na brzuchu głową w dół trzymać przed twarzą karbidkę. Widziało się przed sobą taki rząd biegnących w dół płomyków. Nagle zaczęło ich z przodu ubywać – to górnicy spadali na następny transporter.

Za to mycie w łaźni było bardzo draczne. Mył się człowiek pod prysznicem bardzo długo, wreszcie oceniał, że się domył i wyłaził. A tu po chwili skądś zaczynała płynąć po ciele stróżka czarnej mazi. Więć mycie od początku.

Słyszę, że teraz górnictwo zrobiło duży postęp.

Brak słońca i tyle set metrów ziemi nad głową czyni z górnictwa najtrudniejszy zawód.

W czasie wakacji mieliśmy miesięczne praktyki na budowie. Stąd też w 1951 roku pracowałem w Hucie Ferrum w Bogucicach przy budowie hali walczaków grubościennych, a w 1952 roku w Chorzowskich Azotach przy budowie rozdzielni prądu i olbrzymiego fundamentu pod angielski kompresor.

Poza tym jeden z nauczycieli uprawiał działalność plastyczną częściowo dla szkoły, ale w większości na zlecenie różnych instytucji. Dobrał sobie paru sprytniejszych uczniów, w tym i mnie, i wycinaliśmy mu litery z brystolu, a dokładniej z niepotrzebnych rysunków uczniowskich, wykonywaliśmy dekoracje we wskazanych miejscach. Był to dziwny proceder, zwłaszcza, że zwalniano nas z lekcji. Na dekorację stadionu w Zabrze zabrał nas nawet na parę dni.



Dworzec kolejowy w Bytomiu, 2009 rok.

W kilku do szkoły dojeżdżaliśmy codziennie pociągiem z przesiadką w Katowicach. Do Bytomia przyjeżdżaliśmy dziesięć po ósmej, wstępowaliśmy na piwo w barze dworcowym, a potem przez cały Bytom szliśmy do swej szkoły. Ale tuż przed szkołą był kościół świętego Jakuba i miał wspaniałe organy, więc wstępowaliśmy choć na trochę, by posłuchać.



Nasza droga z dworca do szkoły – Plac Słowiański, kościół św. Jakuba, a dalej nasza budowlanka.

Tak więc z zasady wchodziliśmy do klasy pod koniec pierwszej lekcji. Za to powrót był błyskawiczny. Potrafiłem tę drogę przejść w dwanaście minut, aby zdążyć na pociąg.



Droga powrotna ze szkoły do widocznego w głębi dworca kolejowego. Dawniej pośrodku była jezdnia.

Do domu przychodziłem dopiero po szesnastej, obiad, nauka z kolegami, a właściwie uczenie kolegów, na własne lekcje nie starczało siły, więc przed ósmą spać, by około północy wstać i pouczyć się do drugiej. I znów spać. Jakże ciężko było wstać przed szóstą rano, by zdążyć na pociąg. Raz na peronie usnąłem na stojąco, nogi się podę mną załamały.

W pociągu przeważnie był wielki tłok. Do Katowic nierzadko trzeba było jechać na stopniach lub buforach między wagonami. Wagony ówczesne miały wejście zewnętrzne do każdego przedziału i to po obu stronach wagonu. Wzdłuż całego wagonu był stopień, a przy drzwiach poręcze dla trzymania się, toteż wielu niemogących wejść do przedziału wisiło na zewnątrz na tym stopniu, czasem obejmując go wisił jeszcze za nim ktoś drugi, a nawet trzeci. Oni obaj trzymali tego pierwszego, wszyscy starali się nie spać. Tylko raz zdecydowałem się na taką jazdę na stopniu wagonu. Musiałem utrzymać dwóch przede mną i jeszcze teczkę z książkami, już myślałem, że nie wytrzymam i odpadnę na tory, ale jakoś ostatkiem siły i woli dojechałem do następnej stacji.



Wagony kolejowe, którymi jeździłem w latach 1951-1953. (Foto flog.pl)



Wagony kolejowe (bydłce), którymi jeździłem w latach 1951-1953. (Foto flog.pl)

Najczęściej jeździło się w bydlęcych wagonach. Tu wszyscy stali, nie mieli się czego trzymać, ale się nie przewracali – taki był i tu tłok. Ten ścisk przydał mi jednego doświadczenia. Raz przypadkowo znalazłem się za jakąś kobietą. Była to dojrzała kobieta, ale w pełni młoda. Musiała poczuć me drżenie, bo przylgnęła do mnie całym swym ciałem, od ud aż po włosy. Tak bez najmniejszego ruchu poczułem smak kobiety. Zyskałem zaspokojenie i zaskakujące doświadczenie, że kobieta też może wyjść na przeciw, że też podobnie odczuwa, a więc stosunek płciowy nie jest jednostronną kradzieżą i zbezczeszczeniem godności kobiecej. Nie uwłacza kobiecie. Więc czegoż mnie uczono? Co tyle książek usiłowało mi wmówić?

Sytuacja taka już się niestety nigdy nie powtórzyła, a mimo że już teraz sam prowokowałem takie sytuacje, spotykałem się z odruchem obrazy i pogardy. Zaliczyłem więc ten jedyny przypadek do dziwnych wyjątków i znów wróciłem do pierwotnych przekonań o uduchowieniu kobiety i do wyniesionych nauk, że to ma prawo zdarzyć się jedynie między małżonkami, to jest koniecznie po ślubie. Wszystko inne jest występne, dotyczące wyrzutek społeczeństwa, jest bardzo ciężkim grzechem.



Kryśka Katuszewska

W klasie naszej była taka Kryśka Katuszewska, też dojeżdżała, tyle że z Katowic. Wiele przebywaliśmy razem, oczekiwała pomocy w nauce. Raz za razem musiałem jej coś tłumaczyć z wykładu. Ona nawet znalazła na mnie sposób, twierdząc, że mówię nieprawdę. Ja zaperzałem się i jeszcze bardziej gorliwie tłumaczyłem jej arkana konstrukcji, ale do czasu. Wreszcie zorientowałem się w podstępie i odpowiadałem, skoro wiesz lepiej, to niech tak zostanie. Dziwne, że nie było między nami żadnego zbliżenia. Ona nie prowokowała, ale jej pogoda wskazywała, że nie byłaby przeciw. Ja jednak miałem tak idealny obraz i wymagania od tej przyszłej jedynej, że Kryśka nie wchodziła w rachubę. Przepraszam ją dziś za to.

Bardzo dużo czasu zajmowała mi działalność zetempowska. Byłem jednym z aktywistów. Angażowano mnie w organizowanie wielu spraw. Nawet byłem na specjalnych kursach. Jedne świąteczne ferie spędziłem na kursie dla aktywistów w Bielsku. Zapamiętałem stamtąd piosenkę, której fragment był taki:

– i z Anglii, czy to z Włoch,
robotnik, czy to chłop,
tu buduje Polski ludu syn.
I oczywiście łupu cupu, łup cup cyk
aktywiście nie dorówna nikt.

Śpiewaliśmy również:

Znów się pieśń na ustach rwie,
Espe, hej espe.
Nierozłączne siostry dwie
Młodzież i espe.
Szumem wabi morza siny brzeg,
Wzywa pieśń Warszawy.
Rytmem łopat rozdzwonimy wnet
Piaستowskie szlaki sławy.
Nie lęka się pracy nie,
Espe, hej espe.
Bo swą przyszłość widzi w niej.
Espe, hej espe.
Razem z nami fundamenty kładź
Pod gmach Polski nowy.
Maszeruje rozśpiewana brać
W przyszłości świat tęczyowy.
Zmiata zgniłych czasów pnie
Espe, hej espe.
Znika wyzysk, ból i gniew,
Gdzie idzie espe.
Służba Polsce święty sztandar nasz,
Celem dobro ludu
I nad Odrą czujnie trzymać straż,
Pracy dokonać cudów.

(SP – Służba Polsce – organizacja skupiająca junaków do pracy na budowach po roku 1945).

Ale śpiewaliśmy, a właściwie kazano nam śpiewać pieśni pozornie młodzieżowe, znamienne, groźne, odkrywające cele komunizmu zawładnięcia całym światem:

Ani góry wysokie, ani morza głębokie
Nie wstrzymają pochodu przyjaźni.
Przez walczące krainy
Idą chłopcy, dziewczyny,
Idą silni, promienni, odważni.

Refren

Stań razem z nami. Dotrzymaj kroku.
Splata nam ręce braterska więź.
Wygramy walkę o trwały pokój.
Wrogom wolności wzniesiona pięść.

Dalej młodzi Słowianie, dalej Grecy, Hiszpanie.
Młody Chińczyk do marszu powstaje.
Wnet dołączą tu inni, czarni bracia z Wirginii,
Bohaterscy pośpieszą Malaje.

Refren.

W czasie tego kursu, w wolnej chwili wieczornej udało mi się pójść samotnie do teatru na „Grube ryby”, w których wówczas grał w Bielsku Ludwik Solski.



Ludwik Solski

Zresztą kontakt z kulturą miałem wówczas duży. W katowickim teatrze Wyspiańskiego zobaczyłem bardzo młodego Gustawa Holoubka w bardzo poważnej roli.

Zaś w bytomskiej Operze królowali Majak i Hiolski, a jakież opery wystawiali!



Antoni Majak (bas)



Andrzej Hiolski (baryton)

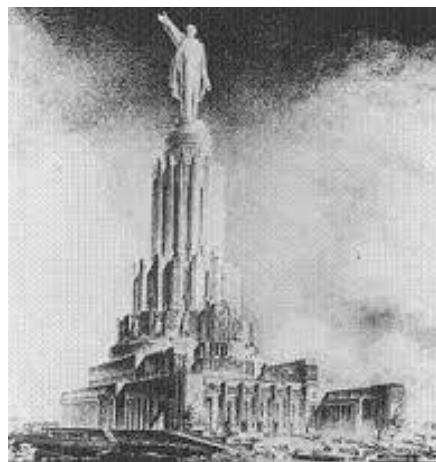


Opera Śląska w Bytomiu.

Dziś się dziwię, skąd brałem czas na to wszystko, bo przecież nazwa aktywisty zetempowskiego bardzo zobowiązywała, choć raczej miałem szereg kardynalnych potknięć.

Profesor, inżynier, wykładający rysunek techniczny, chciał przekazać nam pojęcie skali ludzkiej, bardzo ważnej w architekturze; musiał sięgnąć po przykłady, kiedy coś nie jest w skali ludzkiej. Mówił, że jeżeli z daleka zobaczymy klamkę w drzwiach, to jednoznacznie wiemy, na jakiej jest ona wysokości – stąd możemy ocenić wielkość całego obiektu. Grecy w Partenonie zastosowali psychologiczny chwyt – podbudowali tę świątynię kilkoma stopniami obiegającymi ją dookoła. Stopnie te mają wysokość powyżej pół metra, stąd świadomie uzyskali wrażenie, że świątynia wydawała się być mniejszą, niż była w rzeczywistości. Grecy nie znosili gigantomanii.

Obecnie Rosjanie postanowili wybudować pomnik Stalinowi – ogromny, sama postać Stalina ma mieć około siedemdziesięciu metrów wysokości. Ustawienie tak wielkiej postaci gwałci wszelkie zasady o skali ludzkiej.



Profesor, mówiąc to wszystko, robił szkicowe rysunki kredą na tablicy. Były to nie rysunki przecież, a znaki punktujące logiczny rozwój myśli wykładu. Na swe nieszczęście, bezwiednie postać Stalina zamarkował jakimś takim zygakiem.

A w klasie dziwnym trafem uczyło się dwóch znacznie starszych od nas, o nazwiskach Zenon Czosnek i Piotr Lis, byli członkami partii. Pod ich wodzą zawrzeliśmy. Jak można generalisimusa Józefa Stalina – świętość naszych narodów – tak spostonować? Członkowie partii poszli z oficjalną skargą do dyrektora szkoły, kategorycznie żądając usunięcia takiego nauczyciela ze szkoły. Wszak nie może ktoś taki uczyć socjalistycznych dzieci.

Profesorowie próbowali załagodzić ten skandal. Jeden nawet odważył się przyjść do naszej klasy i po kolei, wobec wszystkich, pytał każdego z nas, czy rzeczywiście obraźliwie odebrał ten rysunek. I wszyscy, po kolei wypowiadaliśmy się za usunięciem nauczyciela ze szkoły. Miałem autorytet, więc sięgnął po ostatnią deskę ratunku i zapytał o moje zdanie. Opowiedziałem się za wszystkimi, choć to on nauczył mnie kreślić rysunki techniczne. Nauczyciela wyrzucono.

Za swą aktywność awansowałem. Powołano mnie na sekretarza szkolnego koła ZMP. Funkcja ta, poza oczywistymi, miała jedną nader ciekawą cechę. Wolno mi było, bez zdawania komukolwiek sprawy, nie być na lekcjach. Członkowie zarządu urzędowali w specjalnym pokoju ZMP. Mogłem tam pójść i też siedzieć. Ale nie chodziłem wcale, za bardzo lubiłem lekcje. Za to czułem, że coraz bardziej nie lubią mnie pozostali członkowie zarządu. Moja funkcja zresztą była niewielka. Sekretarz wówczas był zwykłym sekretarzem. Protokołował zebrania i pisał sprawozdania dla Miejskiego Zarządu ZMP.

Któregoś dnia uczennica innej szkoły, a działaczka Miejskiego Zarządu ZMP, wywołała mnie z klasy i zapytała, dlaczego nie podałem comiesięcznego meldunku o wzroście szeregów. Tłumaczyłem się, iż wielokrotnie pytałem przewodniczącego, ale mi jeszcze nie podał, czy kogokolwiek przyjął do organizacji. Koleżanka ta powiedziała frywolnie:

– Kolego, pomyślcie chwilę i napiszcie.

Nie podobało mi się to, więc dodała:

– Przecież nikt nas nie widzi. U nas też tak niektórzy robią.

Napisałem więc na gotowym formularzu o trzy osoby więcej niż w poprzednim meldunku. Ona wzięła meldunek i w tym samym frywolnym tonie zaznaczyła:

– Och, to wyście, kolego, tacy? Policzymy się.

Myślałem, że żartuje i śpiesznie wróciłem do klasy.

Nadeszła niebawem konferencja sprawozdawczo-wyborcza Szkolnego Koła ZMP. W największej sali zrobiliśmy dekorację polityczną, stół prezydialny, poustawialiśmy wiele stołów i krzeseł rzędami prostopadłe do prezydium, nakryliśmy je zielonym sukniem, a na stołach postawiliśmy oranżadę.

Konferencję skwapliwie protokołowałem. Konferencja omówiła poziom nauczania w szkole i podłoże polityczne poszczególnych profesorów. Dała wytyczne do zmian w programie nauczania. Omówiono po kolei działalność wszystkich kół klasowych i nagle przewodniczący zaczął omawiać niedociągnięcia w pracy Zarządu Szkolnego. Opisał to na mojej sprawie. Ja, zgodnie z zasadami, złożyłem samokrytykę, ale z funkcji sekretarza odwołano mnie.

Konferencja skończyła się po północy. Do domu dotarłem przed drugą w nocy, a o siódmej rano znów jechałem do Bytomia. Toteż na dużej przerwie nie wytrzymałem i położyłem się na leżących płaszczach w ostatniej ławce. Momentalnie zasnąłem.



Ławki wówczas były takie, że pochyły stolik dla dwóch uczniów był połączony poprzeczką z ławką do siedzenia i na tych ławkach do siedzenia kładliśmy nasze palta, bo nie było szatni. W tej sytuacji, gdy się położyłem, to mnie prawie nie było widać.

Przerwa się skończyła, koledzy mnie nie obudzili. Wszedł nauczyciel, szybko mnie zauważył i zażądał wyjaśnień od kogoś z klasy. Ten powiedział o konferencji. Nauczyciel zaskoczył wszystkich. Poleciał cicho się zachowywać i sam cicho prowadził lekcję. O wszystkim dowiedziałem się z przerażeniem na następnej przerwie, gdy po wyjściu profesora wielu rzuciło się, by mnie budzić.

Jak już wspomniałem, w klasie mieliśmy dwóch członków partii. Wiekiem wyraźnie odbiegali od nas i stanowili kierownictwo polityczne, to znaczy nic w klasie nie mogło się odbyć bez ich aprobaty bądź polecenia.



Jurek Machalski

I właśnie im podpadł jeden z bardzo dobrych uczniów w klasie (Jurek Machalski). W ogóle nie chciał pomagać w lekcjach innym. Był zdecydowanie aspołeczny. Później się nawet z nim zaprzyjaźniłem, bywałem u niego w domu. Mieszkał tylko z ojcem, a w mieszkaniu, jak mało było mebli, to tak straszliwie dużo było książek – w przeważającej większości perskich. Pokazywał mi, jak tytuł jest na ostatniej stronie i że czyta się od prawa do lewa. Wyjaśniał niektóre znaki.

Musiało chłopaczysko mieć wiele własnych problemów. Wówczas tego nawet nie przeczuwałem i gdy jeden z naszych przywódców zakomunikował mi, że egzekutywa sobie nie życzy, aby ten był w ZMP, zapytałem tylko, jak postąpić w kwestii odwołania się do instancji zwierzchniej przez zainteresowanego. Mój rozmówca tylko prychnął:

– Jaka instancja zwierzchnia? Przecież ci mówię, że egzekutywa postanowiła. Ma być wyrzucenie z organizacji bez prawa do odwoływania się.

Wierzyć się nie chce, ale zrobiłem zebranie koła klasowego, omówiłem aspołeczną postawę wskazanego, klasa przegłosowała skreślenie z listy członków, a ja wykończyłem stwierdzeniem, że decyzja jest ostateczna i nie przysługuje od niej odwołanie się.

Nasz wyrzucony wcale nie oponował, ale widać sądził inaczej, bo w parę dni później w „Sztandarze Młodych” na pierwszej stronie wyczytałem artykuł pod tytułem „O łamaniu demokracji wewnątrzorganizacyjnego”.

Było mi bardzo głupio. Nawet nie umiałem wyciągnąć wniosków dla siebie z tego wydarzenia. Czułem tylko, że co bym nie powiedział, była to moja wina.



Bytom, PSB, klasa Mariana Sokołowskiego, 1953 rok.

*

Coś dla oka.



kwiatki Zosi Sokołowskiej
Haarlem - 2006.04.16

Rozdział 21

*Położył tedy sługa rękę swoją pod biodro Abrahama,
pana swego, i przysięgał mu na to.*

1 Moj. 24.9

Rzeczywistość otaczająca nas szybko się radykalizowała. Naród był atakowany totalnie i groźnie – chorował. Dla zrozumienia tamtych czasów niech nam posłuży analiza głównych wypowiedzi przywódców partyjnych, którzy jednoznacznie już teraz przedstawiali swe poglądy, dokonania i zamiary. Bez pardonowe rozprawianie się z wszelkimi przeciwnikami sięgnęło nawet szczytów komunistycznego kierownictwa politycznego. Nikt, dosłownie nikt nie był pewny swego jutra. Każdy z nas na swój sposób usiłował znaleźć receptę na trwanie. Zamarła szczerłość. Resztki skołatanych i poobijanych moralnie umysłów nie znajdowały podparcia w nikim. Dosłownie nie było w kraju nikogo, kto by śmiał głosić co innego, niż chciał reżim, nikt jawnie się nie sprzeciwiał. Nie było żadnej opozycji. Żaden znajomy, nauczyciel czy ksiądz nie śmiał dać oparcia zagubionemu narodowi. To był strach. Unikaliśmy wypowiedzi, a gdy nie można jej było uniknąć, mówił każdy to, czego od niego oczekiwano. Nawet w domu unikało się tych niebezpiecznych tematów – nawet tu ćwiczyliśmy zakłamanie. Była to podówczas jedyna obrona – mądrość trawy. Najbardziej niestety była narażona polska młodzież, na którą reżim uderzył ze zdwojoną siłą propagandy komunistycznej, te młode umysły przechodziły pranie myśli codziennie przez kilka godzin pod szczytnym hasłem szkoły – wychowywania i nauczania.

Towarzysz Bolesław Bierut – Przewodniczący Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – na trzecim plenum KC PZPR w dniach 11 - 13 listopada 1949 roku powiedział między innymi:

(są to fragmenty jego referatu)

„Na drodze swego wzrostu partia, która ma za sobą tak wiele osiągnięć, napotyka również na szereg trudności i niebezpieczeństw, które musi widzieć, aby je skutecznie przełamywać i usuwać. Partia wypełnia swe zadania w warunkach zaostrzającej się walki dwóch przeciwstawnych sobie frontów klasowych. Walka ta przenika dziś ze szczególną siłą zarówno stosunki międzynarodowe jak i całe nasze życie wewnętrzne. Wymaga ona od całej Polski, od każdego jej ogniwa i od każdego jej członka przenikliwości i czujności.

Najbardziej ważkim faktem jest dalszy i nieustanny wzrost siły gospodarczej i politycznej Związku Radzieckiego. W przeciwieństwie do rozhisteryzowanej, awanturniczej polityki amerykańskiej – imponująco prezentuje się olbrzymi dorobek gospodarczy ZSRR. W przeciwieństwie do olbrzymiego marnotrawstwa środków w gospodarce kapitalistycznej – musi imponować olbrzymi dorobek nauki radzieckiej.

Ostatnie miesiące przyniosły całkowite zdemaskowanie zbrodniczej nacjonalistyczno-faszystowskiej klikki Tito i haniebny krach jej planów spiskowych snutych z polecenia amerykańskich podżegaczy wojennych. Budzi to na całym świecie rosnące protesty i oburzenie milionów ludzi pracy. Kraje europejskie, włączone w obroźę tak zwanego planu Marshalla, już obecnie odczuwają na sobie skutki rabunkowej „pomocy” Stanów Zjednoczonych.

Z przykładu jugosłowiańskiego wynika konieczność zwiększenia czujności wobec prowokujących posunięć i akcji dywersyjnej imperializmu. W ciągu kilku ostatnich miesięcy kierownictwo partyjne zajmowało się sprawdzaniem niektórych najważniejszych odcinków naszego aparatu państwowego. Okazało się, że brak czujności i odporności na nie zawsze dobre wpływy otaczającego środowiska są często aż zatrważające.

Wygodnictwo, dygnitarskie narowy, nieczułość na kłopoty i troski prostego człowieka, wszystkie te objawy dają się zaobserwować u niektórych towarzyszy. Samospokojenie minionymi sukcesami własnymi czy ogólnymi, zarozumiałstwo, bufonada, zamykanie oczu na wrogą działalność – cechy te rodzą się nawet wśród części naszego górnego aktywu. Jest to zatracenie odporności ideowej w prowadzonej walce klasowej.

Wystarczy zanalizować nieco wnikliwiej nasze specyficzne polskie warunki, aby dojść do wniosku, że niebezpieczeństwo dywersji szpiegowskiej, sabotażowej, spiskowej, terrorystycznej i wszelkiej innej ma u nas zarówno subiektywne jak i obiektywne głębsze podłoże. Obiektywną głębą jest fakt wchłonięcia przez nasz aparat państwowy dużego liczebnie bagażu nawet kierow-

nicznych, starych kadr urzędniczych. Stare kadry wytrawnych „dwójkarzy” sanacyjnych, informatorów, konfidentów i szpicli z osławionej defensywy nie tylko nie zostały wymiecione poza burzę naszego życia społecznego, ale rozlały się szeroko po kraju i nawet zaopatrywały dość skwapliwie w legitymacje organizacji demokratycznych, nie wyłączając niestety i naszej partii. W ciągu ostatniego okresu nasze organa bezpieczeństwa wyłowiły pewną, dość znaczną liczbę tych typów, ale ileż ich jeszcze tkwi pod zmienionymi nazwiskami i dobrze zamaskowanym przykryciem, służąc gorliwie obcym wywiadowi swymi kunsztownymi kwalifikacjami.

Ślepotą i niewybaczalną oportunistyczną niefrasobliwość polityczną występuje niezwykle jaskrawo w stosunku do naszych towarzyszy wypełniających odpowiedzialne zadania w partii, do grupy starych „dwójkarzy” z Jaroszewiczem i Lechowiczem na czele. Grupa ta, działająca od lat i penetrująca również KPP [Komunistyczna Partia Polski], postawiła sobie za cel wciśnięcie się w celach dywersyjno-szpiegowskich do PPR [Polska Partia Robotnicza] i Gwardii Ludowej i jej się to udało. Nikomu nie przychodziło do głowy sprawdzić tych ludzi, czy kontrolować ich powiązania, kontakty, stosunki. Teza, wysunięta przez samych prowokatorów, o czystości ich intencji i ochłapy rzucanych przez nich informacji, przyjęte zostały za nieodparty dowód ich rzetelności politycznej i nikt już potem, ani w czasie okupacji, ani po wyzwoleniu, nie uważał za potrzebne sprawdzić przeszłości tych ludzi i ich działalności.

A mieliśmy już przecież aparaty, powołane dla sprawdzania ludzi – mieliśmy wydziały personalne w KC, w wojsku, w ministerstwach.

Kto był w pierwszym rządzie odpowiedzialny za ten stan rzeczy?

Towarzysz Spychalski jako szef Wydziału Informacyjnego GL, a potem AL.

Towarzysz Gomułka jako sekretarz partii, z którym tow. Spychalski uzgadniał swe posunięcia, a który sam obsadził Ministerstwo Ziemi Odzyskanych wieloma ludźmi tego typu.

Towarzysz Kliszko, który kierował polityką personalną partii.

Oportunizm, stopień instynktu klasowego, utrata pionu ideologicznego – oto źródła stylu pracy, który ułatwiał zamaskowanym wrogom, prowokatorom, dywersantom, zdrajcom, przystrajanie się w nimb bohaterów, szermowanie legitymacją partyjną, tytułami dygnitarskimi w Polsce Ludowej.

Taka postawa była równocześnie wyrazem zgniło-liberalnego, oportunistycznego stosunku do wroga klasowego, była odbiciem teoryjek o wygasaniu walki klasowej, o pokojowym wrastaniu w socjalizm.

Towarzysz Stalin przestrzegał, jak stokroć niebezpieczniejszym szkodnikiem i sabotażystą od zwykłego rozbitka klasowego, jawnie nienawidzącego władzy ludowej, jest dwulicowy szkodnik i sabotażysta, posługujący się legitymacją partyjną, maskujący się często obłudnym nadszkakiwaniem, pozorną gorliwością, napuszoną frazeologią lub lizusostwem, obliczonym na uspienie czujności organów nadrzędnych.

Lenin mówił:

„... dziś nas nie atakują z bronią w ręku, a mimo to walka ze społeczeństwem kapitalistycznym stała się sto razy bardziej zaciekle i niebezpieczna dlatego, że nie zawsze jasno możemy dostrzec, gdzie przeciwko nam stoi wróg i kto jest naszym przyjacielem...”

Plenum sierpniowe w 1948 roku rozgromiło odchylenie prawicowe i nacjonalistyczne w PPR, stworzyło zdrowe przesłanki dla zjednoczenia ruchu robotniczego przez zdemaskowanie i rozbitcie socjaldemokratyzmu.

Plenum udowodniło z całą oczywistością, że odchylenie prawicowe i nacjonalistyczne oraz ślepotą polityczną i brak czujności – to dwie strony tego samego zjawiska.

Weźmy na przykład zagadnienie, które nie było poruszone w dyskusji, względnie było poruszone w sposób niejasny, zagadnienie tak zwanego frontu narodowego. W okresie okupacji Polska Partia Robotnicza wysuwała hasło frontu narodowego w walce przeciwko najeźdźcy hitlerowskiemu.

Czy hasło to było słuszne?

Towarzysz Gomułka mówił, że on do tej pory nie ma jasnego poglądu, czy hasło było słuszne, czy też niesłuszne.

Otóż nie ulega wątpliwości, że hasło frontu narodowego w walce z najeźdźcą hitlerowskim było i słuszne, i konieczne. Nie hasło było niesłuszne, a niesłuszne było ześlizgiwanie się poszczególnych towarzyszy z klasowej, proletariackiej postawy przy stawianiu tego hasła. Do walki z najeźdźcą mogli iść wspólnie w jednym szeregu robotnicy, chłopci, inteligencja, drobno-

mieszczanństwo. My i dziś stawiamy – i słusznie stawiamy – w poszczególnych zagadnieniach hasło frontu narodowego. W zagadnieniu walki o pokój mogą iść nadal razem robotnicy, chłopci, inteligencja i drobnomieszczanństwo.

Oportunizm w zagadnieniach frontu narodowego polega na zatracaniu hegemonii klasy robotniczej.

Bez ustawicznego i ciągłego kontrolowania ludzi nie ma kierownictwa. Właśnie ta metoda, w której nie ma sprawdzania ludzi, w której nie kontroluje się nawet przeszłości i oblicza klasowego ludzi biorących udział w tej pracy, ta metoda jest oportunistyczna.

Zobaczmy, jak zmieniała się kolejno taktyka wroga w poszczególnych latach w okresie okupacji. W 1943 roku, wtedy, kiedy Gwardia Ludowa ma już duże sukcesy w walce z okupantem, powstaje tak zwany PAL [Polska Armia Ludowa], jako dywersja przeciwko GL. Na czele PAL'u staje prowokator i agent gestapo – Czarny. W tym samym roku powstaje dywersja w RPPS'ie [Robotnicza Polska Partia Socjalistyczna].

W 1944 roku przeciwko KRN [Krajowa Rada Narodowa] powstaje dywersja CKL. A w 1945 roku po wyzwoleniu, taktyka się zmienia. Pojawił się Rzepecki, kierownik WiN [Walka i Niepodległość] i zgłaszał propozycje ugody.

W 1946 roku stawka na Mikołajczyka i na elementy prawicowe w PPS.

W 1948 roku kurs na tarcia wewnątrz PPR i na taki sposób zjednoczenia partii, który by zapewnił przewagę połączonym elementom oportunistycznym obu partii.

W 1949 roku ofensywa kleru, kułacka próba przeciwstawienia, zmobilizowania wsi przeciwko spółdzielczości produkcyjnej.

Tak więc taktyka wroga była elastyczna, zmieniała się, właśnie ślepotą polityczną pomagała tej taktyce wroga.

Obecnie przedstawiciele odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego chcieliby zamknąć się w milczeniu. Ale czy można milczeć w chwili, gdy Belgrad stał się ośrodkiem imperialistycznej dywersji w obozie antyimperialistycznym?

Przecież grupa prawicowo-nacjonalistyczna próbowała pójść na odsiecz titowcom. Przecież titowcy nawzajem liczyli na tę grupę w Polsce”.

Plenum uchwaliło m.in.:

Komitet Centralny PZPR poleca Biuru Politycznemu Komitetu Centralnego przyjąć referat towarzysza Bieruta jako wytyczne w pracy partii w dziedzinie wzmożenia czujności rewolucyjnej i podniesienia poziomu ideologicznego partii.

Komitet Centralny PZPR postanowił jednomyślnie dokooptować do swego składu Marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego.

&Narodowi naszemu przedstawiano Stalina jako niedościgły wzór jedyne go człowieka na tej ziemi.

W naszej szkole w dniu 21 grudnia 1949 roku odbyła się uroczysta akademii z referatem o towarzyszu Stalinie w jego siedemdziesiątą rocznicę urodzin. Tu słyszeliśmy:

Józef Stalin wyszedł z prostego ludu. Ojciec jego nazwiskiem Dżugaszwili był szewcem w miasteczku Gori w dalekiej Gruzji, matka była wieśniaczką z rodziny chłopów pańszczyźnianych. Ciężkie było dzieciństwo Stalina. Potem posłano go do seminarium, aby uczył się na księdza [popa]. Ale Stalin mając ledwie 15 lat zostaje rewolucjonistą.

Dalsze lata swego twardego, bohaterskiego życia Stalin poświęcił walce rewolucyjnej. Sześć razy chwyтали go carscy oprawcy, zamykali w lochach i kazamatach, skazywali na zesłanie w śnieżne pustynie. Ale Stalin wymykał się każdorazowo carskiej policji i wracał do pracy rewolucyjnej.

Stalin jest synem prostego ludu i służy ludowi całym swym życiem, każdą myślą, każdym czynem.

Stalin uczy:

„Trzeba wreszcie zrozumieć, że ze wszystkich istniejących na świecie kapitałów najcenniejszym i najbardziej decydującym kapitałem są ludzie – kadry”.

„Mówi się u nas zbyt wiele o zasługach kierowników i przywódców. Zapomina się o skarbie, jaki nosi w sobie każdy prosty człowiek...”

Tym prostym ludziom przewodzi Stalin w walce o nowy świat, o wyzwolenie ludzi pracy.

Nie ma zakątką na całym świecie, gdzie by nie znano i nie powtarzano dziś imienia Józefa Stalina.

Imię jego z dumą i miłością wymawiają ludzie radzieccy, obywatele wielkiego kraju socjalizmu, który wydał Józefa Stalina i któremu Stalin przewodzi.

Imię Stalina z ufnością i wdzięcznością powtarza lud pracujący naszej ojczyzny budujący nowe życie.

Książki Stalina czytają na całej kuli ziemskiej we wszystkich językach świata.

Kiedy ludzie pracy mówią „Stalin”, myślą: pokój, myślą: kres krzywdy i uciemieniu, myślą: sprawiedliwość.

Ale są i inni. Jest garstka pasożytów, garstka żądnych zysków magnatów dolarowych i ich lokaje we frakach dyplomatów i mundurach generałów, lokaje-politycy i lokaje-pismacy, których pióra ociekają kłamstwem. Ta garstka wypowiada imię Stalina z wściekłością, ze zwierzęcym strachem. Kiedy ci ludzie mówią „Stalin”, myślą: koniec panowania i krociowych zysków, widzą przed sobą miliony wyzyskiwanych, szturmujących tron kapitału.

Dlaczego to imię [nie jest to imię, ani nazwisko, tylko pseudonim] otoczone jest taką miłością i ufnością przez setki milionów ludzi walczących o życie bez okropności wojennych, bez nędzy, bez wyzysku?

Dlatego, że Stalin uczy słowem swym i czynem masy pracujące całego globu ziemskiego jak obalić stary, przegniły do cna ustrój kapitalizmu niosący ludzkości tylko wojny, kryzysy i cierpienia i jak zbudować nowy, sprawiedliwy ustrój socjalizmu niosący ludziom pokój, dobrobyt i szczęście.

Stalin mówił:

„Pozostaliśmy w tyle poza przodującymi krajami o 50-100 lat. Musimy przebiec tę odległość w ciągu dziesięciu lat. Albo dokonamy tego, albo zostaniemy zgnieci”.

W ciągu niewielu lat, niespełna trzech „pięciolatek”, słowa Stalina przemieniły się w tysiące nowych, wspaniałych fabryk, w potężne elektrownie, w nowe huty i kopalnie, w nowe zakłady, w wielosettysięczne miasta.

Kto dał stu narodom zamieszkującym państwo radzieckie rzeczywistą wolność, kto podniósł je do pełnego, samodzielnego życia państwowego, gospodarczego i kulturalnego?

Podniósł je Stalin!

Stalin zwalczał bezlitośnie wszelką nieufność i nienawiść jednych narodów do drugich, wszelkie upośledzenie narodowościowe, organizował braterską współpracę i wzajemną pomoc narodów wyżej rozwiniętych dla narodów zacofanych.

Stalin zbudował potężne wielonarodowe państwo oparte na prawdziwej równości i braterstwie narodów.

Stalin stał się twórcą braterskiej rodziny 16 narodowych republik – Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Miliony ludzi radzieckich ogarnął płomień szlachetnego współzawodnictwa pracy, potężny ruch stachanowski.

W społeczeństwie tym rządzi zasada: „kto nie pracuje – ten nie je”.

Takiego społeczeństwa, które powstało pod wodzą Stalina, nie znała dotychczas historia ludzkości.

Stalin opracował w 1936 roku nową konstytucję, w której zapisał te wielkie zdobycze narodów radzieckich. Stalinowska konstytucja to triumf demokracji socjalistycznej.

Stalin mówił o konstytucji zwycięskiego socjalizmu:

„Jest to dokument świadczący, że to o czym marzyły i nadal marzą miliony uczciwych ludzi w krajach kapitalistycznych, zostało już urzeczywistnione w ZSRR. Jest to dokument świadczący, że to co zostało urzeczywistnione w ZSRR może być w zupełności urzeczywistnione również w innych krajach”.

Kiedy hitlerowska nawałnica runęła na Związek Radziecki, na ostatnią przeszkodę na drodze Hitlera do panowania nad światem, śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad krajem socjalizmu.

I znów jak zawsze na najbardziej niebezpiecznym i odpowiedzialnym posterunku staje Stalin. Stalin – budowniczy przywdziewa mundur marszałka – Wodza Naczelnego Armii Radzieckiej.

Wszystkie sprawy wojny, sprawy frontu i zaplecza, działań wojennych i uzbrojenia, zaopatrzenia ludności i przewiezienia tysięcy fabryk na wschód, wojna partyzancka i szkolenie rezerw, wszystko to co ważyło na szali zwycięstwa, skupiało się w jasnowidzącym umyśle Stalina, w jego olbrzymiej pracy.

Ledwie zakończyła się wojna, a Stalin wystąpił z rozległymi planami pokojowej pracy.

Na olbrzymich terenach Syberii ludzie radzieccy uzbrojeni w najnowszą technikę odwracają kierunek biegu potężnych rzek, które zamiast płynąć do Oceanu Lodowatego, płyną na południe zamieniając pustynię w żyzne pole i wytwarzając ogromne ilości elektroenergii. Grzbiety górskie stojące na drodze nowotworzonych rzek ludzie radzieccy przebijają przy pomocy energii atomowej.

Któż wobec tych wszystkich faktów może wątpić o wyższości rozkwitającego ustroju socjalistycznego nad ustrojem kapitalistycznym, rozdieranym i osłabianym przez wewnętrzne przeciwieństwa i nieuleczalny kryzys?

Już 1/3 ludności kuli ziemskiej zamieszkująca kraje od Kantonu w dalekich Chinach po niemiecką rzekę Łabę wznosi dziś gmach nowego świata, w którym nieznana będzie wojna, głód i bezrobocie, ucisk i bezprawie.

Walczą o swe prawa, o chleb i wolność robotnicy i chłopci Włoch i Francji, występują w wielkich bojach strajkowych i manifestacjach przeciwko rządowi zdrady i reakcji, które wydają swe narody na mięso armatnie zaborczych królów dolara.

Walczą o wyzwolenie spod okrutnego ucisku faszyzmu masy ludowe w Hiszpanii, w Grecji.

Walczą przeciw rządowi kryzysu i zbrojeń wojennych robotnicy Anglii i Ameryki.

Walczą o niepodległość i ludzkie prawa kolorowe ludy kolonii w Azji, w Afryce, w Indonezji.

Kto wskazuje im drogę, kto przewodzi wyzyskiwanym i uciśnionym proletariuszom i chłopom krajów kapitału?

Przewodzi im Stalin.

Światowy Kongres Pokoju w Paryżu, na który przybyli przedstawiciele 600 milionów ludzi, robotników i chłopów, pisarzy i artystów, kobiet i młodzieży – z najdalszych zakątków świata, pisał do Stalina:

„Wasze imię stało się wielkim sztandarem walki milionów prostych ludzi o pokój, o demokrację.

Zapaliliście w sercach wszystkich prostych ludzi niezachwianą wiarę w wielką i słuszną sprawę walki o pokój na całym świecie, walki o niezależność narodową ludów, o rozkwit przyjaźni i dobrej woli narodów.

Wasza wierność sprawie pokoju, Wasza nieugięta wola w walce o pokój, Wasze szlachetne męstwo są dla nas wzorem i przykładem”.

... Tak słyszeliśmy jeszcze i jeszcze; przez wiele następnych dni, miesięcy, lat nawet. A przecież dla kogoś, kto ma kilkanaście zaledwie lat, to nawet sześć lat stanowi trzecią część życia, a świadomego życia może całą. Czy tak gigantyczny napór propagandy, przy jednoczesnym systemie codziennych represji, jest ciężarem do osobniczego uporania się z nim przez takich jak my? Kołotaliśmy się przeto między różnymi formami przesady a brakiem jakiegokolwiek zbiorowej koncepcji rozumnego przeciwdziałania narodowi. Młodzież znikąd, dosłownie znikąd nie słyszała słów otuchy do trwania, do krytycyzmu. Nie pojawił się żaden autorytet głoszący co innego ...bo zanim się pojawił, już ginął w kazamatkach Urzędu Bezpieczeństwa.



Któregoś mroźnego i ponurego dnia, a przechodziłem wówczas przez park w Bytomiu, nagle zaczęły wyc syreny kopalniane, i dołączały do nich następne, i wyło coraz więcej i coraz więcej, aż zdało się, że to cała ziemia jęczy, i ruch sam zamarł zamrożony dziwną trwogą...

Umarł Stalin



Żaloba była przeogromna. A następnego dnia, gdy nasz pociąg jak zwykle wtoczył się na peron dworca w Katowicach, z megafonów dobiegło nas:

– Tu stacja Stalinogród. Tu stacja Stalinogród.

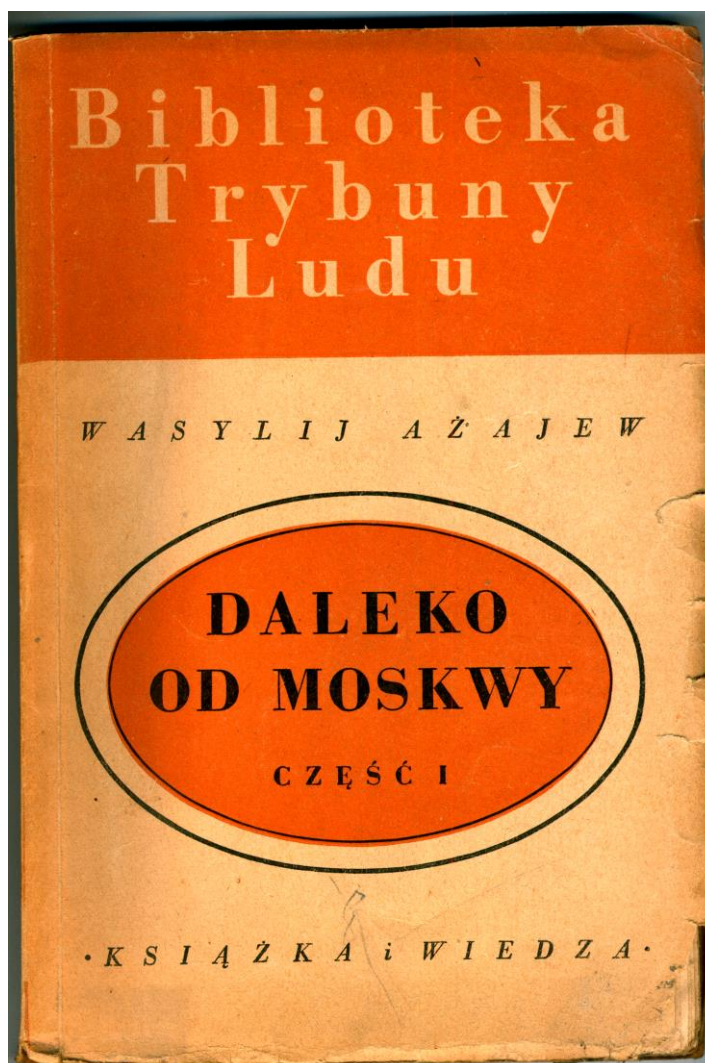
I już nawet były na peronach olbrzymie tablice z tą zaszczytną nazwą – Stalinogród – nadaną jednemu z najbardziej godnych tego miast Polski, a noszącego tak nic niemówiącą nazwę...

Z wielkim mozołem i bez cienia opieszałości ludność zmieniła wszelkie szyldy, wszystkie pieczętki w urzędach i nie tylko w urzędach, poprawiono rozkłady kolejowe w całym kraju. Żal ogarnął całe polskie społeczeństwo, a mimo to z trudem dorównywaliśmy innym państwom w wykazywaniu tego żalu.

Wiele ulic, fabryk, szkół w całym kraju przyjęło to imię. Wszędzie były portrety w czerni i popiersia przysłonięte kirem. W każdym bez wyjątku zakładzie czy instytucji odbywały się bardzo dostojne, uroczyste akademie.

I tak nasz żal rósł i rósł.

A w nas zetempowców te dziejowe wydarzenia zapadały głęboko... zapadały głęboko w naszą osobowość. Jakże jasne stawały się nasze poglądy i cele życia. Żyć, pracować i walczyć jak Stalin. Światopogląd ten wyrósł na dawno uprawianym gruncie. Z wielką uwagą jednak czytaliśmy: „Poemat pedagogiczny” Makarenki, „Daleko od Moskwy” Ażajewa, „Jak hartowała się stal” Ostrowskiego, „My ludzie radzieccy” Polewoja, „Donbas” Gorbatowa, „Omyłka Iriny Gorieczewej” Kropaczewej, „Moja klasa” Wigdorowej, „Opowieść o prawdziwym człowieku” Polewoja, „Kawaler złotej gwiazdy” Babajewskiego, „Szosa wołokołamska” Beka, „Ziemia w jarzmie” Wasilewskiej i wiele innych poleconych nam przez naszych nauczycieli.



Nie słuchaliśmy złośliwców, którzy mówili, że klatka schodowa nosi taką nazwę, bo wynalazł ją Schodow. Podziwialiśmy coraz to nowe i śmielsze krzyżówki roślin Miczurina, chociaż

byli i tacy, którzy twierdzili, że Miczurin nawet własne nogi skrzyżował; podziwialiśmy nóż Kolesowa, który trzykrotnie szybciej skrawał metal podczas obróbki; żyliśmy wyczynami Stachanowa, który podczas jednej zmiany wydobył 102 tony węgla i tym wyczynem wykonał 1475% normy.

Z literatury radzieckiej nabraliśmy ponadto prawidłowego, zdrowego stosunku do kobiet, nacechowanego świadomością o godności kobiety – bo kobieta to przede wszystkim równoprawny pracownik, kobieta dosiadała traktorów orzących pola, kobieta zjechała na dół fedrować na kopalni, kobiety miały swoją budowę kobiecą. Nabraliśmy wielkiego szacunku dla posłannictwa kobiety i każdy z nas zwalczał w sobie wszelkie zdrożne myśli o czynach, które przez całe dzieje ze strony mężczyzny tak uwłaczały kobiecie.

Jedyna frywolność, na jaką sobie pozwalaliśmy, zawierała się w śpiewanych przepięknych rosyjskich piosenkach, gdzie było:

Senna rzeka łódkę niosła,
Rzeka łódkę niosła w dół.
A on zamiast trzymać wiosła,
On mnie głupi objął w pól.
A czemu tak, a temu tak,
Bo przy mnie własny chłopak.

lub

Kwitnie już czeremcha,
już zakwita bez.
Na nieszczęście moje,
na strumienie łez...

lub

Harmonisto mój, czego ci trzeba.
Chłopcze przyznaj się, czegoś ci brak.

lub

Pierwom diełom, pierwom diełom samalioty.
No, a dieuszki? — A dieuszki patom.

A jakie upojne melodie miały te piosenki. Gdy ogarniała nieznana tęsknica za czymś – przecież podświadomie wyczuwanym, można było godzinami snuć te melodie – talizmany od tego dziwnego Złego.

Nie wszyscy koledzy byli równie wyrobieni ideologicznie. Najstarszy z nas Leszek po prostu jeździł do Zabrza do jakiejś mężatki, która go uszczęśliwiała, gdy mąż był na dole. Edek zaś zamieszkał na stacji, gdzie były dwie dorastające córki i obie obsługiwał. Szczególnie lubił ze starszą, która zaraz na początku wytłumaczyła mu, że nie lubi jak inne kobiety, żeby jej prawić czułe słówka i trajlować o miłości, lecz jak tylko matka wyjdzie, żeby ją wrzucił do łóżka i ostro zabierał się do niej. Podobno tym lepiej jej było, im mocniej walił. Więc walił.

Trzeci się nic nie chwalił, ale pierwsi dwaj opowiadali za niego o tym, jak to jego sąsiadka, stara panna, bierze go do siebie, siada na krześle, rozkłada tylko kolana, bo majtek nigdy nie nosi, i każe mu tam podobno lizać. I on klęcząc podobno liże. O mnie, ani oni, ani ja sam nic nie mówiliśmy. Dopiero na studiach padły te lakoniczne sentencje:

— Pięć minut onanizmu
dla wzmocnienia organizmu.

– Lepsza rączka,
niż rzeźączka.

Zresztą mieliśmy i inne zabawy. Któregoś dnia zaprosił mnie do siebie jeden przyjaciel. Nigdy tego nie robił. Nie wiedziałem, o co chodziło. W dniu tym otrzymałem piątkę z NOK, czyli z nauki o konstytucji, więc matka, mimo że bardzo chora, radziła mi, bym poszedł.

Długi czas siedziałem u przyjaciela, gdy dopiero następny gość uświadomił mi, że są to imieniny przyjaciela. Byłem tak speszony tym, że ja nie przyniosłem żadnego prezentu, że nawet

i wówczas nie złożyłem mu życzeń. Nic dziwnego, że przestali się mną zajmować, przeszli na sprawy, o których nie miałem pojęcia, rozmawiali o dysonansach w linii melodycznej Gerschwi-
na i argumentowali swą piękną grą na fortepianie. Potem nawet wynieśli się do dalszych pokoi i zza zamkniętych drzwi dochodziły mnie ich śmiechy i śmiechy siostry solenizanta i jej koleżanek.

Pilem ten kielich goryczy w pokorze do dna, bo po pewnym czasie wrócili do mnie, nakryli i zastawili stół bogato i smakowicie i prześcigali się w częstowaniu mnie różnościami, a ja za wszystko, bardzo zażenowany, dziękowałem, bo nie położyli przy moim talerzyku ani noża, ani widelca, ani łyżeczki. Gdy przyszła pora, którą matka oceniła, jako właściwą na mój powrót, powiedziałem, że mamusia życzyła sobie, abym o tej godzinie wrócił do domu. Nie czekali, aż dobrze domkną drzwi za mną, toteż dosięgło mnie:

– Kołek.

– Dobry miałem pomysł, z zaproszeniem dla zabawy kogoś takiego?

Mieliśmy i inne przygody. Już nie pamiętam z jakiej okazji, ale w kilku z naszej klasy wypiliśmy pół litra. Jeden z nas podobno zabrudził potem schody do internatu. Sprawa się wydała i nauczyciel, Sagański, przeprowadzał drobiazgowo dochodzenie. Wzywał po kolei wszystkich z naszej klasy, ale wszyscy zaprzeczali, o niczym nie wiedzieli. Nie zdawałem sobie z tego dochodzenia sprawy, a zwłaszcza z zaprzeczeń kolegów i gdy przyszła na mnie kolej i wywołano mnie z lekcji, normalnie opowiedziałem, jak było. Była to dla mnie zwykła sprawa dorosłych ludzi.

Potem była wywiadówka i wychowawca powiedział ojcu, że ze sprawowania czwórka. Potem po wywiadówce zastanawialiśmy się nawet z ojcem, o co chodzi. Miałem już przecież dziewiętnaście lat, byłem dorosły, miałem dowód, głosowałem, a i w domu już zwyczajnie uczestniczyłem w picciu wódki. Obaj nie widzieliśmy nic zdrożnego w tym półlitrze.

Zbliżała się matura. Nie było studniówki, ale za to pojawił się w szkole ktoś z Urzędu Bezpieczeństwa i wzywał każdego maturzystę na rozmowę w cztery oczy. Proponował tajną pracę dla UB. Leszka przekonał. Kościankowi zagrożonemu w dopuszczeniu do matury obiecał zdanie matury. Kościanek przepięknie rysował miniaturki piórkiem, ale dał się namówić. Wszystkich wezwano na rozmowę, nawet mojego brata, tylko mnie nie wezwano. Byłem oburzony takim potraktowaniem. Do dziś nie wiem, kto i dlaczego odradził mu rozmowę ze mną.

Zbliżała się matura... po raz drugi... Bardzo dużo pracowałem. Tym razem już musiałem dostać się na studia. Problem ojca został złagodzony – po pierwsze odległością między Sosnowcem a Bytomiem – po drugie na niezbędnych zaświadczeniach z miejsca pracy ojca już widniała wielce obiecująca nazwa: – Pomocnicza Spółdzielnia Rzemieślników. A więc wreszcie nie prywatna inicjatywa.

Wprawdzie dopiero forma Spółdzielni Pracy miała dostatecznie socjalistyczny charakter, a Pomocnicza Spółdzielnia sprowadzała się jedynie do kontrolowania operacji finansowych rzemieślników i pośredniczenia w tych operacjach, to jednak magiczne słowo – spółdzielnia – stawało się dla mnie zbawienne. W głębi ducha zdawałem sobie jednak sprawę ze swego zaszarganego pochodzenia i dopiero po latach odważyłem się w ankietowej rubryce – pochodzenie społeczne – pisać – robotnicze. Dosłownie wszyscy w narodzie mogli pisać: pochodzenie robotnicze (to było to najlepsze pochodzenie), pochodzenie chłopskie, ostatecznie inteligencja pracująca, tylko ja nie miałem tego przywileju, jakże im zazdrościłem.

Problem wyłonił się gdzie indziej. Bo musiał się wyłonić. Moje fatum prosperowało w najlepszym. Na drodze stanął mi brat. Brat zaczął tę szkołę rok wcześniej. Ja przyszedłem również na cztery lata nauki, ale po pierwszym roku nauki zakotłowało się w programach nauczania. Postanowiono powszechnie wprowadzić pięć lat nauki, a nas wyrzucić z dyplomem już po dwóch latach nauki. Zamieszanie to nie sięgało klasy brata, tak że zanosilo się, że choć przyszedłem do szkoły rok później niż brat, to skończę ją rok wcześniej.

Opamiętał się jednak ktoś i postanowiono dokładniej nas nauczyć poprzez trzyletnie nauczanie. W konsekwencji maturę zdawałem równocześnie ze starszym bratem. I to stało się zasadniczą przeszkodą. Obaj uczyliśmy się bardzo dobrze, ale tylko bardzo nieliczni mieli być wytypowani na studia. Kierownictwo szkoły zajęło stanowisko, że w tej sytuacji dwoje dzieci z jednej rodziny nie może być skierowanych na studia. Wezwano nas i nam pozostawiono decyzję wyboru. Bez żadnej wątpliwości zastosowaliśmy odwieczne prawo prymatu starszego brata i zgłosiłem dyrektorowi, że zdecydowałem się iść do pracy, aby brat mógł pójść na studia.



Dyrektor Państwowych Szkół Budowlanych w Bytomiu – Michał Czernuszko – „Sianiu”.

Ze mną działa się bardzo dziwna sprawa. Byłem tak dalece pewien słuszności decyzji rady pedagogicznej i pierwszeństwa brata oraz tego jak bardzo kraj czeka na każde ręce do pracy, że przyjąłem swój los zupełnie spokojnie, ba, niemal z zachwytem... Tak bardzo już byłem wyrobiony społecznie. Toteż nie opuściłem się w nauce, a nawet świadomość pójścia do pracy dała mi tak duży spokój i równowagę psychiczną w czasie matury, że zdałem najlepiej w szkole.

Na uroczyste zakończenie roku szkolnego przyjechał z naszego Ministerstwa Budownictwa Przemysłowego wizytator i bez uprzedzenia przywiózł ze sobą niespodziewaną rzecz, nowość dopiero co wymyśloną w kraju – Dyplom Przdownika Nauki i Pracy Społecznej.

Na ten jedyny egzemplarz bez najmniejszych wahań wpisano moje imię i nazwisko, i wręczono mi go uroczyście na akademii. A dyplom ten – bagatela – upoważniał do wstępu bez egzaminu na każdą polską uczelnię.

Mogłem więc wybierać w studiach, ale po odroczeniu wręzonego mi już nakazu pracy musiałem jechać do samej Warszawy, gdzie na Kruczej mieściło się Ministerstwo Budownictwa Przemysłowego.

Sam nie wiem, jak z najgłębszych zakamarków mojej osobowości wylazła, tak starannie tłumiona i tak dokładnie zakryta, że nigdy nieświadomiona – ARCHITEKTURA.

Całą rodziną pojechaliśmy przed ołtarz Matki Boskiej Częstochowskiej i żarliwie dziękowaliśmy za to nawet niewyproszone szczęście. Bardzo po cichutku, w myślach, przyrzekłem Matce Najświętszej, że za możliwość studiów zaprojektuję Jej w podzięce kościół. Od długiego czasu prowadziłem grube interesy z Bogiem. Dotrzymywaliśmy wzajemnych zobowiązań. Trzeba było tylko nie zwracać się do Boga z duperelami, a w realizacji własnych zobowiązań wykazać chociaż dobre intencje.



DYPLOM

PRZODOWNIKA NAUKI I PRACY SPOŁECZNEJ

Ministerstwo Budownictwa Przemysłowego
Centralny Zarząd Szkolenia Zawodowego

(nazwa ministerstwa centralnego urzędu lub dyrekcji okręgowej szkolenia zawodowego)

NA PODSTAWIE ZARZĄDZENIA PREZESA CENTRALNEGO URZĘDU
SZKOLENIA ZAWODOWEGO Z DNIA 12 maja 1953 r. (Nr III M - 1306 - 4/53)

PRZYZNAJE

Ob. Sokołowskiemu Marianowi
(nazwisko i imię)

urodzon _____ dnia _____ 19 _____ synowi - córce

ABSOLWENTOWI Technikum Budowlanego
(nazwa technikum)

Min. Bud. Przem. w Bytomiu
(miejsowość)

DYPLOM

PRZODOWNIKA NAUKI I PRACY SPOŁECZNEJ

Warszawa _____, dnia 25 czerwca 1953 r.

Nr 13



DYREKTOR

A. Romanuk
A. Romanuk

CUSZ. — III dypl. przod. nauki i pr. społ.
ZSP. W-wa. Zam. 133 — 3510

Poprzednio błagałem, by ukochani rodzice nawrócili się, nawet gdyby warunkiem tego było, abym wziął na siebie brzemień ich niewiary. Bóg spełnił mi prośbę i widocznie przystał na ustaloną przeze mnie cenę.

Mimo to nasze wzajemne zaufanie bardzo wzrosło, choć zdawaliśmy sobie sprawę, że nasze drogi się rozchodzą... ale przecież – Bądź Wola Twoja.

*

Rozdział 22

I wyszedł pierwszy syn lisowaty, i wszystkie jako szata kosmaty, i nazwali imię jego Ezaw.

1 Moj. 25.25

Warszawa. W Warszawie była moja matka przed wojną, z wycieczką. Swęj wycieczce zgubiła się w Ogrodzie Ujazdowskim, a przez całą wojnę z zachwytem opowiadała o tym mieście. Mnie dane było przyjechać w roku 1952 na wystawę budowlaną w Instytucie Techniki Budowlanej. Oglądałem też fundamenty rozpoczętego Pałacu Kultury i Nauki. Nocowaliśmy w Technikum na Górnośląskiej. Wieczorem w paru wypuściliśmy się, aby poznać wielkie miasto w światłach lamp. Tuż pod szkołą i dalej wokół było tak ciemno, że trudno było zgadnąć, w którą stronę iść. Szliśmy długo w jakimś kierunku i nie doszliśmy do niczego – same grzyzy i ciemność.

Drugi raz byłem w ślad za przysłanymi papierami na studia. Ojciec zaprowadził mnie najpierw do znajomego uważającego się za przemysłowca (Krajewski). Ten na powitanie podał mi dwa palce. Potem zapytał o drugą prawdę wiary i mimo że nie odpowiedziałem prawidłowo, oświadczył, że on to nam załatwi. Ma wszak brata architekta w Warszawie.

Z listem do tego brata w kieszeni pojechałem sam do Warszawy załatwić przyjęcie na studia. Widocznie nie wierzyliśmy, że da się cokolwiek załatwić bez tej drugiej formy załatwiania, tylko znajomości odpowiednich ludzi gwarantowały pozytywny wynik. Jechałem na stojąco całą noc – taki był tłok i tak długo się jechało. Prosto z pociągu dotarłem w Aleję Na Skarpie (dziś dziwię się, że znalazłem ludzi, którzy potrafili wskazać ten adres), gdzie w budynku dawnej Łoży Masońskiej mieściła się pracownia Bogdana Pniewskiego. Mój wybawca był asystentem u profesora.



Warszawa, Aleja na Skarpie 27 – budynek loży masońskiej, obecnie Muzeum Ziemi.



Warszawa, Aleja na Skarpie 27 – budynek loży masońskiej, obecnie Muzeum Ziemi.

Schodziłem do niego kilka kondygnacji w dół tego ciekawego budynku. Po drodze z wielkim uwielbieniem zerkąłem na rysunki i makiety wnętrza Teatru Wielkiego. Inżynier przeczytał list, pomyślał i dał mi swój list do sekretarki w dziekanacie Wydziału Architektury, ale i zaprosił do siebie na obiad na Polną. Sekretarka prawdziwie uprzejmie powiedziała mi, że w hallu gmachu głównego Politechniki Warszawskiej stoją takie wielkie tablice i tam są podane nazwiska wszystkich przyjętych na studia. Moje nazwisko już tam było. Jeszcze tylko udałem się na obiad do inżyniera, a ten po obiedzie pokazał mi w starych czasopiśmie, jakiego stylu rysowania wymaga się na studiach architektonicznych. Były to cenne dla mnie wskazówki.

Trzeci raz przyjechałem do Warszawy już na studia... i los chciał, że na stałe. Już pierwszy przejazd tramwajem był nie tam, gdzie chciałem; tak samo tych wiele lat powiozło mnie zupełnie nie tam, gdzie chciałem; gdzie miałem nadzieję dojechać.

Wróćmy jednak do sierpnia 1953 roku.

Tym razem po wyjściu z dworca głównego wsiałem w tramwaj i dojechałem aż na dalekie Bemowo, zamiast na pobliski Plac Narutowicza. Przyjechałem na kurs przygotowawczy do egzaminu na Architekturę organizowany przez ZMP dla młodzieży z prowincji. Tacy sami jak my, którzy rok wcześniej dostali się na Architekturę, prowadzili z wielkim zapałem ten kurs. Mimo dyplomu musiałem zdawać egzamin z rysunku. Zdałem, dzięki kursowi tylko. Profesor rysunku odręcznego, Zygmunt Kamiński, wymagał wykonania dokładnej konstrukcji perspektywicznej dla rysunku i dopiero na tym powstawał rysunek; nawet twarz na portrecie najpierw konstruował perspektywicznie, a potem wrysowywał szczegóły. Taka metoda rysowania mogła być słuszna, bo umożliwiała architektowi w miarę wiernie przedstawiać swoją wizję przyszłej budowli.



Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej na ulicy Koszykowej, foto 2003 rok.

Warszawa zaskoczyła mnie przede wszystkim polityczną postawą ludzi. Aktywiści Śląska, wśród których obracałem się, byli o kilka klas bardziej wyrobieni politycznie i bardziej aktywni od poznanych w Warszawie. W Bytomiu, to jest na Śląsku sytuacja polityczna była jasna; wiedziało się, kto za, a kto przeciw. A tu w Warszawie wróg klasowy był równie nijaki jak ci, którzy mieli z nim walczyć. Bardzo mnie to zaskoczyło i szybko zrozumiałem, jak wiele mnie czeka do zrobienia w Warszawie.

Wobec Warszawiaków miałem wyraźny kompleks niższości, toteż nigdzie się sam nie pchałem. Opisane w przysłanych na studia dokumentach moje zasługi polityczne były tak jednoznaczne, że na początek zrobiono mnie organizatorem grupy studenckiej. Była to funkcja, stanowisko; byłem opiekunem politycznym dwudziestu paru osób. Zakasałem rękawy i skorzystałem z pierwszej nadarżającej się akcji – Politechnika ogłosiła konkurs na najlepszą działalność artystyczną w grupie studenckiej.

Po latach zorientowałem się, że była w grupie jeszcze ważniejsza osoba ode mnie, agent UB, i to od niego wyszła sugestia wzięcia udziału w konkursie. Zresztą od początku dwóch innych tajnych agentów UB, a również studentów, jakoś zamieszkało w naszym pokoju w domu akademickim.

Nasza grupa dzień w dzień przychodziła na Wydział półtorej godziny przed zajęciami, to jest niemal o świcie i ćwiczyliśmy nasz program artystyczny. Szczególnie wyróżniał się Mietek Zaroń, który stał się kreatorem artystycznym naszej grupy. Wszyscy spali jeszcze, a my ćwiczyliśmy. W naszym repertuarze była zbiorowa deklamacja wiersza i odśpiewanie piosenki. W wierszu były słowa:

Buldożerem przez te gruzy krwawe!
Wczoraj plan.
Dziś wykonanie.
Nowa Warszawa powstanie!

a piosenka:

Autobus, czerwony,
Przez ulice mego miasta mknie.
Mija nowe, jasne domy
I ogrodów chłodny cień.
Czasem dziewczę,
Spojrzeniem,
Rzuci ku nam jak płomienny kwiat,

No bo Nowy jest nie tylko Świat,
U nas nowy każdy dzień.
A motor, tak huczy,
Dudni basem ponad mostem,
W tej tonacji, radości,
W której serce każde drga.
Pik! Pik!

Konkurs wygraliśmy i rozradowani wzięwszy się pod rękę, z akordeonem (a grał Andrzej Gerelło) i śpiewem, całą szerokością jezdni poszliśmy oznajmić to Warszawie. Samochodów widać niewiele jeździło.

Na wymaganym od Warszawy, przez moje wyrobienie polityczne, poziomie stanęła jedynie profesor Helena Syrkusowa i profesor Aleksander Berler.

Profesor Syrkusowa zrobiła spotkanie studentów naszego pierwszego roku z uczestnikami sławnego Złotu Młodych Przodowników Pracy w Warszawie odbywającego się rok wcześniej. Aż ciarki szły mi po grzbiecie, gdy mój późniejszy kolega opowiadał o tym, jak to latał samolotem nad Złotem, a z dołu, z Placu Zwycięstwa dochodził go wielusettyśięczny głos ślubowania. Co za wspaniałe przeżycia. Było mi czego zazdrościć i było do czego dążyć. Po paru latach przyznał mi się, że on to wszystko wyssał z palca.

Innym razem profesor Syrkusowa zorganizowała bardzo zaangażowany politycznie wykład o odrzucanej architekturze zgniłego kapitalizmu, z korkami na jezdniach, wiele set razy powtarzanymi szarymi budynkami dla robotników. Stalowe estakady Nowego Jorku, po których pędziły pociągi tuż obok mieszkań, były odrażającym przykładem. Na takim tle realizm socjalistyczny w architekturze miał bardzo ludzkie i przykładowe dla świata cechy.

Profesor Berler wykladał marksizm dla kilkuset osób z kilku Wydziałów równocześnie. Czynił to w największym audytorium mieszczącym się nad wejściem do gmachu głównego Politechniki. Asystenci wprowadzali nas parami do audytorium, bo listę tuż przed wejściem sprawdzali, i sprawdzali dokładnie notatki po każdym wykładzie. Profesor nauczał (są to autentyczne moje notatki z wykładów):

„Dla oceny pojawienia się marksizmu, to znaczy pojawienia się socjalizmu naukowego trzeba określić pojęcie nauki.

Nauka jest to powszechny duchowy wytwór społecznego rozwoju. Rewolucja proletariacka musi mieć za następstwo dyktaturę proletariatu, która jest najgłębszą i jednocześnie najwyższą demokracją.

Marksściści zawsze rozpatrują każde zagadnienie konkretnie. Kiedy mówimy dyktatura, to myślimy, dla kogo ona istnieje. Jest ona dyktaturą większości nad mniejszością.

Chłopi nie pracują razem, nie ma u nich organizacji i jest to raczej klasa zacofana.

Proletariat przez związanie z produkcją maszynową, przez pracę razem, przez to że nie ma nic do stracenia, nie jest niczym demoralizowany i jest siłą postępującą.

Postępująca jest ta klasa, która może sobie pozwolić stale patrzeć naprzód.

Proletariat nie ma ojczyzny. Wyraża to naczelne hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. Nie oznacza to jednak, że proletariusz nie może być patriotą. W imię swej własnej ojczyzny proletariat musi obalić burżuazję. Nadejdzie jednak chwila, że proletariat zleje się w jedno państwo, stanie się narodem. Mamy to już zaczęte obecnie.

Komunizm powstał w tym okresie, kiedy to cały świat uznał potęgę komunizmu i każda partia opozycyjna nazywała różnych swych przeciwników komunistami, mimo że ta ostatnia również była reakcyjną partią.

Jedynym węzłem łączącym burżuazję jest własny interes. Burżuazja stworzyła cały system najemników. Jest ona niezdolna do panowania, gdyż nie może zapewnić swemu niewolnikowi egzystencji bodaj w ramach jego niewolnictwa.

Konieczne jest zniesienie własności prywatnej, gdyż kapitał nie jest potęgą osobistą, lecz społeczną.

Komuniści chcą znieść cel życia robotnika nakreślony według planów burżuazji, to jest wytwarzanie kapitału. Chcą znieść własność burżuazyjną. Komunizm nie odbiera nikomu władzy

przywłaszczania sobie produktów społecznych, odbiera jedynie władzę ujarzmania cudzej pracy za pomocą tego ujarzmania.

Ustanowimy nowe formy rodziny. Dzieci będzie wychowywało całe społeczeństwo, bowiem chodzi o to właśnie, aby zmienić położenie kobiet, jako zwykłych narzędzi rodzenia dzieci.

Wraz ze zniesieniem wyzysku człowieka przez człowieka zostanie zmieniony wyzysk narodu przez naród. Wraz ze zmianą warunków bytowych zmieniają się poglądy ludzi na kwestie narodowe i zmienia się ich świadomość, bowiem władza polityczna jest zorganizowaną przemocą jednej klasy celem ucisku innych. Toteż z tego względu, że podstawowym zagadnieniem rewolucji jest zagadnienie władzy, wszystko sprowadza się do utworzenia nowej niezwykniętej władzy.

Wytworzymy nową kulturę. Kultura polska przecież kiedyś była kulturą jedynie szlachecką.

Powstaną nowe zjawiska językowe. Stalinowska nauka rozwoju języka narodowego mówi, że w wyniku likwidacji społeczności kapitalistycznych i utworzeniu się narodów socjalistycznych, na całym świecie nastąpi obumieranie narodów i języków narodowych. W wyniku tego powstanie jeden ogólnonarodowy język. Kwestia narodowa ma przecież różne ujęcie w zależności od okresu i różni się pod względem charakteru oraz zakresu.

Socjaldemokrata małego narodu powinien w swej agitacji kłaść główny nacisk na drugim słowie naszej formuły „dobrowolne zjednoczenie się” narodów.

W każdym wypadku musi on walczyć przeciw ograniczoności ciasnoty narodowej, zasklepianiu się, odosobnianiu się, musi walczyć o uwzględnienie całości i powszechności, o podporządkowanie interesów części interesom ogółu.

Nadal obowiązuje trójjedyna zasada Lenina: mocne oparcie na biedocie, sojusz ze średniakiem i walka nieustająca z kułakiem. Zachodzi pytanie, dlaczego drobnotowarowa gospodarka rodzi kapitalizm? Już Lenin powiedział, że chłopstwo to ostatnia klasa kapitalistyczna. Bowiem towarowo-kapitalistyczna tendencja wyłania z chłopstwa cienką warstwę kułaków. Dlatego też muszą dojrzeć warunki do kolektywizacji rolnictwa. Spójnia ekonomiczna między miastem a wsią umacnia spójnię polityczną. Lenin mówił: „Żeby znieść klasy, należy obalić obszarników i kapitalistów, trzeba znieść różnicę między robotnikiem a chłopem”. Wszyscy muszą być pracownikami. Tego nie można zrobić rewolucją jedynie. Wymaga to wiele czasu, jest trudne i nie można tego dokonać przez obalenie jakiegokolwiek klasy. Rozwiązać można jedynie przez organizacyjną przebudowę całej gospodarki społecznej, przez przejście od gospodarki indywidualnej odosobnionej do wielkiej. Przejście to musi być nadzwyczaj długofalowe. Nieostrożne zarządzenia mogą spowodować zahamowanie.

Zasadniczy kierunek rozwoju w Polsce jest ten sam co w ZSRR. W naszych warunkach umiejętne łączenie tego co szczególne z tym co ogólne jest niesłychanie ważne. Polska dzięki klasowej pomocy ZSRR ustrzegła się przed interwencją zewnętrzną i wojną domową. Nie było więc potrzeby komunizmu wojennego, czyli nie trzeba było przejścia do Nowej Ekonomii Politycznej (NEP). Sprawa „kto kogo” u nas szybciej przechodzi na korzyść socjalizmu. Szybciej można było nauczyć się kierownictwa narodem i nawet nie potrzebna jest u nas dyskusja nad nepem. My mamy rynek demokratyczny. Ponadto wpływ na rozwój nepu wywiera fakt bardziej rozwiniętych stosunków drobnotowarowych na wsi oraz brak nacjonalizacji ziemi w Polsce.

Na zakończenie zapamiętać należy, że jest myślenie artystyczne, filozoficzne i ekonomiczne. Lecz to, co istnieje w umysłach ludzkich, jest odbiciem sfery życia materialnego. Stąd też nie można dopuszczać myśli o możliwości istnienia trzech ideologii. Jest tylko burżuazyjna i marksistowska ideologia. Natomiast ideologia prawicowo-socjalistyczna, to ideologia burżuazji przescheczona na grunt proletariatu. Ponadto zawsze pamiętać należy, że tak jak nie ma trzeciej ideologii, tak nie ma trzeciej siły w polityce. Kto nie jest za, ten jest przeciw”.

*

Rozdział 23

*I pocałował Jakób Rachełę, podniósłszy głos swój płakał
1 Moj. 29.11*

W Warszawie uczyłem się jeszcze pilniej. Moje zdjęcie było nawet na gazetce ściennej Wydziału zwanej OSA, czyli Organ Studentów Architektury.



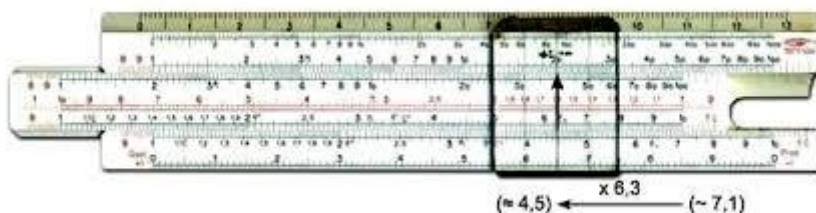
Sala rysunku odręcznego na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej – 28 listopada 1953 roku.



sala rysunku odręcznego Wydz. Architektury PW 28.11.1953r.



Pl. Narutowicza pok. 282, 10.11.1953 roku



Suwak logarytmiczny - przyrząd do obliczeń, bez którego nie umiał się obejść żaden inżynier, a który tak gwałtownie zniknął z naszego życia, gdy pojawiły się kalkulatory.

Aby dostać talon na suwak logarytmiczny, musiałem wyjechać na dwa tygodnie pod Mrągowo na wykopki ziemniaczane, a rok akademicki był już w pełni. Jechaliśmy pociągiem cały dzień. Podobno byliśmy tylko siedem kilometrów od morza, którego nigdy w życiu nie widziałem, ale nie dotarłem nad brzeg – tak dużo było pracy. Pracowaliśmy i spaliśmy w szynelach żołnierskich wypożyczonych nam ze Studium Wojskowego. Ziemniaki zbieraliśmy za maszyną rozgarniającą ziemię. Deszcz lał prawie bez przerwy. Błota z butów w ogóle nie zeskrobywaliśmy.

Czas od jednego do drugiego zwierzęcego spania na podłodze wcale się nie dłużył, a jednak zaczynałem już wątpić, czy istnieje gdzieś normalne życie. Tu poznałem termin – nisko skanalizowana. Taką właśnie nisko skanalizowaną kucharkę pierdolił na stole w kuchni nasz przywódca moralny, przewodniczący ZMP, który jako że był przywódcą, to nie pracował. Zarobionych pieniędzy niemal by starczyło na kupno suwaka, ale zanim wróciłem, działacze przyrzeczone mi talon dali komu innemu, kto miał już pieniądze.

Na studia przyjechałem, by sięgnąć po życie. Zaraz na początku spodobała mi się koleżanka z naszych stron. Była pogodna, jednocześnie taka jakaś lepsza... Ściągałem ją wzrokiem. Wreszcie doczekałem się. Na przerwie między wykładami w audytorium Noakowskiego, gdy wszyscy wychodzili, spostrzegłem ją przeciskającą się pod górę, uśmiechała się promiennie patrząc w mój kierunek, ale minęła mnie i objęła kolegę będącego tuż za mną. Me pełne szczęście trwało kilka sekund zaledwie.

Już i spacerowanie po Warszawie nie dawały ukojenia. Stałem kiedyś na Placu Konstytucji i ze łzami w oczach pytałem sam siebie, co ja tu robię?

Terka z żeńskiego akademika zawołała mnie kiedyś przez okno. W pokoju na górze jej koleżanki krzątały się wokół własnych spraw, a ja udawałem, że robię na drutach. Wiele było śmiechu, gdy się wreszcie zorientowały, że spuszczam oczko po oczku. A Terka czesała się. Dane mi było upajanie się pięknem dziewczęcych gołych ramion uniesionych do czesania długich równie pięknych włosów. Do dziś to widzę, choć w dwa dni później spotkałem ją w czytelni już z innym kolegą. Niedługo potem głośno zakochała się w jeszcze innym koledze. Był on synem lekarza. Tu miało to znaczenie. Ojciec dostał jeden z pierwszych w powojennej Polsce samochodów – dekwę [DKW] i dał ją jedynakowi. Terka prowadząc zabiła się. Nawet mi nie pozwolono nieść jej trumny na pogrzebie. On oświadczył, że się otruje. Zabrał z gabinetu ojca arsenik, ale mu wymieniliśmy na talk. Przechytrzył nas jednak i któregoś rana już się nie obudził.

Czytałem książki, które mi wpadły w ręce.

Jeszcze w liceum czytając natrafiłem na temat – inteligencja. Teraz podczas studiów doczytałem się treści słowa inteligencja. Wojciech Natanson stwierdził, że: „W gruncie rzeczy inteligencja jest to władza należytego zużytkowania posiadanych wiadomości”.

Antoni Makarenko dużo mnie nauczył. Jego „Chorągwie na wieżach” opisują życie na kolonii „1 Maja” dla byłych przestępców. Pokazane są przemiany, jakich dokonać może kolektyw na wykolejonych jednostkach. Nie wszyscy jednak mogą być z dobrym skutkiem pochłonięci przez kolektyw. Ryżykow pod wpływem wroga potrafił dobrze się maskować i działać jako sabotażysta i szkodnik kolonii. Autor dowodzi, że również poza rodziną można dobrze wychować człowieka, tak by nie odczuł żadnych braków i sztuczności w życiu zbiorowym. W książce jest dobrze naświetlony, właściwy i poważny stosunek do dziewcząt, które należy uznać za równych towarzyszy pracy, a dopiero gdy warunki dojrzeją, można sobie pozwolić na legalną miłość w obliczu przyszłego małżeństwa. Młodzi mają cały dzień wypełniony zajęciami, które z jednej strony w chwilach upadku poprzez dyscyplinę są utrzymywani przez innych na poziomie.



Antoni Makarenko

James Oliver Curwood – „Nomads of the north” (włóczęgi północy). Tematem książki jest niezwykła przyjaźń niedźwiadka Niny i psa Miki. Zwierzęta nie są upodobnione do ludzi, z czego widać, że autor nie miał na celu życiem zwierzęcym tłumaczyć zawilosci życia ludzkiego. Mimo nieustającej walki o swe istnienie zwierzęta nie walczą z sobą. Nie leży również w charakterze dzikich mieszkańców puszczy walka z człowiekiem. Autor nie daje obrazu całokształtu życia zwierza, gdyż opisując młodego niedźwiadka i szczeniaka nie potrzebuje ukazywać współżycia z osobnikami innej płci. To zaś daje jedynie w postaci przywiązania matki do dziecka i odwrotnie. Z książki tej bije wyraz wielkiego umiłowania zwierząt.



James Oliver Curwood

*

Rozdział 24

A gdy było rano, poznał Jakób, że to Lija, i rzekł do Labana: Cóż mi to uczynił? Izalim ja nie za Rachelę tobie służył? czemuż mię tedy oszukał?

1 Moj. 29.25

Długo patrzyłem w ten wyraz ufnych oczu, aż naturalnie zakochałem się. Nogi miała okropne, jak tylko nogi mogą być krzywdzące dla dziewczyny. Bo jeżeli nad kostką mają tę samą grubość, co w łydce, to czyż może gorzej los spotponować dziewczynę? Ale za to te oczy wynagradzały bezpardonowo wszystko i jedynie one stawały się istotne. Więc patrzyłem w nie, a gdy chłopak tylko dobrze patrzy, to musi się przecież zakochać. Nie ma innej alternatywy.

A ją coś nagrało i na przekór logice była tylko zwykłą koleżanką. Dla wszystkich. Dla dwóch moich przyjaciół, którzy odważnie spróbowali. Dla mnie przede wszystkim. A że i dla wszystkich, to uczyniło to bazę dla mej kruchej nadziei. Mogła być dla mnie tylko żoną, więc z pełną konsekwencją, z całą zdobytą sztuką inwestowałem spojrzenia w tę wielką przyszłość. Doskonale wiedziałem, że potrzebuję na to dużo czasu, bo przecież by ją pozyskać, musiałem jeszcze tak wiele zmienić u siebie samego na lepsze.

Ona była stworzona, aby raz otworzyć się, a potem być swym sensem – matką i żoną, a ja poczyniłem dotychczas tak nikłe postępy w walce ze swą słabością. Wprost niewytłumaczalne było dla mnie, dlaczego tylko mnie los pokarał tak nędznymi skłonnościami. Boć wszyscy żyją normalnie, dziewczyny chłopców traktują jak kolegów, chłopcy nie pożądamy dziewczyn, a tylko mnie co parę dni ogarniają chucie nieczyste. Wiedziałem jednak, że i ja osiągnę stan doskonałości jak inni – kobieta i dla mnie będzie tylko drugim człowiekiem. Pokonam w sobie pożądanie kobiety. Wtedy stanę się jej godny i dopiero wtedy moja godność zezwoli mi na złożenie u jej stóp mej bezgranicznej miłości. To nic, że na to trzeba lat. Wszak i cierpienie miłosne tak bardzo uszlachetnia, a i potrafi tak bez reszty i tak ciekawie wypełniać życie, że aż myśl nachodzi, że to cierpienie jest najpiękniejsze, bo dalej, cóż... dalej to już wielka niewiadoma.

Przy tym miłość moja była tak ogromna, że gotów byłem dla niej na wszystko. I jak tu wykonać jakikolwiek dalszy krok, skoro to wszystko, na co byłem gotów, nie nadchodziło niestety.

Więc patrzyłem jeden rok, drugi...

Raz w czasie wakacji otrzymałem list od jej koleżanki. Zawiadamiła, że organizuje wędrowkę po Gorcach, będą obie, będzie jej kolega i mnie zapraszają do kompletu. Byłem w siódmym niebie. W jakiś czas później, już telefonicznie wyłuszczyła mi bardziej przyziemnie, że nie bez znaczenia jest fakt, że ją rodzice o coś niesłusznie posądzają i dla niej jedynym ratunkiem w zrealizowaniu swojego udziału w upragnionej wędrowce jest mój wyjazd. Ojciec zadzwoni, upewni się; potem przekaże ją w moje ręce na dworcu i już będzie zupełnie spokojny. My spotkamy się z dwojgiem naszych współtowarzyszy, jej upragnionym i przecież z nią, moją wymarzoną – na dworcu w Krakowie.

Monstrualny był to przecież układ – miałem stać się gwarantem dla jej rodziców jej cnoty, a nawet mnie nie znali. Dlaczego ja? Dlaczego nie jej chłopak? Czyżby dla jej rodziców mnie zarysowała jako swego, o którym poważnie myśli? W imię czego mnie tak wrabiała bez najmniejszych skrupułów? Najwyraźniej nie miała wątpliwości, że z kimś takim jak ja, tak można. Oczywiście bez wahania wdepnąłem w to.

Nasz pociąg przyszedł do Krakowa kilka godzin wcześniej od ich pociągu, ale pora była tak późna, że baliśmy się przebywać w poczekalni dworcowej. Noc była ciepła, gwieździsta. Poszliśmy przez Kraków. A Kraków był tak dalece rozespany, że nawet trębacz z Wieży Mariackiej odtrąbił hejnał trzy razy zamiast kardynałnych czterech. Szliśmy tak przez puste Planty Krakowskie, a ja coraz większą miałem ochotę na nią i upatrywałem dogodnego miejsca, a wszędzie było dobrze. I najbardziej miałem na nią chęć, gdy pięliśmy się rozmarzeni na wzgórze wawelskie. I nawet pod Basztą Sandomierską przysiedliśmy na trawie. Ale ja wykazałem olbrzymi hart swojego ducha, wzniosłem się nad przeciętność i nie tknąłem jej czci dumny swym zwycięstwem. I gdybym nawet nie wznosił się na takie szczyty doskonałości duchowej, to chyba godność nie pozwoliłaby mi zbezcześcić dziewczyny innego chłopaka, nie mówiąc o tym, że w tych właśnie godzinach moja wyśniona zbliżała się ze stukotem kół wagonu coraz bardziej do mnie.



Pod Basztą Sandomierską.

Powlekliśmy się już milcząco z powrotem na krakowski dworzec, i przyjechał ten jedyny pociąg. Powitaliśmy kolegę. Jej nie było. Nawet nie miała przyjechać – uzmysłowił mi litościwy kolega.

W czasie wędrówki w Gorcach widziałem płynący nad lasem balon dywersji amerykańskiej. Miał kształt przezroczystej kwadratowej poduszki, a z pojemnika sypały się czeskie banknoty po jednej koronie każdy z wkomponowanym haniebnie oszczerczym hasłem pod adresem reżimu czechosłowackiego.



Gorce

Przeszliśmy całe Gorce. Pod Turbaczem schroniliśmy się przed nagłym deszczem pod świerkami, ale gałęzie szybko przemokły i mokliśmy jeszcze bardziej. Zdecydowaliśmy się iść dalej w tej ulewie. Schronisko na Turbaczu właśnie budowano, robotnicy pozwolili nam się osuszyć przy ogniu w ich baraku. Potem dotarliśmy do Starego Sącza. Tu zwiedziliśmy tamtejszy klasztor. Nawet doszliśmy do Rabki. Przez całą wędrówkę rysowaliśmy napotkane obiekty. Mieliśmy obowiązek zaliczenia tak zwanego rysunku wakacyjnego.



Gorce

Po wakacjach nadal wzdychałem okrutnie z wielkiej tęsknicy za nią. Koledzy zatroskani wyrokowali, że uratowałyby mnie szybkie a dokładne nacieranie piersiami. Wreszcie jeden najbardziej przyjacielski zadziałał. Wymógł na mnie przyrzeczenie, że w ciągu najbliższej godziny nie wyjdę z pokoju. Wrócił nawet wcześniej, odbił przyniesioną ćwiartkę czystej z czerwoną kartką, kazał wypić i zaprowadził mnie do swego pokoju, gdzie samotnie siedziała Ona. Zesztywniała groźnie, gdy oświadczył jej, by mnie uważnie słuchała, a sam wychodzi, bo go to już dalej nie interesuje.

Czysta już zaczynała działać, a moja sytuacja była tak dalece bez wyjścia, że wyksztusiłem wreszcie: – bo widzisz, ja ciebie Kocham... – Usłyszawszy złagodniała nieco. Wyjaśniła, że mnie bardzo lubi i nawet szanuje, ale trudno jej ocenić, czy byłoby kiedyś z tego coś więcej.

Sytuacja była jasna, wychodząc przeproszałem ją bardzo za to, że naraziłem ją na wejście do męskiego akademika. Dopiero pisząc te słowa, po tylu latach, genialnie odkryłem, że przecież sama weszła, nie przez mnie zaproszona i raczej jak wszystkie inne wiedziała po co.

Paradoksalnym absurdem może zwać by należało miłość, zwłaszcza tak czystą... złe słowo – tak pokraczna.

A jednak kochałem ją prawdziwie.

*

Rozdział 25

Tedy też wszedł Jakób do Racheli, i miłował Rachelę bardziej niż Liję, a służył mu jeszcze drugie siedem lat.

1 Moj. 29.30

Aż mnie to dziś dziwi, bo ta historia miała miejsce w czasie poprzedniej. Jak to możliwe? Czyżby taki mały skok w bok?

Dostałem wczasy studenckie w Krynicy Morskiej. Zaraz po przyjeździe przez dwa dni bez przerwy grałem w siatkówkę, a potem nagle sport się rozleciał. Jeden ze sportowców, starszy, doświadczony pan (czemu znalazł się na wczasach bądź co bądź studenckich?) zwrócił uwagę na prześliczną studentkę – uosobienie czystości – tej moralnej oczywiście. Trzymał ją w garści, króciutko. – Czym, na Boga? – A ona nie wierzyła, było jej z tym wyraźnie dobrze, nawet nie spojrzała na innych chłopców.



W Krynicy Morskiej, 1957 rok. (No, jednak patrzyła na innych chłopców).

Druga sprawa była jeszcze bardziej zadziwiająca. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak dwie kobiety zstąpiły ze swych tronów pogardy dla męskiego motłochu i podjęły nieustającą walkę o jednego chłopaka. Walka to była okrutna, wielce pouczająca, niegardząca żadnym najbardziej perfidnym środkiem. Była to walka szalenie ciekawa, bo rzuciły na szalę bardzo różne atuty i umiały je w pełni rozegrać. Jedna zabrała się do sprawy z wielkim doświadczeniem i uderzyła frontalnie wszystkimi znanymi jej już zapewne od dawna chwytami i całą przebiegłą strategią. Już we wstępnym boju opanowała cały teren walki. Druga nie miała zgoła czym walczyć; przystąpiła do walki jedynie z przerażająco wczesną młodością i zaledwie miejscem na atuty nierychłego piękna jej ciała. Silniejsza może była jedynie w tym, że widać z jednego zdawała sobie bardzo dokładnie sprawę, że walczy pierwszy wprawdzie, ale i ostatni raz w życiu. A była w tym, jak się okazało, niesłychanie silna broń.

Wielkiej rutynie wypróbowanych damskich środków przeciwstawiła uświadomienie niestęchanie skuteczne – swą nierozciętą jeszcze księgę przyszłości. Na ten jedyny w swoim rodzaju mecz wszyscy patrzyliśmy z wielką uwagą i szacunkiem. Ta siksa każdego dnia odnosiła swe maleńkie kolejne zwycięstwo, aż zabrzmiało wielkim akordem i fortissimo, gdy ostatniego dnia wczasów ta młoda i przedmiot ich walki zwyczajnie znikli. I nie to było ciekawe, co oni gdzieś tam robią. Najciekawsze było pobojowisko, jakie zostawiła.



Z Krynicy Morskiej do Fromborka na jachcie Smok.

Ja, wśród tych epokowych wydarzeń, wypatrzyłem koleżankę rywalek, taką z długim czarnym warkoczem i o ciemnej karnacji skóry. Coś z ogólnej atmosfery i do mnie musiało dotrzeć, a może i coś sobie uświadomiłem, bo moja partnerka szybko zorientowała się, co w trawie piszczy i zrobiła mi wykład o tym, że są to przecież tylko wczasy, że nie należy, abym ja bądź ona, abyśmy tu zawiązywali sobie ręce na resztę życia, że ważniejsze przecież jest koleżeństwo całego naszego zespołu, że wśród nas są tak wyraźnie odtrąceni Wietnamczycy... I odtąd pływała kajakiem po Zalewie z jednym Wietnamczykiem. Ja też wbijałem się samotnie kajakiem w te rozległe szuwary Zalewu i tęsknie grałem na organkach. Czy melodię woda niosła, czy też pani postanowiła jednak być bardziej sprawiedliwą, bo z wczasów wracała już ze mną. Na pyrkającym stateczku wiozącym nas z Krynicy do Tolkmicka dotarło do niej najwyraźniej, co bezmyślnie odrzuciła.

Pojechała jeszcze ze mną pociągiem, a przez Tolkmicko pociąg jechał wprost ulicami miasteczka, a przed wlokącym się pociągiem szedł konduktor i czerwoną chorągiewką rozpędzał kury. W Malborku na jej prośbę zwiedziliśmy jeszcze zamek, a i tak chwila rozstania nadeszła. Pisała, potem przyjechała do Warszawy, ale nie chciałem okazać jej jedynie litości, bo po prawie gdzie nawet nie miałem.

*

Rozdział 26

*I poczynaly owce patrząc na one pręty,
i rodziły jagnięta strokate, pstre i nakrapiane.
1 Moj. 30.39*

W ostatnich dniach lutego 1956 roku nagle gruchnęła niesamowita wieść. Prasa nic nie podawała, a wieść lotem błyskawicy obiegła cały kraj. Bolesław Bierut wyskoczył z okna ósmego piętra hotelu „Astoria” w Moskwie. Nie mógł pogodzić się z przebiegiem XX Zjazdu KPZR. Bardzo uroczysty pogrzeb zdawał się potwierdzać część prawdy. Szybko wybrany Edward Ochab na miejsce po Bierucie spowodował, że życie potoczyło się dalej po staremu.

Działacz ten miał właściwie tylko dwa epizody w stosunkach ze społeczeństwem. Najpierw wśród wielu jak zawsze dowcipów pojawił się jeden szczególnie kąśliwy:

Generał de Gaulle przybył właśnie z wizytą do Polski i wieść niosła, że przejeżdżając odkrytym samochodem wśród tłumów wiwatującej Warszawy zwrócił się kurtuazyjnie do milcząco jadącego obok Ochaba:

- Polski język jest bardzo trudny.
- I mnie pan to mówi? – odparł Ochab.

Drugi miał miejsce w czasie ostatniego etapu kończącego się tym razem w Warszawie kolarskiego Wyścigu Pokoju. W oczekiwaniu na przyjazd kolarzy Polskie Radio nadawało bezpośrednią transmisję ze Stadionu Dziesięciolecia, a że trzeba było jakoś sensownie czas wypełnić, spiker zwrócił się do będącego już na stadionie Ochaba:

- Panie przewodniczący, co pan sądzi o szansach Polaków w tym wyścigu?

Ochab odpowiedział przez radio na całą Polskę:

- Jestem starym komunistą i nie znoszę, gdy ktoś mówi do mnie inaczej jak – towarzyszu.

A co do szans Polaków – no – mój Boże – kto to może wiedzieć?

W pamięci mojej utkwiły wspomnienia z kilku wystaw. W 1939 roku, ledwie co rozumiałem, byłem z rodzicami na wystawie gospodarczej w Katowicach. Matka dostała taką dużą drewnianą – nazwijmy to kopyść, warząchew, łyżkę do mieszania w gotowanej w kotle bieliźnie. Ja dostałem coś w rodzaju niebieskiej raketki pingpongowej z wyciętym otworem i przywiązaną na gumce żółtą kulką drewnianą, którą podobno trzeba było trafić w ten otwór. I na maminej łyżce, i na mojej raketce był dumny napis – Radion sam pierze.



Na wystawie tej były tajemnicze skrzynki z wmontowanymi na bokach wziernikami jak od lornetki. Gdy zajrzałem przez taki wziernik do środka, to ujrzałem tam normalny, duży dom wśród drzew. Dla mego dziecięcego umysłu było niesamowite, jak normalny dom może zmieścić się w tak małej skrzynce. W ten sposób eksponowano wówczas makiety zaprojektowanych domów, aby przed ich wybudowaniem dać obraz przyszłej rzeczywistości.

Zaraz po wojnie, we wrześniu 1948 roku byłem, jak prawie każdy Polak, we Wrocławiu na Wystawie Ziem Odzyskanych. Symbolem wystawy była wzniesiona przez inżyniera Hempla ponad stumetrowa iglica – szczyt techniki ówczesnej. Obok skośnie komponowały się trzy drewniane łuki. Na wystawie tej było wiele, wiele osiągnięć przemysłu, z których znaczna część dla wielu zwiedzających jak i dla mnie była pierwszą i jedyną okazją do ujrzenia. Na terenie zasadniczej wystawy znajdowały się ekspozycje przemysłu polskiego. Była tam też wytwórnia filmowa specjalnie wybudowana na tę okoliczność. Na wydzielonych przyległych terenach, w setkach małych pawilonów o przemysłnej architekturze wystawiali swe wyroby drobni wytwórcy.



Wystawa Ziem Odzyskanych – Wrocław 1948 rok.



Wystawa Ziem Odzyskanych – Józef Cyrankiewicz – Wrocław 1948 rok.

A potem pojawiły się znów regularne, coroczne Targi Poznańskie. Właśnie w 1956 roku, z kilkoma kolegami wybraliśmy się pociągiem do Poznania na Targi. Nie dojechaliśmy. Cały dzień przetaczano nasz pociąg po różnych przedmieściach Poznania. Nikt się nami nie zajmował, Poznaniacy biegali, sklepy były zamknięte, nawet z dala jakby strzały było słychać. Cyraniewicz przez radio coś bardzo pewnie mówił, że ręce, które się po coś tam wyciągną, obetniemy ...

W tak dziwny sposób uczestniczyłem w wypadkach poznańskich. W kraju coś się jednak niewiadomego działo.



Wypadki czerwcowe 1956 roku w Poznaniu.

Z Wielkopolskiego Muzeum Walk Niepodległościowych w Poznaniu.

Zobaczmy, co było podłożem tych wydarzeń, a zwłaszcza zobaczmy, że każde tego typu wydarzenia dziejowe miały wyznaczony niewielki zakres dopuszczalnych zmian.

W dniach od 14 do 25 lutego 1956 roku obradował w Moskwie XX Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. W referacie sprawozdawczym towarzysza Chruszczowa padło wiele brzemiennych w skutkach stwierdzeń. Nie sposób ich tu w ogóle scharakteryzować; zainteresowani muszą sięgnąć po sam referat. Nam niech wolno będzie ująć literacki aspekt sprawy.

Sytuację i zachodzące przemiany w całym życiu Związku Radzieckiego pragnę zobrazować poprzez fragmenty przemówienia pisarza Michaiła Szołochowa, autora „Cichego Donu”:



Michaił Szołochow, 1938 rok.

Towarzysze delegaci!

Jak to już oświadczył nasz sekretarz, towarzysz Surkow, literatura radziecka nie ma własnego planu na szóstą pięciolatkę. Pozostaje mi tylko dodać, że gdyby nawet plan jakiś istniał, to zapewniam was, i tak nie zostałyby wykonane zarówno dlatego, że nasza praca jest całkiem specyficzna, jak i dlatego, że prawdę mówiąc nie ma w naszym kraju bardziej niezorganizowanych ludzi niż my, pisarze. (Śmiech).

Związek Pisarzy Radzieckich liczy 3247 członków i 526 kandydatów, razem 3773 ludzi uzbrojonych w pióra, ludzi, którzy opanowali w mniejszym czy większym stopniu sztukę literacką. Jak widzicie na pierwszy rzut oka siła niemała, ale niech was nie przeraża, ani też nie cieszy ta liczba. (Śmiech). Przecież to tylko „na pierwszy rzut oka”, w rzeczywistości na liście pisarzy jest sporo martwych dusz. (Oklaski).

Teraz, oko w oko z moją ukochaną partią, muszę powiedzieć o literaturze parę słów gorzkiej prawdy. Wymaga tego ode mnie mój obowiązek partyjny, obowiązek partyjnego i pisarskiego sumienia i honoru.

Towarzysz Surkow mówił tu dość mgliście o osiągnięciach literatury radzieckiej ostatnich lat i ilustrował swą tezę wzrastającą ilością książek, które ukazały się nakładem wydawnictwa „Sowietskij Pisatel” w latach 1953, 1954 i 1955. Wiecie, jak się to nazywa w potocznym języku? „Sypać piaskiem w oczy”. (Śmiech, oklaski).

Czyżby wzrost poziomu literatury można było mierzyć liczbą wydanych książek? Towarzysz Surkow powinien był powiedzieć, że mądre i dobre książki wydane u nas w ostatnich dwudziestu latach można policzyć na palcach, natomiast miernoty było w bród! Na tysiąc piór w ciągu dwudziestu lat – z dziesięć dobrych książek. Jak sądzicie czy to nie za mało? Oto co powinien był powiedzieć towarzysz Surkow, chociaż sami o tym doskonale wiecie.

Byłoby rzeczą dziwną, żeby teraz, kiedy pracowite ręce ludzi radzieckich tworzą największe w świecie elektrownie wodne, nasi propagandziści wciąż powtarzali społeczeństwu: „A jednak zbudowaliśmy w roku 1932 Dnieproges”.

Otóż właśnie my, pisarze, zbudowaliśmy sobie taką „dnieprogesowską” tamę literacką z dzieł napisanych przed 20-30 laty i gdy tylko ktoś naciera na któregoś z nas, pisarzy, żwawo chowamy się za tę tamę i stamtąd nie bez tupetu oświadczamy: „Przepraszam, jak to, nie ma książek? Jak to, nie piszemy? A „Klim Samgin”? A powieści Siergiejewa-Ceńskiego? „Żelazny potok” Serafinowiowa, a „Cement” Gładkowa, a „Kłęska” Fadiejewa, a powieść Leonowa i Fiedina, a „Czapajew” Furmanowa, a „Bruski” Panfierowa? I jednym tchem wyliczamy jeszcze

dziesiątek utworów uznanych przez czytelników i oszczędzonych przez czas. Jak długo będziemy ukrywać się w błogosławnym cieniu tej opiekuńczej tamy?

Od lat trzydziestych wielonarodowa literatura radziecka wzbogaciła się o nowe nazwiska wybitnych mistrzów prozy, poezji i dramaturgii. Bezsprzecznie, w ciągu całego okresu swego istnienia literatura nasza stworzyła niemało pełnowartościowych dzieł i słusznie stała się przodującą literaturą świata. Trzeba jednak z ręką na sercu szczerze przyznać, że przodującą stała się nie dlatego, iż wzniosła się na jakieś dawniej nieosiągalne dla pisarzy wyżyny doskonałości artystycznej, lecz dlatego, że my wszyscy, każdy w miarę swego talentu, posługując się głęboko oddziaływanymi środkami sztuki, natchnionym słowem artystycznym, propagujemy zwycięskie idee komunizmu – największej nadziei ludzkości. Oto gdzie leży tajemnica naszego powodzenia! Niechby któryś z pisarzy spróbował w naszych czasach napisać jakiś utwór z pozycji antykomunizmu – nazwisko takiego pisarza natychmiast będzie pogardliwie zapomniane, a jego nie czytane książki pokryją się pleśnią na półkach. A więc, jak widzicie, wawrzyny należą się nie tyle tym, którzy pisali, ile tej, która ich natchnęła do stworzenia wielkich dzieł – naszej drogiej partii komunistycznej. I my, pisarze, szczerze, z całego serca jesteśmy temu radzi i gotowi nadal do ostatniego tchu służyć słowem, sprawie partii Lenina, święcie dochowując wierności w życiu i w literaturze jej szlachetnym celom (oklaski).

O cóż chodzi? Dlaczego nasza literatura pozostaje w tyle? Drogi Nikito Siergiejewiczu! [chodzi o Chruszczowa] Zapewne nie chcąc dotknąć pisarzy, pytaliście w bardzo powściągliwej formie: „Czy aby nie osłabła więź niektórych naszych pisarzy i pracowników sztuki z życiem?” Jesteście człowiekiem uprzejmym, Nikito Siergiejewiczu. Ale mnie, jak się to mówi, Pan Bóg, skrzywdził, pozbawił tej cennej zalety, i dlatego pozwólcie mi, że z nieco szorstką szczerością zapytam Was z kolei: czy może osłabnąć to, czego nie ma? (Śmiech, ożywienie na sali, oklaski). I czy można oderwać się od tego, czego się nie trzymamy? (Śmiech, oklaski).

Całe nieszczęście na tym polega właśnie, że nie niektórzy, lecz bardzo liczni pisarze od ładnych już paru lat stracili więź z życiem, i to nie odrywając się od niego, lecz cichutko odchodząc na bok, i spokojnie trwają w sennej i niepojętej kontemplacyjnej beczynności. (Oklaski). Aczkolwiek brzmi to bardzo paradoksalnie, ale nie mają oni o czym pisać. I to w epoce, kiedy kraj i partia pochłonięte są całkowicie olbrzymią konstruktywną twórczą pracą! A nie mają o czym pisać dlatego, że nie znają życia, nie obcują z ludem tak, jak powinni to czynić pisarze.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Lew Tołstoj znał duszę chłopca rosyjskiego jak nikt z nas, pisarzy współczesnych; Gorki przemierzył całą Rosję pieszo, a Leskow – pocztowymi i wynajętymi końmi; Czechow, już ciężko chory, wiedziony ogromną miłością do ludzi i zawodową pisarską rzetelną ciekawością, znalazł w sobie dość siły, by pojechać na Sachalin. Wielu zaś ze współczesnych pisarzy, zwłaszcza spośród moskwczyzan, obraca się w zaczarowanym trójkącie: Moskwa – willa – uzdrowisko (Śmiech, oklaski) i znowu uzdrowisko – Moskwa – willa. Czyż to nie wstyd tak bez celu trwonić życie i talent?

W Moskwie przebywa około 1200 pisarzy. Powiedzmy, rzecz naturalna: Moskwa – stolica, największy kulturalny i przemysłowy ośrodek kraju. Lecz nie jest naturalne to, że mieszkając w stolicy pisarze i tu potrafią stać na uboczu, poza życiem. W prostocie ducha sądziłem, że moi współbracia moskwczykanie, zamierzając pisać nowe dzieła utrzymują kontakt z robotnikami największych przedsiębiorstw przemysłowych, interesują się produkcją tej czy innej fabryki, życiem, potrzebami i dążeniami robotników. Gdzie tam! Żyją w lesie, a lasu nie widzą.

Któryż z pisarzy wszedł jak przyjaciel i człowiek bliski do robotniczej rodziny lub rodziny inżyniera, nowatora produkcji, pracownika partyjnego w fabryce? Bardzo nieliczni. W przeciwnym razie Żurbinowów odkryto by w Moskwie znacznie wcześniej, niż to zrobił Koczetow w Leningradzie. Żyją moi bracia pisarze na uboczu i w odosobnieniu, niby starzy wielcy samotnicy. (Śmiech). Ze smutkiem dowiedziałem się, że nie ma druha-pisarza ani w kolektywie robotniczym fabryki „Sierp i Młot”, ani w zakładach imienia Stalina, ani w „Dynamo”, ani w „Czerwonym Proletariuszu”. Będę rad, jeżeli się omylę, lecz zdaje mi się, że taki sam obraz ujrzymy i we „Frezerze”, i w „Triechorze”, i w „Kalibrze” i w fabryce łożysk kulkowych oraz w innych zakładach przemysłowych Moskwy.

Co prawda, pisarze bywają w wielkich zakładach w charakterze gości, a raczej na występach gościnnych, gdzie ku ogromnemu naszemu wstydowi nie krępują się czasami pobierać za swe występy odpowiedniego pieniężnego wynagrodzenia z kasy robotniczej. Od jakiegoż to czasu praca społeczna stała się u nas zajęciem zarobkowym? Niektórzy pisarze otrzymują honora-

rium nawet za wystąpienie w akademiach wojskowych. Najwyższy czas położyć kres temu hańbiącemu procederowi. Czas pouczyć macherów od literatury, że między tenorem estradowym, który zarabia sobie głosem na chleb powszedni, a pisarzem musi być jakaś różnica! (Na sali ożywienie, śmiech, oklaski). Jest to w ogóle niedopuszczalne, a zwłaszcza niedopuszczalne wtedy, kiedy do kasy fabrycznej lub innej wyciąga rękę pisarz – komunista.

Czekacie, towarzysze, na nowe książki? A ja chcę was zapytać: od kogo? Od tych, co nie znają dobrze ani kołchoźników, ani robotników? Od tych, którzy wysiadują i wylegają się w domowym zaciszu? Ależ z dawien dawna wiadomo, że leżący kamień mchem obrasta. Nie ma i nie będzie w najbliższym czasie wartościowych, dobrych książek, jeżeli stan rzeczy w literaturze nie zmieni się gruntownie, a zmienić go może tylko partia. Lecz o tym – później.

[Pomijam znaczny fragment wystąpienia].

Wszyscy jesteśmy synami naszej wielkiej partii komunistycznej. Każdy z nas, myśląc o partii, zawsze z uczuciem ogromnego wzruszenia mówi w duchu: „Partio – matko nasza ukochana – tyś nas wychowała, ty prowadzisz nas przez życie jedynie słuszną drogą”. I oto teraz, patrząc na was, mówię na zakończenie:

Ukochana partio! Masz potężny, jasny rozum kolektywny i matczyne ręce, które potrafią być i surowe, i tkliwe. Znajdziesz niezbędną formę pomocy dla swoich pisarzy, a kiedy oni, uskrzydleni twą uwagą i troskliwością, stworzą nowe, godne ciebie, partio, i godne ojczyzny dzieła – wdzięczny czytelnik radziecki i zagraniczny tobie przede wszystkim serdecznie podziękuje! (Burzliwe, długotrwałe oklaski).

Tak mówił Szołochow na XX Zjeździe KPZR. Krytykował, oceniał sytuację, proponował metody poprawy; trudno zgadnąć, czy zdawał sobie sprawę, że problem jest znacznie bardziej złożony. I choć wielu mówiło o wielkich osiągnięciach Związku Radzieckiego i jeszcze większych planach, to znacząca grupa delegatów wykazywała błędy i wypaczenia poprzedniego okresu.

Towarzysz Susłow mówił, że: „Należy całkowicie przewyciężyć szkodliwą teorię i praktykę kultu jednostki i ściśle przestrzegać w pracy wszystkich instancji partyjnych zasady kolegalności kierownictwa”.

Mówił ponadto:

„Niestety jest jeszcze i teraz niemało instancji partyjnych, w których mania posiedzeń i robota papierkowa, a nie praca organizatorska wśród mas, jak dawniej pochłaniają najwięcej czasu i sił pracowników. Nie trudno się domyślić, jaki jest pożytek z takiego stylu pracy. Ludzie obrażają, zajmują się pisaniną, praca zaś nie posuwa się naprzód.

Szerzy się choroba papierkowej roboty także w podstawowych organizacjach partyjnych, i to często z udziałem rejonowych komitetów partii, które żądają „wyczerpujących” protokołów z zebrań i narad, wszelkiego rodzaju informacji, sprawozdań itp. Wskutek tego główną troską niejednego sekretarza podstawowej organizacji partyjnej staje się nie praca z ludźmi, lecz praca papierkowa, która pochłania prawie cały jego czas.

Oto przykład pracy jednego takiego sekretarza – sekretarza organizacji partyjnej kołchozu im. Kirowa w rejonie szamchorskim Azerbejdżańskiej SRR, towarzysza Rustamowa. Teczki i zeszyty biurowe piętrzą się u niego całymi stosami na stole i na etażerze. Prowadzi on dzienniki ewidencji pracy grup partyjnych, pracy wśród kobiet, pracy z młodymi komunistami, pomocy dla organizacji komsomolskiej, skarg i zażaleń, zadań partyjnych zleconych poszczególnym komunistom, szkolenia partyjnego, ewidencji pracy amatorskich zespołów artystycznych. Posiada on teczki z napisami: „Gazetki ścienne”, „Błyskawice”, „Współzawodnictwo w hodowli”, „Współzawodnictwo w produkcji roślinnej”, „Koło miłośników sadzenia drzew”.

Ewidencję pracy agitatorów prowadzi się w trzech zeszytach: „Dziennik pracy agitatorów”, „Ewidencja pracy masowo – politycznej”, „Dzienne przydziały zadań dla agitatorów”.

Wyobraźcie sobie tylko, ile czasu pochłania cała ta papierkowa robota, która nieuchronnie stwarza barierę między sekretarzem a żywą pracą organizatorską.

Nie prowadzi się natomiast w kołchozie żadnej pracy wychowawczej wśród dojarek i pastuchów. Farmy są w ogóle niezmechanizowane, nie ma regulaminu zajęć dziennych, nie ustalono racji pokarmowych dla zwierząt. Produktywność hodowli jest bardzo niska: przeciętny roczny udój mleka wynosi zaledwie 484 litry. A teczki sekretarza nie dały w ogóle mleka, okazały się pod tym względem zupełnie jałowe”.

„Tymczasem nasza praca ideologiczna ... w znacznej mierze jest jałowa, sprowadzając się do wykuwania na pamięć jednych i tych samych znanych formuł i tez oraz wychowując często doktrynerów i dogmatyków oderwanych od życia”.

„Doszło do tego, że miliony komunistów w sieci szkolenia partyjnego studiowały przez wiele lat błędne poglądy narodników, ekonomistów, bundowców...”

Towarzysz Doronin:

„... większość pracowników aparatu partyjnego siedziała w biurach i gabinetach, pisała uchwały i opracowywała „posunięcia”, a wcielać tego w życie nie było komu. W roku 1953 dostarczono państwu 22 tysiące ton zbóż, a otrzymano od państwa w formie pożyczki 100 tysięcy ton ziarna siewnego i zboża konsumpcyjnego. Wskutek gwałtownego spadku uprawy lnu w roku 1953 nie potrafiliśmy zebrać nawet takiej ilości nasion, jaka została zasiana, i musieliśmy znów ograniczyć zasiewy lnu, tej podstawowej rośliny przemysłowej naszego obwodu”.

Towarzyszka Pankratowa:

„W naszych podręcznikach i książkach o historii poszczególnych narodów nie zwraca się prawie uwagi na demaskowanie ucisku narodowo-kolonialnego za czasów absolutyzmu carskiego. Niektórzy autorzy podkreślając słusznie postępowe znaczenie przyłączenia tych narodów do Rosji pomijają drugą stronę zagadnienia. Carat niósł narodom ogromny ucisk, hamował ich rozwój polityczny, gospodarczy i kulturalny. Wiadomo, że Lenin nazywał Rosję carską „więzieniem narodów”.

Tak XX Zjazd KPZR zakończył okres „kultu jednostki” i „błędów i wypaczeń”. Teraz to samo powinny zrobić partie komunistyczne w Krajach Demokracji Ludowych, w tym między innymi w Polsce.



Nikita Chruszczow na XX Zjeździe KPZR

*

Rozdział 27

*A Rachel wzięwszy one bałwany, włożyła je pod siodło wielbłądowe,
i usiadła na nich; i zmacał Laban wszystkie namioty, a nie znalazł.*

1 Moj. 31.34

XX Zjazd KPZR przeminął, poza pogrzebem Bieruta niewiele z niego dotarło do Polski – było cicho, po staremu. Coś jednak dręczyło podświadomość, skoro z ostatniej konferencji ZMP na Wydziale Architektury robiłem takie notatki kołaczących się myśli:

Więc narada – jaka? – Nasza, architektury. Można by dużo myśleć, że coś wielkiego nastąpi. Początkowo oszołomienie (jak zawsze), wzlot, i naturalnie zwątpienie. Czyżby wszystko z powodu oschłej atmosfery? Myśli uciekają i wracają – narada trwa, a ja nic – piszę.

Mówi Zdzisław Kostrzewa [patrz Fi laman] – „zespoły” – oczywiście studentów...

Ale nie można się skupić nad myślą (może jeszcze na sali jej nie ma?) Czyżby Kostrzewa chciał tylko zagaić? – Przecież już podaje wnioski! Czuję, że słuszne (bo system pracowniany), ale wzrok stale ucieka, bądź do pustej plamy wolnych miejsc... Tam z boku Leszek rysuje. To dobrze. Ciekawe co?

Jak załatwić z włoskim?... Aha! – Dyplom nawet będzie zespołowy! Wszedł profesor Biegański. A Rysiek? – wszystko, tylko nie referat.

Gdzież są me początkowe chęci dania czegoś z siebie... przynajmy przed samym sobą – głównie była to chęć zaimponowania wam – i to od razu, silnie!... ale po całym dniu brydża...

A tu na sali – „znów ludzie ideowi” – ... dokąd? Do czego to wszystko ma zmierzać? Czy przez to, czy owo wybić się, czy raczej myśleć o dobru innych?... ciekawe... Myśl wszystko przyjmuje, tylko wydaje mi się, że nie referat. – Tym razem „społeczne znaczenie”. Niech tam!

Słup jest fantastyczny przy rysowaniu (szczególnie jego język). Referatowi „coś nie leży”. Nie wiem dlaczego, czy z jakiego powodu mu nie leży (zresztą jak kto woli). Zająłem się tą naradą, by patrząc z boku, niemal z „mównicy” widzieć wszystko z wielką rezerwą, z akcentowaniem odruchów sali. Na szczęście dochodzę do przekonania, że chyba każdy tutaj szuka siebie... tylko czy wszystko inne, co dzieje się po „linii zasadniczej” na sali, czy to tak sobie pływa, nie wiadomo po co?

Mietek jest zadziwiający – siedzi z miną, że niby po co mu to wszystko mówią. On to doskonale wie.

Aprobata! — proszę państwa!

Ten znów na mównicy stara się uziemić studenta – więc na sali cisza, może nawet wzrasta zainteresowanie. Uśmieški na twarzach – nareszcie coś – „demoralizacja młodzieży w pracowniach”.

Przyszedł Lubański – a w dekoracji sali dopiero teraz zaczynam odkrywać jej poszczególne elementy.

Dziwne. Wszyscy robią wrażenie czekających do skoku. Z wielką rezerwą przyjmują nawet słuszne wypowiedzi.

„Uczyć się od majstrów!” – No, no...

Coraz mniej mam czasu na obserwowanie sali (zawiedziony jestem „mimo wszystko”), że temperatura zebrania rośnie. To już nie zabawa... nie czas na takie notatki...

Potem minęły wakacje i minął początek roku akademickiego. Od szeregu dni wszyscy nosiliśmy małe kokardki z węgierskimi barwami narodowymi. Węgrzy walczyli. Na naszym roku pojawiło się kilku bardzo sympatycznych studentów Węgrów, którym wszyscy pomagaliśmy w nauce języka. Szybko wrośli między nas. Moje życie studenta wróciło do utartego schematu. Przyszedł październik roku 1956. Któregoś dnia wybrałem się na piętnastą do kina „Moskwa”. Wracałem tramwajem. Było jeszcze widno, ale zmrok już się zaczynał. Jechaliśmy zwyczajnie Filtrową i dopiero tuż przed Placem Narutowicza spostrzegliśmy, że tam się coś dzieje. Plac Narutowicza był wypełniony ludźmi dziwnie podekscytowanymi. Gdy tramwaj skręcił w lewo na Plac, zakotłowało się. Rzucono granaty łzawiące. Teraz dopiero zobaczyłem milicję szturmującą wzdłuż Grójeckiej i pędzący tłum w kierunku Dworca Głównego. Obok tramwaju dopadli reportera i dosłownie wdeptali w bruk jego kamerę. On coś protestował po francusku. A ludzie podawali z ust do ust: – to Gołędziniaki.



Gmach główny domów akademickich na Placu Narutowicza.

Emocja wymiotła mnie z tramwaju, ale nie odważyłem się wejść do Domu Akademickiego, w którym, tym razem od ulicy Mochnackiego, mieszkałem. Wzdłuż Grójeckiej po stronie Akademika stała wielka kolumna już pustych samochodów milicyjnych. Milicja była w akcji pod Gmachem Głównym Akademika. Wielu pojedynczych przechodniów snuło się po Placu. Podszedłem tam. Tu zrozumiałem powagę sytuacji, gdy na szturmującą raz po raz do wejścia grupę milicjantów posypały się z góry, z tarasów całe skrzynki z ziemią do kwiatów, a nawet żelazne łóżka. Nie weszli.

Ciekawość i konieczność spania spowodowały, że wszedłem do siebie. Od Mochnackiego było całkiem spokojnie. Na zewnątrz walka wrzała, a w pokojach gorączkowo wypytywano się wzajemnie, ale nikt nic nie wiedział. Dopiero na dziedzińcu jakiś taki wskoczył na kupę otoczków i coś tam wyjaśniał, że o coś trzeba walczyć. Dominował jednak pogląd wśród wszystkich, że jeśli milicja chce wejść, to my ich właśnie nie wpuścimy – była to cała filozofia. Może paru wiedziało, czemu to wszystko ma służyć; w każdym razie przypuszczam, że nawet nie ci, którzy pojawili się z błyskiem ekstazy w oczach, a z butelkami z benzyną w rękach. [Po latach dowiedziałem się, że jednak ci z benzyną wiedzieli, bo byli to prowokatorzy z UB, wśród nich mój kolega z pokoju]. Jedni „studenci” zapewne dobrze wiedzieli. Siedzieli w kilku w zabarykadowanym pokoju na pierwszym piętrze tuż nad wejściem do Gmachu Głównego i przez krótkofalówkę meldowali o sytuacji wewnątrz, o wzrastających nastrojach wśród studentów.

Było już późno, gdy ktoś zadziałał i podjął decyzję, z uznaniem przyjętą przez obie strony walczące – w całej dzielnicy wyłączono światło – poszliśmy więc spać.

Następnego dnia do studentów przyłączyło się miasto. Była to szczególna walka. Co dzień, do południa studenci się uczyli, ludzie przykładnie pracowali, a po obiedzie znów się zaczynało, i właściwie z dnia na dzień bardziej zajadłe.

Początkowo chodziłem, wszędzie mnie było pełno, dopiero gdy ledwie umknąłem z wysepki tramwajowej na Marszałkowskiej, zacząłem jeździć tramwajami i nadal obserwowałem. A na tej wysepce stali ludzie po pracy i czekali na swoje tramwaje. Nagle podjechała buda milicyjna, wyskoczyło z niej kilkudziesięciu milicjantów i drewnianymi pałkami dokonali chwalebego czynu.



Ulica Mochnackiego – po lewej domy akademickie.

Ale i ludzie też nie byli dłużni. Poprzedniego dnia późnym wieczorem przewrócili na Placu Konstytucji tramwaj i doszczętnie zdemolowali budkę milicyjną ustawioną centralnie na Placu, po osi Marszałkowskiej. Do rana nic nie było znać. Nawet budka stała już nowa.

Studenci proklamowali oficjalny wiec na Politechnice. Tu już nie poszedłem. I dobrze. Bo milicja obstawiła wszystkie ulice wokół Politechniki i niczym się nie przejęła, gdy studenci po wiecu wyszli czwórkami, tylko łąła tymi samymi drewnianymi pałami, szyk czwórkowy nawet do obróbki był wygodniejszy. Sądzę, że przekonało to studentów. Nadal jednak wrzało miasto.

Za którymś objazdem tramwajowym, (tramwaj jechał Marszałkowską w kierunku Placu Konstytucji i zatrzymał się na przystanku przy Wilczej) walczący tłum uniemożliwił dalszą jazdę. Stałem w tłoku na ostatnim pomoście. Nic nie widziałem z tego, co działo się na przedzie. Podjechało na motocyklu dwóch milicjantów z kompanii ruchu. Stanęli za ludźmi i czekali na możliwość przejazdu. Obok była jeszcze wówczas budowa. Nagle zza parkanu budowy wyleciał kawał betonowej trylinki, trafił w głowę siedzącego z tyłu milicjanta, zszokowany kolega kierowca ruszył nagle i włókł tego z rozmiądzoną głową po jezdni. Na tym skończył się dla mnie „polski październik”. Nie wytrzymałem widoku tego zabitego. A trylinka to taka betonowa kostka brukowa o kształcie sześcioboku.

Z polskim październikiem 1956 roku naród wiązał wielkie nadzieje. Oczekiwano wielkich zmian w każdej dziedzinie życia. Obywatele sami zaczęli działać i to z wielkim zaangażowaniem przywracając normalność życia. Ta postawa Polaków jednak bardzo zaciemniła sytuację, bo władza wcale nie chciała zmian. Partii wystarczyła wymiana Ochaba na Gomułkę, a ten oszukał naród sprawiając wrażenie, że też chce zmian i ich dokona.

Dla porządku odnotować należy, że na VII Plenarnym Posiedzeniu KC w dniach 18-28.VII.1956 roku, w trzecim punkcie porządku dziennego Komitet Centralny uznając, że zarzuty zawarte w części uchwały III Plenum KC PZPR z 1949 roku w sprawie towarzyszy: Wła-

dysławia Gomułki, Mariana Spychalskiego i Zenona Kliszki okazały się nieprawdziwe, postanowił anulować tę część uchwały jako niesłuszną.

Więc potrzebne były teraz rozruchy aby:

Na VIII Plenarnym Posiedzeniu KC w dniach 19-21 października 1956 roku I Sekretarzem Komitetu Centralnego wybrano towarzysza Władysława Gomułkę.



Gomułka przemawia na wiecu pod Pałacem Kultury w Warszawie w dniu 24 października 1956 roku.

Rozruchy zanikły. Naród z wielkim entuzjazmem wziął się za budowę lepszej Polski.

IX Plenarne Posiedzenie KC w dniach 15-18 maja 1957 r. podjęło znamienne uchwałę:

Uchwała

w sprawie odpowiedzialności partyjnej za wypaczenia w organach byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego

Komitet Centralny wysłuchał sprawozdania powołanej na VIII Plenum komisji dla zbadania odpowiedzialności partyjnej za wypaczenia w organach b. Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

W toku swych prac komisja zbadała dokumenty dotyczące bezzasadnych, fałszywych oskarżeń, bezprawnych aresztów, procesów i wyroków oraz szkodliwych i przestępczych metod śledztwa. Komisja zbadała zakres i metody sprawowania nadzoru nad organami bezpieczeństwa ze strony powołanych do tego członków Biura Politycznego. Komisja oparła się również w swoich badaniach o materiały śledztwa prowadzonego w sprawie Romkowskiego i Fejgina oraz o materiały w sprawie Różańskiego.

Ponadto komisja przeprowadziła rozmowy z niektórymi członkami ówczesnego Biura Politycznego oraz z szeregiem osób zajmujących kierownicze stanowiska w ubiegłych latach w MBP, Sądownictwie Wojskowym, Prokuraturze i Informacji WP, jak również z osobami biorącymi udział w komisjach powołanych przez Biuro Polityczne dla zbadania pracy b. MBP, a także z wieloma osobami niesłusznie represjonowanymi.

W wyniku tych badań komisja doszła do następujących wniosków:

1) Komisja stwierdziła, że szczególną polityczną odpowiedzialność za partyjny nadzór nad działalnością organów bezpieczeństwa w okresie 1949-1955 ponoszą b. członkowie Biura Politycznego: tow. Jakub Berman, sprawujący ten nadzór w ramach podziału pracy w kierownictwie partyjnym, i tow. Stanisław Radkiewicz, sprawujący w tym okresie funkcję Ministra Bezpieczeństwa Publicznego.

2) Komisja stwierdziła, w sposób niebudzący wątpliwości, że ogół członków ówczesnego BP nie był informowany o pracy organów Bezpieczeństwa Publicznego, nie miał wglądu w ich poczynania nawet w najpoważniejszych sprawach politycznych.

Komisja starała się dociec, czy u źródeł bezzasadnych aresztowań i fałszywych oskarżeń, których ofiarą padli m.in. zasłużeni i oddani działacze partyjni, nie leżała świadoma prowokacja lub zła wiara ze strony towarzyszy sprawujących nadzór nad działalnością organów bezpieczeństwa. Komisja nie znalazła żadnych podstaw, które mogłyby uzasadnić taki zarzut.

3) Komisja stwierdziła, że tow. Berman, a także tow. Radkiewicz nie orientowali się w systemie przestępczych metod śledztwa i wymuszania zeznań stosowanych w X Departamencie MBP.

Odpowiedzialni za to pracownicy MBP: Romkowski, Fejgin, Światło, Różański, ukrywali system niedopuszczalnych metod presji fizycznej i moralnej, za pomocą których podlegli im oficerowie śledczy wymuszali fałszywe, często samooskarżające zeznania od aresztowanych, ukrywali bądź przeinaczali fakty i dane mogące świadczyć o stosowaniu tych metod, powodowali przetrzymywanie w więzieniu osób, które mogłyby je ujawnić, terroryzowali uczciwych pracowników wyrażających wątpliwość co do prawdziwości niektórych oskarżeń.

Działalność X Departamentu była ściśle zakonspirowana również wobec pracowników innych działów MBP.

System niedozwolonych metod śledczych stosowany był w wyodrębnionych i wyizolowanych obiektach więziennych, w szczególności na terenie specjalnego pawilonu w więzieniu mokotowskim oraz w zakonspirowanym areszcie X Departamentu w Miedzeszynie.

4) Sprawa Romkowskiego, Fejgina i Różańskiego jest w toku śledztwa.

Józef Światło zbiegł w obawie przed odpowiedzialnością i żeruje na oszczerstwach i rzeczywistych zbrodniach, których sam był jednym z głównych sprawców i współuczestników.

W toku śledztwa znajdują się też sprawy innych b. funkcjonariuszy MBP, obwinionych o znęcanie się nad uwięzionymi.

Jest jednak już obecnie niewątpliwe, że wyżej wymienieni wymuszali nieprawdziwe zeznania i przedstawiali je wraz z innymi sfabrykowanymi materiałami członkom kierownictwa, sprawującym polityczny nadzór nad organami Bezpieczeństwa Publicznego.

W X Departamencie gromadzono rzekomo kompromitujące polityczne materiały przeciwko członkom KC i Biura Politycznego włącznie do Ministra Bezpieczeństwa Publicznego. Materiały te zbierano również w trakcie przesłuchań aresztowanych.

Pracowników X Departamentu MBP wychowywano w poczuciu niezależności od partii i wyższości w stosunku do partii i jej kierownictwa. Niektórzy pracownicy tego departamentu uważali, że żaden członek kierownictwa partii, nie wyłączając I Sekretarza KC, nie jest dla nich wolny od podejrzeń i oskarżeń.

Komisja stwierdziła na podstawie całkowicie wiarygodnych zeznań świadków spośród osób aresztowanych w przeszłości, że oficerowie śledczy Bezpieczeństwa Publicznego i Informacji WP w toku śledztwa przesłuchiwali aresztowanych również na okoliczności związane z osobą tow. Bieruta, dając im do zrozumienia, że jeśli zechcą, to również tow. Bierut może być aresztowany pod zarzutem wrogiej działalności. Nadzór ze strony członków kierownictwa partyjnego był ograniczony, a podejmowane w owym czasie na podstawie poszczególnych sygnałów próby wniknięcia w metody śledztwa nie doprowadziły do ujawnienia i radykalnej zmiany istniejącego stanu rzeczy.

Komisja stwierdza jednak, że do wyrastania niektórych ogniw aparatu bezpieczeństwa ponad partię, do ich praktycznej bezkontrolności obok całokształtu błędów i wypaczeń owego okresu przyczyniły się również poważne wady w sposobie sprawowania politycznego nadzoru nad organami bezpieczeństwa, za które odpowiedzialni są bezpośrednio sprawujący ten nadzór tow.tow. Berman i Radkiewicz, a mianowicie:

- formułowanie, jako podstawy do działalności organów bezpieczeństwa, ocen politycznych wysnutych nie z konkretnej sytuacji faktów, ale z doktrynerskiego rozumowania, na którego kierunku szczególnie zaciążyła fałszywa teoria o stale zaostrej się w miarę postępów budowy socjalizmu walce klas, fałszywa, oparta o prowokacyjne materiały, ocena rozwiązania KPP [Komunistyczna Partia Polski], prowokacja w sprawie kierownictwa Komunistycznej Partii Jugosławii, zaostrenie sytuacji międzynarodowej i rzeczywista aktywizacja obcych wywiadów,

- nadmierne zaufanie w stosunku do tych pracowników aparatu bezpieczeństwa, którzy bezpośrednio prowadzili dochodzenia w sprawach wielkiej wagi politycznej, pozostawienie praktycznie poza zasięgiem kontroli partyjnej stylu i metod pracy w najczulszych politycznie ogniwach MBP,

- brak zdecydowania i konsekwencji w wyświeltaniu do końca poszczególnych sygnałów o metodach pracy X Departamentu oraz tolerowanie zbyt łagodnego traktowania winnych ujawnionych przestępstw.

W świetle powyższych ustaleń komisja stwierdza, że towarzysze Jakub Berman i Stanisław Radkiewicz nie wywiązywali się z powierzonych im obowiązków partyjnych w zakresie politycznego nadzoru i kierownictwa pracą organów bezpieczeństwa.

Po omówieniu sprawozdania komisji Komitet Centralny postanowił :

1) Odwołać ze składu Komitetu Centralnego i wykluczyć z partii tow.tow. J. Bermana i St. Radkiewicza.

2) Ustalić, że tow.tow. J. Berman i St. Radkiewicz po upływie 3 lat mogą ubiegać się o ponowne przyjęcie do partii.

Przyjmując te postanowienia Komitet Centralny kierował się przekonaniem, iż względ na niezmiernie poważne konsekwencje pracy nadzorowanego przez nich aparatu dla życia, wolności i godności obywateli powinien być dyktować tym towarzyszom szczególną wnikliwość i czujność wobec możliwości wszelkich wypaczeń.

Komitet Centralny rozpatrzył również na wniosek komisji sprawę działalności b. wiceministra Bezpieczeństwa Publicznego Mieczysława Mietkowskiego.

W świetle zbadanych przez komisję materiałów Komitet Centralny uznał, że wyciągnięte poprzednio wnioski organizacyjne w stosunku do tow. Mietkowskiego w postaci usunięcia go ze składu KC są niewystarczające, i postanowił wykluczyć go z partii. (Koniec uchwały KC)

A więc „ustalono”, że kilka zaledwie osób, a tyle, tyle zła...

... i jeszcze ta nazwa – Bezpieczeństwo Publiczne...

A jakże współmierne kary zastosowano – aż na trzy lata wykluczenie z partii.

I myśmy chcieli na takiej odnowie zbudować zdrową, szczęśliwą Polskę.

Do 2014 roku zdołano ustalić nazwiska około 4000 osób zamordowanych przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w latach 1945 do 1956. Jeszcze większa ilość czeka na rozpoznanie lub nigdy już nie będziemy znali ich nazwisk.

Zlikwidowano Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, to znaczy zmieniono mu nazwę na Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, bo gmach i ludzie, nie, nie ludzie – oprawcy pozostali.

Uchwała posługuje się terminem „niesłusznie represjonowani”, czyli byli słusznie represjonowani i nimi się nie zajmowano.

Przy tak zakłamanym podejściu partii do spraw terroru lat 1945-1956 i pozornych zmianach, aż dziwne są zmiany dokonane w wojsku. Marszałek Polski Konstanty Rokossowski wrócił do ZSRR i to wrócił wraz z wieloma generałami, pułkownikami i pomniejszych. Marszałkiem Polski, jak się okazało, dożyłotnio, w 1963 roku został Marian Spychalski (architekt).

Ale wróćmy do moich zwykłych wydarzeń.

*

Rozdział 28

*Wyrwij mię proszę, z ręki brata mego, z ręki Ezawa; boć się go boję,
by snąc przyszedłszy nie zabił mię, i matki z synami.*

1 Moj. 32.11

Po roku 1957 Polaków ogarnął entuzjazm, przeżywali odnowę, a u mnie zaczęło się od zaważenia dotychczasowej wewnętrznej konstrukcji. Związek Młodzieży Polskiej został rozwiązany i nawet powszechnie był wyszydzany. Mnie też nie wszystko podobało się w ZMP, ale żeby to wszystko, czym żyłem dotychczas, okazało się takim nieporozumieniem – tego nie potrafiłem zrozumieć. Pewne sprawy, w skrytości ducha, nawet bolały. Bolesny był żal do naszych bezpośrednich przywódców zetempowskich, którzy teraz wiedli prym w wyszydzaniu.

Jedyne, co godność osobista dopuszczała, to milczeć, myśleć...

Dotychczasowa przynależność do ZMP na studiach była obowiązkowa, ale wszyscy należeliśmy biernie – zrobiono zebranie, to siedzieliśmy i tyle. Jednak nawet bezwiednie coś nam w świadomości z doktryny socjalizmu zaczynało zalegać. Łatwo manipulowano nami, choćby przez codzienność, która sączyła w nasze umysły pozornie niegroźne kolejne skrawki doktryny. Młodzież, każda młodzież, jest przeraźliwie słaba, podatna na wpływy innych.

Brakowało mi trochę działalności organizacyjnej. Powstał jakiś Związek Młodzieży Socjalistycznej, ale tym razem na zimne dmuchałem.

Nawet jeden z kolegów, współorganizator ZMS pomyślał o mnie i przyszedł namawiać.

– Co to będzie? – zapytałem.

– No, wiesz, wyjedziemy w tym roku do Berlina, a w przyszłym roku obiecują nam nawet Londyn...

– A co poza wyjazdami?

Nie wiedział. Więc odmówiłem. I choć mu tego nie powiedziałem, to odmówiłem głównie za werbowanie perspektywą wyjazdów zagranicznych.

Kilkanaście dni wcześniej inny kolega opowiadał: Jechał tramwajem Alejami Jerozolimskimi w kierunku Placu Narutowicza. Tłok był duży. Stojący obok od dłuższego czasu starszy pan, czarny z wąsem, zagadał, chwalił się, że jest redaktorem w Ekspresie Wieczornym, deklarał, że chciałby z tym kolegą zawrzeć przyjaźń, obiecywał wyjazdy zagraniczne – właśnie! – tylko żeby przyszedł do niego, nawet wcisnął w kieszeń adres.

Konsylium kolegów w akademiku orzekło – pederasta. A dla mnie nie mogło być nic bardziej odrażającego.

Na szczęście dla mnie, reaktywowano Związek Harcerstwa Polskiego. Pomny idei i pełen wspaniałych wspomnień, zgłosiłem się.

Lubiłem już wówczas również pisać, bo wysłałem do tygodnika „Na Przełaj” takie oto opowiadanie. Nie wydrukowali wprawdzie, ale teraz po latach przeczytać można.

O godzinie piątej trzydzieści przed szkołą było tylko piętnastu harcerzy. W ciągu następnych minut zjawili się zdyszani dalszych sześciu. O, już teraz podniosłem uszy, przecież tylko dwóch brakowało do pełnego stanu drużyny.

W dwuszeregu drużyna wyglądała imponująco: mundury! – a jakże! Rzucający się w oczy nowiutki kocioł i pociesznie poprzyklepane do plecaków pałatki.

„W prawo zwrot” – tak skromnie zaczął się nasz wielki dzień. Zza węgła szkoły wyłoniło się pięć harcerek i trochę nieśmiało dołączyły do nas.

Powiecie zaraz zapewne: – Coś nietypowego, znów koedukacja? Dlaczego łamanie ogólnie przyjętych zasad? Utworzona Organizacja Harcerska na miejsce rozwiązanego ZHP wprowadziła drużyny koedukacyjne. My teraz reaktywujemy dawny ZHP, więc koniec z wszelkimi formami pracy dotychczasowej Organizacji Harcerskiej.

I tutaj też tkwi nasz problem. Drużyna jako próbna istnieje już od maja. Nawet ładnie rozkręciliśmy się. Na obozy wyjechało aż dziewięciu (n.b. dzięki wydatnej pomocy hufca). Ale okres wakacji pomieszał nasze szyki. Z czterdziestu harcerzy po wakacjach zgłosiło się tylko dwunastu i to dość niepewnie patrzących. Część, na której opierała się nasza praca, ukończyła szkołę. Inni przenieśli się do drugiej szkoły, gdzie wprowadzono religię. Drużynę należało rato-

wać. Więc różna reklama w szkole: rejestrujemy chętnych do pracy w harcerstwie. Drużynowa harcerek, która dopiero po wakacjach miała rozkręcać pracę w drużynie żeńskiej, jest w szpitalu. Więc rejestruję również harcerki, a ponieważ w czasie rejestracji robimy latawce dla zuchów na ich święto, to tak się pomieszali harcerze z harcerkami, że poczuliśmy się jedną drużyną. Nawet więcej – harcerki wszelkimi sposobami starały się nakłonić mnie, abym poprowadził również drużynę żeńską. Nie widziały żadnych przeszkód.

Kategorycznie nie zgadzam się. Mam dwudziestu jeden harcerzy i z nimi chcę pracować. Trzeba zrobić podział na zastępy, uzgodnić plan pracy drużyny, wkroczyć na drogę życia harcerskiego, a tu wymarzone warunki atmosferyczne... – Nie ma co; jedziemy!

– Jak to jedziecie? Bez nas? Dlaczego? Czy nam się nie należy trochę uwagi ze strony organizacji? – oponują harcerki, i to nawet bardzo konkretnie. Próbują namówić drużynową zuchową, by je poprowadziła na wyprawę. Mało. – W Komendzie Hufca szukają zastępczyni. Za późno. – Dzień przed wyjazdem?

Nie ma innego wyjścia. Grupa harcerek z całą pasją naciera na mnie.

– A niech jada! – ustępuję.

Więc tramwaj piętnastka, potem autobusem do Dziekanowa. Uprzejmość starszych wobec harcerzy zaskakuje mnie na każdym kroku. Fakt bardzo podnoszący na duchu.

Tak to znalazłem się ze swoimi zapaleńcami niemającymi pojęcia o harcerstwie na drodze do Puszczy Kampinoskiej. Trzymając za rękę pokazuję, jak się robi „czwórki w prawo zwrot” – i brniemy dalej w naszą dolę („radosną”). I piosenki harcerskie zaczynają wychodzić; tylko za nic nie można utrzymać kroku. Z wielkim szacunkiem zawieszamy nasz sztandar na konarze dębu przy leśniczówce. Potem chrzest kotła. Aha! – Jakie by tu nadać mu imię...? – Z niebywałą radością znajdujemy je. Nadaje mu swoje imię krowa Kasia, która nieproszona pierwsza napiła się z naszego kotła.

Atrakcji mamy dużo. Interesują się nami kolejno: studenci, gęsi, owce i psy wietrzące kiełbasę. Wprowadzam do tradycji naszej drużyny „prawo rodziny”. Wszyscy oddajemy cały prowiant do kuchni. Jest tego strasznie dużo. Nasze druhny układają pięknie – co na śniadanie, co na obiad.

Z godzinnym opóźnieniem zjawia się kawa (zbożowa) gęsta jak mgła otaczająca nas. Bożena sprawdza ręce i menażki, a Bogusia i Joasia sprawiedliwie rozdzielają prowiant. (Czego tam nie było...)

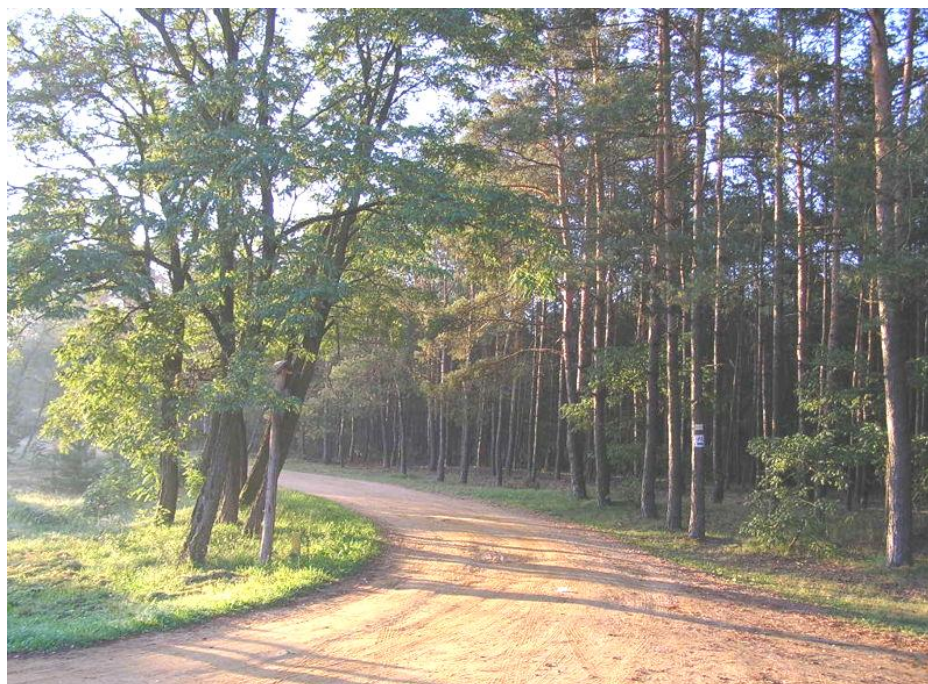
Podział na zastępy podcina wszystkich do urządzenia obozu. Lecz zjawiają się pierwsze zgrzyty. Powstają dwa twarde zastępy i grupa smutnych harcerzy, których nie chcą nigdzie przyjąć. Co gorsze – nikt z nich nie rokuje nadziei na przyszłego zastępowego. Postanawiam, że tę grupę sam poprowadzę, i rozładowuję sytuację. Znikają już kręcące się łzy w oczach.

Ale co się dzieje z moim planem wycieczki? Przyjechaliśmy o pół godziny później. Śniadanie już o godzinę nie pasuje do planu. Obiad o dwie. Czyli kolacji już nie zdążymy zrobić. A gdzie jeszcze ognisko, po którym tyle sobie obiecywałem. (Przecież na nim mieliśmy ustalić plan pracy drużyny) i ze względu na nie mieliśmy wrócić do Warszawy dopiero o godzinie dwudziestej trzydzięści.

Czyżby razem z zachodzącym słońcem opuściły nas tak przyjazne życzenia konduktora autobusu?

Chłopcy nagle przestają być tymi, jakimi byli do tej pory; jakich widziałem na rannych podchodach i tropieniu w południe. Jak ich przekonać, że powinni wszyscy czynnie włączyć się do likwidacji obozu, do zacierania śladów? Jedni patrzą trochę bezradnie, może nawet zastraszeni zapadającym zmrokiem, ale więcej jest takich, których pociąga dogasający ogień. Są wszędzie, tylko nie tam gdzie chciałbym ich widzieć. Coraz częściej słyszę: – On mi zrobił to, on mi zrobił tamto. – Z trudem opanowuję sytuację.

Zapytacie: – Jak? – Nie, nie stosowałem metod kaprałskich. Harcerki spisywały się dzielnie. Poparło je kilku harcerzy i wraz z przybocznym przywrócili teren do stanu, jakim rano go zastaaliśmy. Ja wziąłem dwóch starszych, niby porządných, ale rozrabiających stale, gdy tylko na nich nie patrzyłem, i wyszorowaliśmy kocioł. Przy robocie trochę zaczęliśmy się rozumieć. Mimo wszystko żał mi było wracać do Warszawy.



Kampinoski Park Narodowy.



Kampinoski Park Narodowy.
Maniek, Bożenka i Rysiek.

W czasie powrotu też czekało mnie parę przykrych chwil. Jednak najtrudniej jest wyrobić w człowieku poczucie poświęcenia dla drugich. Każdy starał się, aby tylko jak najmniej nieść, a jak najwygodniej maszerować. Potrącenia i krzyki nie należały do rzadkości. Mało pomagały wszelkie przemowy, do których tylko byłem zdolny w tych warunkach. Może przysłowiowy pies w tym był pogrzebany, że zbyt daleko wypuściliśmy się w las i dopiero w drodze powrotnej oceniliśmy odległość. A może w tym, że były z nami harcerki? – Chociaż nie. Przecież mimo niezręcznych zaczepek widziałem, jak harcerki po macierzyńsku odnosiły się do harcerzy, lub też jak chłopcy pomagali nieść zbyt ciężki plecak młodzietkiewi harcerce. W tym coś tkwiło – to co chciałbym widzieć wszędzie. Prawda, że byli zmęczeni zbyt długim marszem, ale z radością stwierdziłem, że teraz więcej harcerzy ustępowało miejsca starszym w autobusie. Kilku z wielką

dumą opowiadało pasażerom o swoich wyczynach na wycieczce. Mimo że w czasie marszu użyłem paru przykrych słów, spojrzenia, jakie chwytalem, były raczej przyjazne. Grupka, z którą miałem styczność w czasie marszu, nawet zaczęła mi się poważnie zwierzać ze swych głębokich tajemnic.

Na umówione miejsce spotkania z rodzicami spóźniliśmy się dwadzieścia minut, a ostatnie „czuj-czuj, czuwaj!” wyszło wyśmienicie.

Zapowiedziałem karę dla kilku niesfornych chłopców, a teraz myślę, czy mam rację. Jak mógłbym karać tych, którzy w tym wieku tak niewiele znajdują radości. Sam przecież jeszcze dobrze pamiętam ten wiek, kiedy rozgoryczony pragnąłem, by mimo moich złych czynów ktoś wyciągnął przyjazną rękę – rękę pomagającą a niekarzącą.

Myślę też nad tym, że miałem tak inne plany, a tak jakoś inaczej to wszystko wyszło. I mimo tego wydaje mi się, że nie przegrałem.

Osądźcie, proszę.

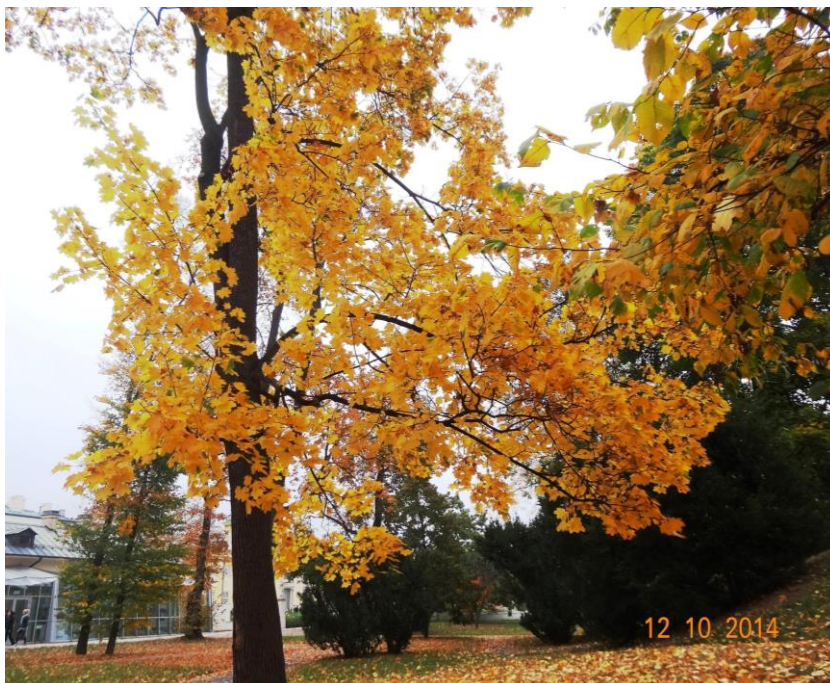
Teraz widzę, że chciałem w jedną niedzielę całe harcerstwo wpoić moim kandydatom na harcerzy i jeszcze się dziwiłem, że mi nie wyszło.

Moje harcerstwo miało i drugie oblicze. Szkoła, do której trafiłem na drużynowego, mieściła się na ulicy Nowonatolińskiej niedaleko Placu Zbawiciela. Szkoła okazała się specjalną szkołą, uczyły się w niej dzieci aktualnych dygnitarzy. Dzieci były normalnymi dziećmi, ale z rodzicami już było inaczej. Gdy zbliżały się wakacje i była możliwość wysłania harcerzy na obóz, ja z pełnym przekonaniem uznałem za niezbędne złożenie wizyt rodzicom, których dzieci deklarowały chęć wyjazdu na obóz harcerski. Wypadło mi na początek odwiedzić ludzi, którzy mieszkali na ulicy Narbutta. Już od razu zaszokowały mnie wielkość i wspaniałość mieszkania, ale jeszcze dosadniej zgnębiła mnie matka, gdy zaraz na wstępie zapytała, czy zdaję sobie sprawę, co ja jej proponuję, bo jej syn musi codziennie zjeść ćwierćkilogramowy kotlet, nie może się odżywiać byle czym, a na takim obozie jakie ja mu zagwarantuję wyżywienie?

Dało mi to wiele do solidnych przemyśleń, bo ich apartament i mój maleńki pokój w akademiku z łózkami więziennymi, które musieliśmy spiętrzyć aż po trzy nad sobą. Cwierćkilogramowy kotlet w zestawieniu z naszym głodowym wyżywieniem na stołówce. Komu ja chcę służyć i w imię czego? Oj, powinienem się jednak zająć najpierw samym sobą.

*

Coś dla oka.



Rozdział 29

*I weszło mu słońce, kiedy minął miejsce Fanuel, a on uchromił na biodrę swoją.
1 Moj. 32.31*

Moja chęć dowiedzenia się (ba, konieczność) czegoś więcej o życiu, a czułem, że braki mam ogromne, przejawiała się w szukaniu kontaktów z ludźmi, przyjaźni.

Wówczas to wyczytałem u Bunsza, że jeżeli w czterdziestym roku życia nadal nie masz przyjaciela, to jesteś godnym litości człowiekiem. Wyczytałem również, jak Mieszko wyjechał na łowy wielodniowe, a tam znalazł sobie nałożnicę, „nawalił się hutnie” i już całkiem spokojny wrócił do prawowitej żony. W obu tych kwestiach miałem wyraźne zaległości. Koledzy w akademiku najlepsi byli do brydża, a rodzina była daleko.



Codzienna praca w akademiku.

Toteż zwróciłem uwagę na życzliwego mi starszego pana, asystenta i nawet opiekuna naszej grupy studenckiej. Zabiegałem pracowitością i sumiennością, aż przyłgnęliśmy do siebie. On, przedwojenny harcerz, miał takie fantastyczne wspomnienia. Za jego sprawą byłem po raz pierwszy w życiu w kawiarni. Wówczas tylko nieliczni wyznawcy tego napoju pijali kawę. Sam lubił, jak przed wojną, posiedzieć przy „pół czarnej”, więc nic dziwnego, że wprowadził zwyczaj spotykania się w „Stylowej” i przy stoliku, przy „pół czarnej” snuliśmy, wprawdzie nie wielogodzinne, za to częste opowieści. Głównie mówił on, wspominał; ja milczałem, niekiedy o coś dodatkowo zapytałem. W czasie wakacji pisywaliśmy do siebie listy, to znaczy kazał do siebie pisać.



Warszawska kawiarnia „STYLOWA” mieściła się na Koszykowej w lokalu po lewej.

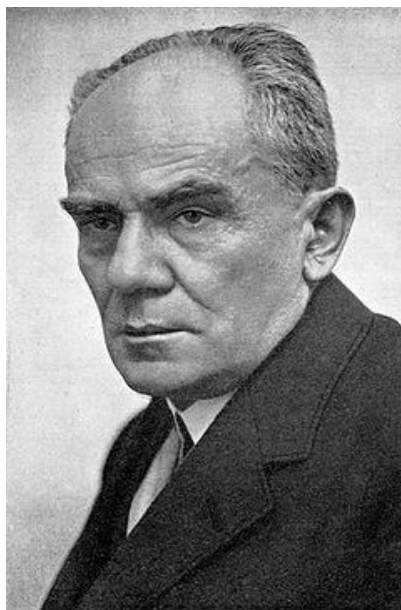
Pisałem wielostronicowe listy i potem, znów przy kawiarnianym stoliku lakonicznie stwierdziłem, że łatwiej mi pisać, niż mówić. Opowiadał o książkach, pytał o moje spostrzeżenia, i bardzo się zafrasował, gdy szczerze wyznałem, że przestałem w ogóle czytać, że już nie znośzę tej całej budującej człowieka literatury. On mówił, że są przecież inne książki, podsuwał tytuły...

Szczególnie długo rozmawialiśmy o „Księdze z San Michele” Axel Munthe'go; głównie ciekaw był, jak odbiorę tę książkę. Dukałem więc o tym, że książka ma charakter opisu własnego życia, jednak to, że autor więcej zwraca uwagę na kwestię cierpienia, a właściwie szczęścia na tej ziemi, i więcej żali się na niesprawiedliwość ludzką, czyni książkę raczej zbiorem poglądów na świat, zresztą bardzo ciekawych poglądów. Że ogólnie wzrastające zniechęcenie Munthe'go do miejskiego świata z jego całym hukiem i sławą może łatwo udzielić się czytającemu. Munthe sam zbudował swój dom wśród pięknej przyrody Capri i żył leczeniem wszelkich ludzi.



Prawdy życia nadal szukałem w dostępnych książkach.

Z przepióreczki, która uciekła Żeromskiemu, wyniosłem, że Żeromski na tle konfliktu miłosego przedstawia formy i pobudki niesienia oświaty dla ludu, lecz poza charakterystyką środowiska nie zdobywa się na wskazanie drogi, jaką winna iść oświata. Poprzez Przełęckiego, Bączkowskiego, Kleniewicza i Wilkosza obrazuje rewolucyjność ludu. Daje się zauważyć podkreślenie konieczności niesienia oświaty dla ludu.



Stefan Żeromski

Robiłem jednak nadal takie notatki, choć nędzne:

Jack London poprzez „Wygę” nauczył mnie, co to jest człowiek pełnowartościowy. Kurzawa Bellew po skończeniu uniwersytetu pracuje w redakcji tygodnika w San Francisco. Jednak nie wytrzymuje leniwego trybu miejskiego życia i udaje się na północ do Klondike. Z mamin-synka staje się człowiekiem silnym i pełnowartościowym. W tym przekształceniu w znacznej mierze pomogła mu Joy Gastell.



Jack London

Archibald Joseph Cronin poprzez „Klucze królestwa” naucza o celu dobrego życia. Dwóch chłopców postanawia poświęcić się służbie bożej, ale każdy wybiera inną drogę. Anzelm Mealey od najmłodszych lat marzy o sławie świętego. W seminarium we wszystkim jest pierwszy i łatwo zjednuje sobie ludzi. Stosowana w życiu taktyka działania na wielką skalę i ze znanymi ludźmi, doprowadza go do godności biskupiej. Zaś Franciszek Chisholm bardziej skryty i niemający złudzeń o swym powołaniu, z całą szczerością szedł tam, gdzie innych nie pociągała niewdzięczna praca. Przez wiele lat pracował jako misjonarz w Chinach w opłakanych wprost warunkach. Nawet nieliczni przyjaciele dają mu odczuć, że jest zbędny. Po latach obaj znów się spotykają. Zabiegi całego życia biskupa Anzelma okazują się śmiesznie nieistotne. Dominuje piękny spokój wewnętrzny osiągnięty przez Franciszka.



Archibald Joseph Cronin

Pan ten przy kawie zetknął mnie z Janem Parandowskim. I znów dyskusje nad „Zegarem słonecznym”, nad „Dwoma wiosnami”.

O „Dwóch wiosnach” Jana Parandowskiego zanotowałem, że prostymi słowy, jednak bardzo dobrze dobranymi, maluje autor to, co pozostało z kultury helleńskiej. Pięknie oddaje nastrój ruin. Parandowski jest bardzo ostrożny w rekonstruowaniu faktów czy architektonicznych zespołów. Mimo wyraźnej chęci wyłuskania z całości tylko tego co dawne, nie obeszło się bez pięknego uzupełnienia opisem obecnej Grecji.



Jan Parandowski

„Zegar słoneczny” Parandowskiego przekazał mi wolne opowiadanie z czasów dzieciństwa autora. Doskonale oddane zacisze domowe, jak i ciekawość młodych oczu.

„Daję ci koniec złotej nici –
Ty sam ją w kłębek zwiń...”

Blake

Piękne.

Ofiarował swoją książkę o przedwojennym harcerstwie, która właśnie się ukazała. Znów zeszliśmy na sprawy harcerstwa. Mówił o organizacji tajnego harcerstwa w czasie okupacji, o wypadkach, o coraz lepszych formach konspiracji, o tym że ostatecznie znał tylko tego, kto przekazywał mu rozkazy i tego drugiego, komu przekazywał dalej rozkazy – nazywał to dwuosobową organizacją harcerstwa. Odsłoniłem swe tajemnice i przyznałem, że już dziesięć lat temu padło u nas hasło przy rozstaniu się – jednoosobowych organizacji – harcerzy na całe dalsze życie.

Pytał, czy wiem tak naprawdę, kim chcę być. Musiała atmosfera rozmowy być zadziwiająca, bo odkryłem najtajniejszy problem mego życia, znak nierozszyfrowany.

– Wiedziałbym – wyznałem – gdyby nie zdarzenie sprzed lat. Byłem jeszcze małym dzieckiem, gdy jednej bardzo ciemnej nocy obudziłem się nagle, usiadłem i zobaczyłem w silnym oświetleniu wyciągniętą do mnie dłoń z jabłkiem królewskim. Nie wiedziałem wówczas i o dziś nie wiem, co to miało oznaczać. Jednego byłem całkowicie pewien, że była to ręka Chrystusa.

Nie wyśmiał, zamyślił się na bardzo długo. – Może to oznaczać, że posiadasz władzę nad ludźmi – rzekł w tym zamyśleniu. – Tylko władca, to i berło... Może będziesz pisarzem? – dodał.

Więcej do tego tematu nigdy nie wracaliśmy. Przy „Niebie w płomieniach” Jana Parandowskiego dotknęliśmy pewnych intymnych tematów i ugrzęźliśmy w nich na długo. Zapytany, mówiłem o szacunku dla kobiet, że nie można ich obrażać i krzywdzić naszą zwierzęcą pożądliwością, że dobrze ustawiona jest kwestia małżeństwa i tam jest ewentualnie miejsce na to.

Musiałem wygłaszać jeszcze lepsze poglądy, bo zszedł z tronu prawdziwej dysputy i wypalił:

– Chłopie! Ty masz już dwadzieścia trzy lata! Zapamiętaj sobie, a zwłaszcza zrozum wreszcie, że krew nie woda, majtki nie pokrzywę.

To ostatecznie mogłem przyjąć do wiadomości, ale znów nastąpiła zasadnicza różnica poglądów, gdy on zaczął twierdzić, że kobieta jest takim samym człowiekiem jak my, z wszystkimi przywarami i niedoskonałościami, a przede wszystkim jest samicą, tak jak my jesteśmy samcami. Nasze gruczoły płciowe stale produkują u niej jaja, u nas plemniki, które muszą być zużyte,

a właściwie wydalone z organizmu, aby było miejsce na następną produkcję gruczołów. I tak u niej, jak i u nas istnieje biologiczna potrzeba częstego regularnego stosunku płciowego.

Tego nie mogłem za nic dopuścić. Cytowałem przeróżne powieści, wypowiedzi z „Przyja-
ciółki”, kazania księży...

Zrezygnował, ale zapytał:

– A więc co? Rączka?

Byliśmy już w takim stadium przyjaźni i w takim stanie dyskusji, że musiałem szczerze po-
twierdzić.

Zapytał jeszcze:

– Od kiedy?

– Od piętnastu lat – odparłem.

– Od piętnastego roku życia?! – ratował się resztkami determinacji.

– Nie. Od około piętnastu lat. Niestety.

Aż przykro było patrzeć, jak walił się, zapadał się w sobie...

Gdybym przeczuwał...

W tym czasie miało miejsce i inne wydarzenie, które uzupełniło przed chwilą opisane,
a zwłaszcza spowodowało zwrot w tych sprawach.



Kościół świętego Jakuba przy Placu Narutowicza w Warszawie.

W kościele świętego Jakuba, tym razem z wielkim rozmachem zostały zorganizowane reko-
lekcje dla studentów. Kazania pierwszego dnia były tak wspaniałe i tak ciekawe, że urzeczeni, na
dalszy ciąg zwołaliśmy chyba wszystkich mieszkańców zespołu domów akademickich przy Pla-
cu Narutowicza; choć niestety kazania następnych dni nie były już tak płomienne. A może za-
częła się, po analizie spraw ogólnospołecznych i międzynarodowych, analiza ułomności nas sa-
mych. Na koniec, zgodnie z zasadami rekolekcji, ustawiono w całym kościele wiele konfesjona-
łów i wielu księży, z różnych stron sprowadzonych, zaczęło spowiedź. Może trochę szkoda, że
księża ci nie brali razem z nami udziału w rekolekcjach, bo stereotypowo formalna strona spo-
wiedzi jak dotychczas zadominowała nad jej treścią... dla mnie przynajmniej w pierwszej części
spowiedzi. Trafiłem na staruszkę księdza, który zaczął spowiedź tak, jakby ode mnie miał usły-
szyć znów to samo, co od wielu stojących przede mną. Toteż tym samym zwyczajem, jak już

kilkunastoletni chłopak, wymieniłem listę moich grzechów i jak zwykle dotychczas zakończyłem: – A ponadto siedem razy nieskromnie się bawiłem. – I jeszcze przypomniawszy, że ma to istotne i łagodzące znaczenie, dodałem: – ... sam się nieskromnie bawiłem.

Spowiednik mój był głuchy, więc palnął mi zaskakujące, acz krótkie kazanie; a zdało mi się, że słyszy nas cały kościół:

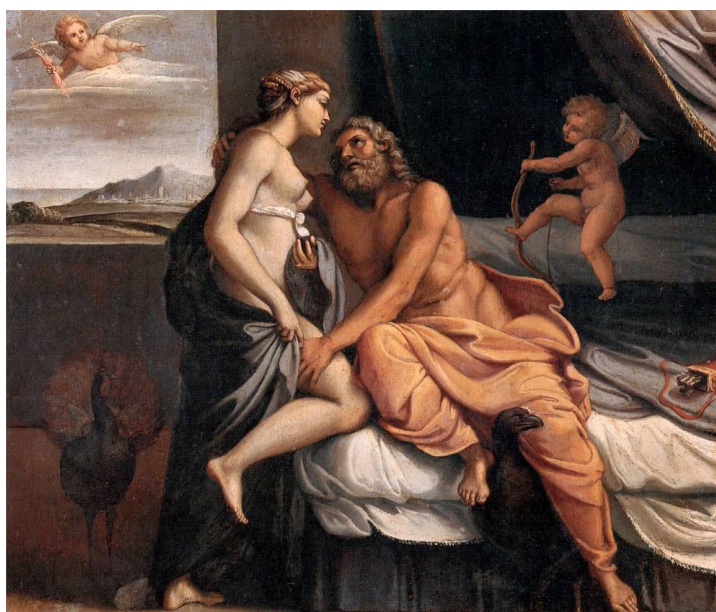
– No, to jak to ty sobie duszo wyobrażasz? Że będziesz przez całe życie się onanizował, i co jakiś czas przyjdiesz do Bożego Kościoła po rozgrzeszenie, i znów będzie fajnie? Że dziś odejdziesz od konfesjonału i to wystarczy? Że tego oczekuje od ciebie Bóg? – Nie, mój młokosie! Lepiej nie wracaj więcej do konfesjonału, niżli masz wrócić z tym samym grzechem nieczystości.

Oczywiście dał rozgrzeszenie, wspaniały, ale przecież słów tych nie rzucił na wiatr. Prawda w nich zawarta brutalnie do mnie dotarła. Musiałem coś z tym zrobić. Przyjaciel nie wzgardził mną po moich ostatnich zwierzeniach, więc na następnej „pół czarnej” prosiłem, by zechciał mi pomóc. Przekonywałem, że przecież tak na dobrą sprawę ja nic prawie nie wiem o sprawach między mężczyzną a kobietą, i właściwie nie mam skąd się tego dowiedzieć. Stwierdził, że właściwie nie zna książki, która by mnie oświeciła, jeszcze najwięcej zawiera „Eros na Olimpie”. Stanęło na omawianym już uprzednio Parandowskim. Ustaliliśmy, że przeczytam „Erosa na Olimpie”. Tam z taką odwagą i tak pięknie autor ujawnia istotę stosunku płciowego. Ale książka jest trudno dostępna, bo jest na indeksie kościelnym. Obiecał coś wymyślić.

Czytałem więc skwapliwie i wyczytałem – cytuję:

„Eros widział to wszystko. Znał swoich bogów i ich sekrety nie gorzej od Hermesa. Wiedział, jak każdy z nich kocha i czego szuka w miłości. Najwięcej lubił Dzeusa. Ten podejmuje dzieło rozkoszy z całą świadomością obowiązku. Boginie, nimfy, kobiety śmiertelne bierze w ramiona i zapładnia, jak ktoś, kto jest przeświadczony o swej misji. Czyni to z przyjemnością i dlatego boi się zazdrosnej małżonki. Zachowuje wdzięczność dla słodkich istot, które mu dają rozkosz, i kocha swoje potomstwo miłością silnego mężczyzny. Jego brat, Posejdon, jest brutalny. Nie zabiega o łaskę zniewolonych oczu, lecz używa gwałtu. Dziki instynkt kieruje go ku wstrętnym potworom. Hades, król podziemi, żyje w monogamii. Apollo jest poetą i w miłości spotykają go niepowodzenia. Hermes ma czas jedynie na przelotne uściski. Dionizos kocha wesoło i z fantazją. Hera nigdy nie zdradzi Dzeusa. Afrodyta nigdy nie będzie wierną Hefajstosowi. Inne boginie zdają się na przypadek i nie są odporne więcej, niż tego wymagają okoliczności. Nimfom powiedziano jeszcze przy urodzeniu, że są stworzone do kochania. A jakaż znów może być cenniejsza nagroda dla pięknej śmiertelniczki nad pocałunek boga?

Kochajcie zatem! Nie uciekajcie przed miłością! Nie wolno, nie macie prawa. Ani wy, bogowie, ani wy, ludzie”.



Dzeus i Hera.

Dalej Parandowski pisze:

„Poeci jedni wiedzieli, co się dzieje, i wielkim głosem wyrażali swe oburzenie. Bo tak się od dawna umówili, żeby miłość uważać za cios i nieszczęście. Jest ona chorobą i cierpieniem. Mąci rozsądek i odbiera panowanie nad sobą. Przynosi jeno łzy i udrękę”.

Dalej dowiedziałem się, jak przepiękna Antiope szła przez las i

„Wtedy stała się rzecz straszna. Zza krzaka wychyliło się kozłorogie lichy leśne, o oczach jak rozżarzone węgle, o ustach tak purpurowych jak zduszone w pocałunku winne jagody. Nie miała sił krzyżeć. Koszyk wypadł z jej omdlałej dłoni. Rozsypały się kwiaty przy ścieżce leśnej. Na róż szkarłacie, na bieli jaśminów, na złotogłowiu jej własnych włosów pił Satyr gorące łzy jej pierwszej miłości”.

...i potem okazało się, że był to sam Dzeus.

A oto fragment sprawy Ledy:

„Tam co dzień kąpała się królowa Leda. Wyszedłszy z wody kładła się na trawie i patrzyła w płatwę ciemnych gałęzi, osypanych złotą rosą słońca, póki oczu jej nie zamknął sen, kochanek maków polnych. Sen ranny jest rozkoszny. Przez uchylone powieki widać drzewa otaczające, które wyglądają dziwnie: mają liście nieznanego kształtu i nie tylko zielone, ale i różnobarwne, a wśród nich przelatują ptaki, jakich się nie spotyka na ziemi.

W różowych ramkach przymkniętych powiek zjawił się jej obraz osobliwej przygody, o której wcześniej wieczór opowiadano na dworze Tyndareosa. W dalekiej Paflagonii żył syn Hermesa i Afrodyty, zwany od imienia rodziców Hermafrodytem. Był niezwykle piękny i zakochała się w nim nimfa rzeczna, Salmakis. Hermafrodyt nie znał jeszcze miłości i uciekał przed uściskami najady. Ale był na tyle nieostrożny, że kąpał się w rzece, której ona była bóstwem. Widok jego cudnej nagości podniecał namiętność Salmakis.

Nie mogąc się dłużej opierać żądzy, nimfa rzuciła się na Hermafrodyta i przywarłszy doń całym ciałem prosiła o pocałunek. Młodzieniec próbował się wyrwać. Salmakis, odchodząc od zmysłów, zaklęła bogów, aby ich tak razem na wieki złączyli. Tak się stało, i oto z dwóch istot różnych powstała jedna, mająca znamiona mężczyzny i kobiety...

Z tych marzeń wyrwał królową Ledę przenikliwy krzyk gonionego ptaka. Był to łabędź — duży, biały piękny łabędź. Trzepotał skrzydłami w trwodze bezradnej. Uciekał przed orłem. Nie widząc nigdzie ratunku biały ptak wyleciał na brzeg i cały drżący przypadł do Ledy. Ogarnęła go ręką, narzuciła nań swój płaszcz, ukryła przed oczyma drapieżcy. I wtedy serce ptaka przestało nagle łomotać ze strachu, drżał jeszcze, ale jakby innym jakimś drżeniem. I coraz silniej przywierał do łona królowej. Śnieżnymi skrzydłami wziął ją niby w ramiona, długą szyję wysuwał powoli ku górze. Śmiała się królowa Leda:

– Nie bój się, ptaku mój biały. Nie puszczę cię, nie dam orłowi!

A on wciąż bliżej i mocniej się tulił i szyja wysuwała się coraz dalej, jakby dziobem szukał jej ust. Podniosła się na chwilę i spojrzała w oczy ptaka. Lęk ją ogarnął. Zdawało się, jakby na nią patrzyły źrenice ludzkie lub boskie, szerokie, palące, namiętne. I znów opadła. Łabędź ciężarem swym trzymał ją w objęciach.

A gdy spojrzała w górę, zobaczyła, jak na gałęzi drzewa siedział spokojnie ów orzeł. Wiedziała już teraz, kto się ukrywa pod śniegiem piór białych, i nie opierała się dłużej. Zdjęta lękiem nabożnym, podawała Dzeusowi swe łono niby czarę, z której się spełnia obiady bogom w dniu święta...”



Rubens – Leda i łabędź.

Tyle Parandowski w sprawie Ledy, i jeszcze ktoś potem napisał:

Gdzież się znajdzie taka Leda,
która łabędziowi nie da?
Nawet gdy jej przy tym powisz,
że ten łabędź to nie Jowisz.

Ale nasz Dzeus na tym nie poprzestał i Parandowski dalej opisuje:

„Życie Hery stawało się coraz bardziej nieznośne. Niewierność Dzeusa obudziła w niej zazdrość obłądną, a codzienne kłótnie ośmieszały ją wobec wszystkich. Boginie doradzały jej większą wyrozumiałość, na którą nie umiała się zdobyć. Siedziała na tronie, obok niewiernego małżonka, dumna, milcząca, zacięta. Mówiono, że pod jej spojrzeniem nektar kwaśnieje i ambrozja nabiera gorzkiego smaku. Dzeus myślał o rozwodzie, ale mu wytłumaczono, że krok ten sprawiłby złe wrażenie na ziemi, gdzie wiara w bogów stała się chwiejna i niepewna.

Nie zwracał więc na żonę uwagi. Ulegając powszechnej modzie sprowadził na Olimp cudnego chłopca frygijskiego, Gauimedesa, dał mu nieśmiertelność, mianował podczaszym, całował go i pieścił publicznie, Hera musiała słuchać, jak wszyscy podziwiają pacholęcia oczy jasne, włosy złote i palce różowe.

Ale nie był to kres jej upokorzenia. Stała się rzecz straszna, niegodziwa, niesłychana: Dzeus sam urodził dziecko – Atenę – i sprawił się tak dzielnie, jakby pragnął pokazać Herze, iż nawet jako matka jego potomstwa nie jest mu już więcej potrzebna”.

Dzeus nie zmieniał metody.

„Przecież niedawno, chcąc uwieść małą Kallisto, która Artemidzie ślubowała czystość, wziął na się postać samej Artemidy i w ten sposób wkradł się do łóżka nimfy”.

Współcześnie opowiadano nawet, że gdy Dzeus przybrał postać Artemidy, to Kallisto przybrała postać gołębia, wtedy On przybrał postać jastrzębia, więc ona zrozpaczona przemieniła się w sosnę, a Dzeus w piłę i... i tak ją przerznął.

Wróćmy jednak do Parandowskiego.

„Afrodyta ucieszyła się z odjazdu męża. Posłała jedną z Charyt, aby uprzedzić Aresa. Pod wieczór usłyszała w sieniach znajomy chrzęst zbroi. Przywitali się, ale nie mówili z sobą zbyt wiele. Nigdy nie mieli sobie właściwie nic do powiedzenia. Pocałunki i pieszczoty zastępowały im słowa. Wrychle zapadali w rozkoszną nicość”.

Zajmijmy się teraz królową Pazyfae.

„Pazyfae znalazła tego byka i często gładziła jego kark lśniący. Owego zaś dnia, wszedłszy rano z malowanej łazienki, ujrzała go jak gdyby po raz pierwszy w życiu. Piękny się jej wydał nad wyraz wszelki. Piękny nie jako byk, nie jako zwierzę, ale jak człowiek piękny, jak piękny mężczyzna. I owaładnęło ją niepojęte uczucie: pragnęła zostać kochanką byka! Wybiegła z komnaty nie zważając, że jest w rannym stroju. Zapomniała o świętym gaju, o swoich dworach, biegła, by zwierzyć się ze swej miłości. Byk obrócił na nią swe duże, jasne oczy, po czym pasł się dalej. Królowa wydała rozkaz, aby odtąd wypędzano go na paszę osobno: zazdrosna była o każdą jałówkę”.

I po wielu nieudanych próbach:

„Dedał skinał głowę i zaraz wziął się do roboty. W kilka dni wszystko było gotowe. Mistrz wystrugał z drzewa bardzo udatną krowę i przykrył ją skórą tak umiejętnie, że najchytrzejszy byk nie mógłby zwietrzyć podstępu. Wnętrze było wydrążone, puste. Pazyfae weszła po schodkach i tam się ukryła. Krowę wniesiono na łąkę i sprowadzono byka. Najstraszliwsze pragnienie, jakie kiedykolwiek szarpało wnętrzości kobiety, zostało zaspokojone. Przez drewniany pysk udanej jałowki dobywały się dzikie wrzaski obłąkanej rozkoszy...”



Pazyfae wchodzi do krowy Dedala.

Zaś Herkules, który nie miał sobie równie silnego, dokonał wyczynu, którym nawet jego ojciec, sam Dzeus nie mógł się poszczycić.

„A zdarzyło to się w domu Tespiona. Ów Tespion pochodził ze świętych Aten, był człowiekiem zamożnym i ojcem pięćdziesięciu córek”.

„Stary Tespion miał jedno tylko życzenie: doczekać się dziarskich wnuków z tego żeńskiego potomstwa”.

Zaprosił więc Herkulesa, przyjął go w asyście wszystkich córek tak że

„Serce bohatera wezbrało radością i szczęściem”.

Złożono ofiary bogom. Herkules wykąpany i

„namaszczony miękkimi dłońmi córek Tespiosa”
„legł na łożu biesiadnym”.



Herkules farnezyjski – Ermitaż, Petersburg.

Długo ucztowano, poczem przy fletach dziewice przepięknie śpiewały. Również tańce podjęły same królowny. Pochodnie pogasły, korowód tancerek rozwiął się. Została tylko jedna.

„I ta jedna, w coraz szybszych obrotach tańca, zbliżała się ku łożu bohatera, póki nie zapadła w jego rozwarte ramiona, jak gwiazda z nieba lecąca w czarną odchłań morza.

Ledwo ją uściskał – już mu się wymknęła i znikła, tak nagle, jakby się rozplynęła w smugę srebrnego światła, która nie wiadomo dokąd wiodąca ścieżką biegła po marmurowych płytach podłogi. Nie, nie znikła. Bo oto znów wyrosła niby lilia biała, z podniesionymi w górę ramionami, i znów wiła się w tańcu, którego treści nikt nie wypowie – ona, srebrny puchar pełen czerwonego jak krew nektaru rozkoszy. I znów szła w jego objęcia.

Ale czyż to pod uroczym spojrzeniem Selene, tajemniczej pani dziwów nocnych, spełniają się czary? Wszak przed chwilą słyszał jej krzyk dziewczęcy, a w tym nowym uścisku czuje to samo nieświadome, niespokojne, trwożne drżenie dziewicy, która dotąd nie знаła miłości. I znów odeszła, i znów wróciła – dziewicą...”

„... oto modlitwa jego wysłuchana. Od łoża bohatera każda z jego córek odchodziła niosąc w swym świeżo dla miłości rozkwitłym łonie zapowiedź szczęśliwego macierzyństwa”.

Jeszcze inaczej było z Myrrą, która, na swe nieszczęście, zakochała się we własnym ojcu. Jednak wyrozumiałość sługi sprawiła, że:

„Stara zamknęła za sobą drzwi spiżowe, a Myrra weszła do łoża ojca. Czując jej lęk dziewczęcy pieścił ją, tulił, uciszał. Mówił do niej córko. Biorąc w swe serce wezbrane jego dobroć, jego słodkie a łagodne pieszczoty, szeptała wśród łez: ojczu. Dwanaście nocy z rzędu przychodziła...”

Zgoła inny aspekt miłości zaistniał między Afrodytą a Adoniszem.

„Wprowadził ją do grotty, gdzie stało jego łóżko zasłane skórami lwów, które sam upolował na szczytach gór wysokich. Przez uchylony peplos dojrzał białosc jej ciała, gdy zaś podniosła ramię, zmieszał go widok jej pachy, mrocznej i puszystej jak święta grota arkadyjska. Zdjął jej naszyjnik, naramiennice, szpilki wydlubał z włosów, że rozsypały się potokiem złota, zwłókl z niej szaty świetliste i widział, że piersi jej są jak podwójne odbicie księżycy w jasnej toni jeziora. Tylko przepaski pod piersiami nie dała sobie zdjąć Afrodyta, czarodziejskiej przepaski, w której zamknięte są wszystkie tajemnice jej uroków. Adonis jednak myślał, że to ze wstydlivosti, aby nie być zupełnie naga. Zaczął ją tedy całować mówiąc słowa uspokajające, których sam dobrze nie rozumiał. Po czym ona odchyliła głowę, zakryła twarz ramieniem i oddała mu się. Inny by może zauważył, że okazała w tym pewne doświadczenie”.

Jan Parandowski przedstawia w innym świetle sprawę Penelopy żony Odysa, opisaną przez Homera jako wzór wierności małżeńskiej.

„I oto powoli zaczynają z Penelopy opadać wszystkie wzniosłe epitety, w jakie ją ubrał Homer – jeden po drugim – tak, że staje przed nami naga, nieprzykryta, lecz raczej bardziej jeszcze odsłonięta zgoła nieoczekiwanym przezwiskiem: bassara, bardzo nieprzystojnym i stąd nad wyraz trudnym do przetłumaczenia. O cóż ją posądzają? A więc Amfinomos, Antinoos... O, nie, znacznie więcej. Wszyscy! Jak to wszyscy? Tak, wszyscy zalotnicy, jeden po drugim każdy z osobna i wszyscy razem. Co do jednego, jak ich było stu osiemnastu. Stu osiemnastu”.

W każdym razie i Penelopa miała swój brzemienny kontakt z bogami.

„Pasterze okoliczni byli towarzyszami jej zabaw niewinnych, a śpiewu uczyły ją ptaki i zefir szumiący w sitowiacz. I wtedy to, w jakiś dzień parny a burzliwy, w jakiejś grocie podgórskiej wpadł na nią zniecka koziół wspianiały, potargał szaty, odsłaniając zakryte dotąd tajniki dziewczęce, i wziął ją, wpółmartwą – nie wiadomo czy z przerażenia, czy z rozkoszy. Albowiem Penelopa w tej chwili, jedynej w życiu, poznała, że napastnikiem był sam bóg Hermes”.

No tak. W każdym razie owocem tego był Pan, monstrualna postać.

„Pan zachował wyraźne podobieństwo do swego ojca – ale z owej nieszczęsnej metamorfozy. Miał rogi na głowie, krzywy nos, strzępiastą brodę, rozszczepione kopyta koźle, do połowy ciała porosły był gęstą sierścią, a z tyłu zwisał mu ogon”.

A życie jego to jedno pasmo nieszczęśliwej miłości, a właściwie niepowodzenia w kontaktach z płcią odmienną.

„Pan rozgniewał się i chciał ją wziąć siłą. Nieraz w ten sposób brał nimfy, zaskoczone zniecka. Ale Syrinks uciekła”.

„Pan nie miał szczęścia w miłości. Kobiety, które kochał, uciekały od jego uścisków. Gonił więc chyże nimfy po leśnych polach, a nieraz ku oburzeniu pasterzy wyrządzał krzywdę ich kózom”.

„... Hermes okazał mu tklivość ojcowską: nauczył go, jak koić tęsknotę miłosną nie zdradzając ukochanej, nie szukając zapomnienia w objęciach innej, lecz z obrazem jednej pod zmrużonymi powiekami zapadać się w odchłan niepodzielonej rozkoszy”.

Ale i inaczej próbował dochodzić rozkoszy.

„Potężne uderzenie w brzuch zepchnęło go jak suchy pień drzewa w głąb jaskini. Upadając rznął głową o ścianę i na chwilę stracił przytomność. Gdy się ocknął, jaskinia była pełna ludzi trzymających pochodnie. Wszyscy się śmiali widząc w jego żalostnej, zmiętej figurze triumfalnie piętrzącą się, niezaspokojoną gotowość miłosną...”

Tyle Parandowski.

Z moim, już prawie przyjacielem, a na pewno człowiekiem mi życzliwym, odbyliśmy długą dysputę nad słusznie zlikwidowaną przez chrześcijaństwo rozwiązłością starożytnych. Rozważaliśmy, na ile ten rozkład moralny jest fikcją literacką. Nie uzgodniliśmy poglądów, tym bardziej że ja głównie słuchałem.

Zdobyłem się jednak na odwagę i sprowadziłem temat na ziemię oświadczając, że wszystko to piękne, ale ja nadal nic nie wiem, na czym dosłownie polega stosunek miłosny. Mój przyjaciel westchnął, ale podszedł do sprawy jak lekarz tym razem.

Dowiedziałem się:

– Z męskim członkiem bywają kłopoty. Skórka na nim jest zbyt delikatna i powoduje przedwczesne zaspokojenie. Dlatego w miłości lepsi są Żydzi, którzy na skutek rytualnego obrzezania mają odsłonięty żołądz członka, a skórka jego jest dużo mniej wrażliwa na skutek stwardnienia.

– Drugim kłopotem mężczyzn jest częsta niepłodność. Rozpoznaje się to po jajkach. Jeżeli jedno jajko zwisa niżej niż drugie, to taki mężczyzna jest bezpłodny. Ale da się to wyleczyć. Operacyjnie przecina się błonę woreczka znajdującą się między jajkami i przekłada się jedno na miejsce drugiego – zamienia się jajka miejscami.

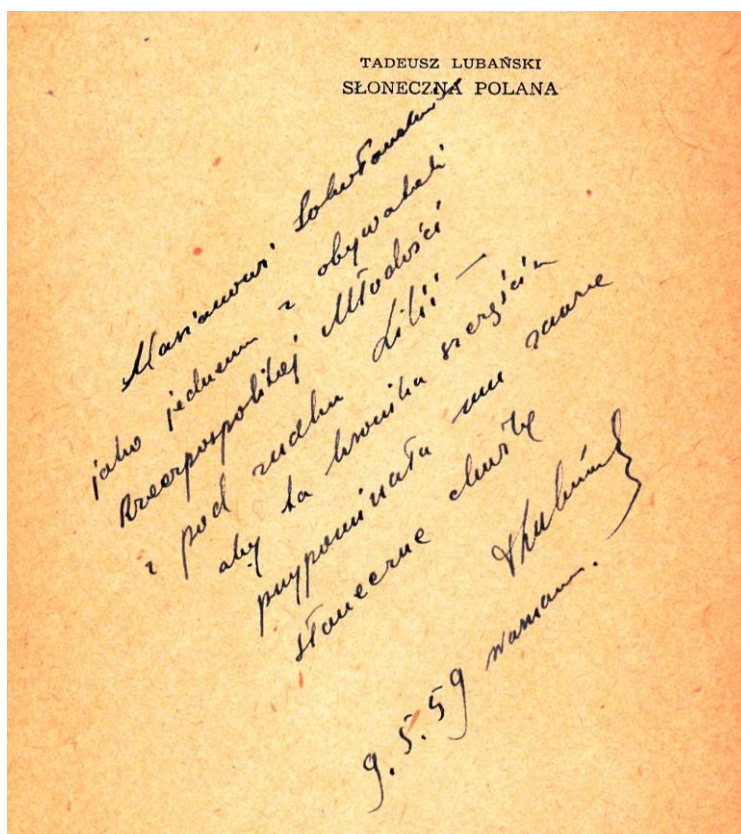
– Trzecim kłopotem mężczyzn jest to, aby kobieta chciała. W tym właśnie celu rozkłada ona nogi i można wsunąć się między jej wargi sromowe. Natomiast jeżeli kobieta nie chce, to wystarczy, że trzyma nogi złożone razem i już nic nie poradzisz. Stosunek jest niemożliwy.

– Czwartym kłopotem jest, że tak naprawdę nie wiadomo, kiedy zachodzi, a kiedy nie zachodzi zapłodnienie. Dziecko to wielka trudność w temacie, ale chęć stosunku jest tak nieprzeparta, że raczej trzeba ryzykować. Wiele razy się udaje. Potem jednak trzeba niestety rozdzielić łóżka małżonków.

Zapytałem jeszcze, czym tak po prawdzie jest pocałunek, a zwłaszcza na czym on polega. Odpowiedział, że to musiałby mi pokazać, ale przecież sam rozumiem...

Byłem więc wreszcie do głębi wtajemniczony.

Przyjaciel mój ucieszył się niewymownie, gdy na ostatnim przedwakacyjnym spotkaniu przy „pół czarnej” opowiadałem mu o perspektywie, jaka się przede mną rysuje.





Ale w tym miejscu chciałbym zakończyć tę część. Może będzie mi dana możliwość napisania dalszych rozważań... Wówczas kolejna książka będzie nosiła tytuł „DEBIUT”, bo choć całe życie się ponoć uczymy, to gdzieś występuje ten moment, że zaczynamy posługiwać się zdobytymi wiadomościami, a jest to już zdecydowanie inna sprawa.

Dziękuję za uwagę.

zredagował

Marian Czesław Sokołowski

Warszawa, 21 czerwca 1980 roku

*

Redakcje:
Powtórna redakcja 2009-12-08
Kolejna redakcja 2012-02-25
Kolejny retusz 2014-10-29

Warszawa, 2014-06-27

Książka jest protestem przeciwko zabieraniu człowiekowi jego podstawowego prawa do dostarczenia mu i wyposażania go w pełną wiedzę o mechanizmach biologicznych, wiedzę o technicznej stronie seksu, o zachodzących procesach fizjologicznych w organizmach kobiety i mężczyzny w całym procesie prokreacji, wreszcie o pięknie uczuć zachodzących między kobietą i mężczyzną w misterium przedłużania gatunku ludzkiego, wiedzę o kulturze tych uczuć, jak i kulturze seksu – to jest w spełnianiu kardynalnego sensu życia człowieka na Ziemi. Nikt nie ma prawa – żaden purytanizm religijny, żadne zakłamanie edukacyjne – ograbić człowieka, w jego niepowtarzalnym zaistnieniu na Ziemi i w jego przeżyciu na Ziemi, z pełnego, w żaden sposób niezubożonego dokonania tego jednorazowego jego życia. Dobitnie powtarzam – Jednorazowego jego Życia!

Kolejną redakcję ukończono 2017-01-16

*

Spis treści

Rozdział 1	5
Rozdział 2	13
Rozdział 3	21
Rozdział 4	25
Rozdział 5	33
Wspomnienia po latach	37
Rozdział 6	42
Wspomnienia po latach	43
Rozdział 7	50
Rozdział 8	63
Rozdział 9	71
Wspomnienia po latach	72
Rozdział 10	80
Wspomnienia po latach	82
Rozdział 11	85
Rozdział 12	89
Rozdział 13	95
Rozdział 14	97
Rozdział 15	127
Rozdział 16	132
Rozdział 17	134
Rozdział 18	137
Rozdział 19	140
Rozdział 20	160
Rozdział 21	175
Rozdział 22	186
Rozdział 23	191
Rozdział 24	195
Rozdział 25	198
Rozdział 26	200
Rozdział 27	207
Rozdział 28	213
Rozdział 29	217
Spis treści	232
O moich książkach	233